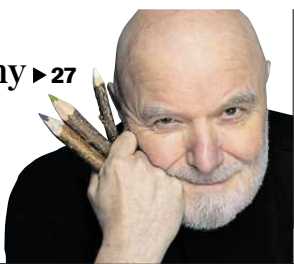


Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



Bruce Willis.
Dlaczego za nim tęsknimy ▶ 27
Andrzej Mleczko:
Rodzina odebrała mi
prawo jazdy ▶ 24



FOT. SHUTTERSTOCK, JAKUB WŁODEK



WYSOKIE OBCASY
Superbohaterka
2024.
Marta Markiewicz
Na trzeźwo jestem sobą



MAGAZYN
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl



Euroarmia

Czy Francuzi będą umierać za Przesmyk Suwalski ▶ 4

GAZETA **wyborcza**
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

11>

ISSN 0860-908X

9 770860 908167

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, MONTAŻ MARIUSZ ROSA

Sobota-czwartek, 15-20 marca 2025 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 62.10859, 1

Nakład 81 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA



**Projektujesz, realizujesz, działasz
na rzecz szczęśliwych sąsiedztw?**

Weź udział w konkursie:
Wyborcza.pl/zplkonkurs

**NAGRODA
20 TYS. ZŁ!**

Kraj/34359246

ZAPROJEKTOWANE
POLUDZKU
SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR
wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY
otodom

Jarosław Mikołajewski

A co, jeśli źli ludzie chcą dobrze

Im więcej zła dzieje się w Polsce, na świecie, tym większą widać (w Polsce, na świecie) potrzebę, żeby tłumaczyć jego (zła, nie świata) przejawy jako ukrytą postać dobra. Kształtuje się w ten sposób podstępnie nowa grupa kapłanów, którzy wiedzą lepiej, bo potrafią przypisać zło (czyli czyniącym zło) spryt, mądrość, a nawet wyższą jakość humanizmu.

Z przykładów, które przychodzą mi do głowy, rzeczą pierwszą jest interpretacja antyukrainizmu i prorosyjskości Trumpa jako orientacji (od „orientu”) na największy problem, jakim nie jest Rosja, lecz Chiny. Oto jesteśmy krótkowzroczni my, którzy obawiamy się agresji Putina, bo nie widzimy, że w porównaniu z jej szkodliwością, prawdziwie groźna, bo nie tylko militarna, lecz również ekonomiczna, kulturowa, jest polityka Pekinu.

Nie mówię, że Chiny nie są zagrożeniem, ale wyczulenie na Pekin zwalnia z budowania obrony przed Moskwą i solidarności z Kijowem, Lwowem, prezydentem Zeleniukim...

Kolejnym z wielu przykładów jest zapowiadane przez premiera Tuska zawieszenie prawa do azylu. Z braku jasnego wyjaśnienia, skąd w ogóle ten pomysł w kraju, z którego górale wyjeżdżali „dla chleba”, wynika mistyczne przeczucie, kulturalny domysł, że stoi za tym jakaś wyższa racja.

Zawieszenia prawa do azylu jest złem. Dla jakiego dobra – pytam – rodzi się zamiar, żeby zabronić ludziom szukać bezpiecznego miejsca na ziemi? Tuska mam za dobroczyńcę, bo

gdyby nie on, u władzy byłby PiS, którego sprawczość zła jest jaskrawo bezwstydną tym bardziej, im więcej afer jest ujawnianych, im częściej jego funkcjonariusze zabierają głos, piętnując beczelnie domniemane ataki na wolność słowa.

Dla jakiego dobra – pytam – rodzi się zamiar, żeby zabronić ludziom szukać bezpiecznego miejsca na ziemi?

Ale dlaczego zło zawieszenia prawa do azylu miałoby być dobrem? Proszę o jasną odpowiedź i o wycofanie się z tego błędu, nawet jeśli to nie błąd, tylko akt walki wyborczej.

Pójdę dalej, a raczej (język Wielkiego Tygodnia) zstąpię głębiej, bo do samego życia: dlaczego koszmara naszej egzystencji Kościół tłumaczy jakimś dobrem? Dlaczego Bóg jest dobry, jeśli robi (robi konkretnie, nie abstrakcyjnie i zmiękczejac „czy-ni”) zło śmierci, choroby, inspiracji do wojny, dyktatury, nieprawości? „Bóg tak chciał”, pisuje się na nagrobkach. I tylko my, kapłani – dopowiada od wieków Kościół – rozumiemy dlaczego, i zapewniamy, że chciał naszego dobra.

Kolejny przykład: we wspomnieniach wielu dzieci ojciec był je pasem, i niektóre dopowiadają, że na pewno zadawał ból dla ich dobra...

Można tak bez końca, niech każdy sobie dopowie, bo w życiu każdego jest bagna bez liku. Więc zwięźle: bez względu, co powiedzą zwolennicy poglądu, że zło bywa dobrem, i opinii, że niektórzy pozornie źli mają ukryte zamiary czynienia dobra, a co najmniej mają polityczne cele i słuszość, twierdząc, że zło jest złem. Ale uwaga: zło nie jest tym, co ktoś pomyśli jako zło. Zło jest wyłącznie krzywdą. Świadomym działaniem przeciw. A ci, którzy krzywdząc twierdzą, że motywem ich działania jest dobro, są obłudni, głupi albo zaćmieni. ●

Andrzej rysuje



Wielka Brytania Królewski dotyk już nie leczy



Ale krzewi pierwszą pomoc i służbę publiczną wśród poddanych. Karol III ćwiczy resuscytację krążeniowo-oddechową podczas wizyty w Royal College of Nursing, wyższej szkole pielęgniarstwa. Król świętował ukończenie przez tysięcznego słuchacza programu promowania zawodów medycznych wśród młodzieży.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend***

J22PMC7

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 15-16.03.2025 r.

Cytat tygodnia

*Potrzebujemy
kilkumiesięcy,
żeby dostarczyć
Ukrainie 40 tys.
terminali*



EVA BERNEKE

szefowa Eutelsatu, europejskiego operatora satelitów, o zastąpieniu systemu łączności Starlink Elona Muska

Grenlandia Partia fajna dla każdego

Wywrócili do góry nogami” – komentują obserwatorzy wyniki wyborów na Grenlandii, które wygrała partia Demokraatit. Jednocześnie centroprawicowa, liberalna, probiznesowa, prospołeczna – oraz antytrumpowa.

Ostatnio Demokraatit zdobyli 9 proc. i tylko 3 miejsca w 31-osobowym Inatsisartut (tak nazywa się grenlandzki parlament). Teraz – 30 proc. i 10 miejsc. Zaskoczony jest sam lider partii, 33-letni Jens Frederik Nielsen

Głównym tematem kampanii była niepodległość i relacje z USA, a ton nadali jej Demokraatit. Grenlandzkie partie zgadzają się, że wyspa



• Lider Demokraatit Jens-Frederik Nielsen (pośrodku) podczas wieczoru wyborczego w kawiarni Killut

powinna być niezależna – ale dotąd rządzący demokratyczni socjaliści uważają, że potrzeba wielu lat negocjacji z Danią i poprawy sytuacji gospodarczej, populistyczni centryści z Naleraq są za szybkim odłączeniem i ścisłą współpracą z USA, a Demokraatit są pośrodku: to „cel ostateczny”, ale bez pośpiechu, choć przed Trumpem trzeba się bronić. – To zagrożenie dla naszej niezależności politycznej. Nie chcemy być Amerykanami. Nie

chcemy być Duńczykami. Chcemy być Grenlandczykami – deklaruje Nielsen.

Na razie deklaracje Trumpa o zamiarze przyłączenia Grenlandii do USA wzmocniły jej więzi z Danią. Duński rząd wysłał na wody wokół wyspy trzy arcytężne okręty wojenne oraz drony dalekiego zasięgu. Obiecuje też miliony euro na wsparcie programów zapobiegających dyskryminacji Grenlandczyków w Danii. ●

Bartosz Hlebowicz

Liczba tygodnia

15
110

MLN LAT



mają najstarsze kościane narzędzia, odkryte w wąwozie Olduvai w Tanzanii. 27 przedmiotów z kości słoni i hipopotamów, jest o ponad milion lat starszych od dotąd najstarszych narzędzi neandertalczyków sprzed 400 tys. lat. Dlaczego znalezisko jest ważne, skoro narzędzia najstarsze w ogóle mają 3,3 mln lat? Bo tamte są kamienne. Odkrycie wskazuje, że w oczach ludzi duże i groźne zwierzęta stały się nie tylko zagrożeniem, ale i zasobem wcześniej niż myśłano.

Patrioci od prawa do lewa

A wy pójdziecie do wojska?

Na pytanie, czy jesteś gotowy/gotowa bronić kraju, „tak” odpowiada 80 proc. Finów i 14 proc. Polaków



Bartosz T. Wieliński

By obronić kraj przed atakiem, Polska buduje na wschodniej granicy pas umocnień. To Tarcza Wschód. Kupujemy nowe czołgi, samoloty, wyrzutnie rakiet, drony rozbudowujemy bazy. Na morze mają wypłynąć nowe okręty wojenne. Tempo polskich zbrojeń zadziwia naszych sojuszników i naszych wrogów. Sprawne, nowoczesne wojsko obroni państwo przed atakiem, który eksperci nazywają kinetycznym: zatrzyma kolumny pancerne, zestrzeli nadlatujące pociski i samoloty.

Ale najnowocześniejszy sprzęt i najlepszy, najbardziej zdeterminowani żołnierze nie wypełnią swojej funkcji, jeśli za nim nie będzie stało harde społeczeństwo. Myśląc o obronie państwa, nie możemy zapominać o obywatelach.

Niedawno wróciłem z Finlandii. Tam powodem do dumy jest nie tylko egalitaryzm, ale też inna fińska cecha, mniej nam znana – społeczna kohezja.

W fizyce kohezja zachodzi wtedy, gdy jakiś proces sprawia, że ciało fizyczne jest rozdzielane, a ono stawia opór. Fińskie społeczeństwo potrafi, mimo naturalnych różnic światopoglądowych i politycznych, unikać polaryzacji, stawiać opór próbom rozdzielania ich przez radykałów i kremlowskie trolle.

Finowie chlubią się tym. Tak jak tym, że ponad 80 proc. z nich jest gotowych bronić kraju, nawet gdyby szanse na zwycięstwo w starciu z napastnikiem (czytaj: z Rosją) byłyby niewielkie.

Po zakończeniu zimnej wojny w Finlandii nigdy nie ścięto wydatków na wojsko ani nie zniesiono obowiązkowej służby wojskowej. Pamięć o tragicznych – ale nie przegranych – wojnach z sąsiadem wryła się w społeczną świadomość. Co roku około 20 tysięcy 18-latków zakłada mundury z fińską flagą na ramieniu. Kobiety są wprawdzie wyłączone z poboru, ale mogą zgłaszać się jako ochotniczki – i w zeszłym roku do wojska wstąpiło rekordowe 1,5 tysiąca żołnierek. Jednocześnie każdego roku doszkała się 30 tysięcy rezerwistów. Służba wojskowa w Finlandii wymyślona jest tak, by integrować społeczeństwo.

W Polsce pod tym względem jest fatalnie. Bronić kraju byłoby gotowych 14 proc. obywateli (sondaż CBOS sprzed roku).

Polska ma tego samego niebezpiecznego sąsiada co Finlandia i bardzo podobne z nim doświadczenia. Skąd wzięła ta gigantyczna dysproporcja? To spadek po czasach komunizmu i lat 90., gdy służba wojskowa była opresją i kojarzyła się z „falą”? Czy efekt rozprężenia po 1989 roku, gdy wierzyliśmy w koniec historii?

Niedawno MSWiA zorganizowało szkolenie dla samorządowców. Dotyczyło obywateli, dzielono się doświadczeniami, jakie zdobyli broniący się przed Rosją

Ukraińcy. Uczestnicy wychodzili z przekonaniem, że muszą w swoich miastach budować schrony, najlepiej, by nowe budynki miały odpowiednio przystosowane i wyposażone podziemne garaże, z punktami dostępu do wody, z kanalizacją. Że na ulicach potrzebne są specjalne oznaczenia, że trzeba znowu szkolić ludzi, jak zachowywać się w razie ataku.

Ale proszę sobie wyobrazić, że byli samorządowcy, którzy szkolenie zignorowali. W trzecim roku trwającej w sąsiednim kraju wojny!

Przeglądałem się reakcjom, gdy premier Donald Tusk zapowiedział dobrowolne szkolenia wojskowe dla obywateli. Największy jęk było – o dziwo – słyhać po prawej stronie. Najgłośniejsi protestowali ci, którzy na co dzień machają białą-czerwoną flagą, dumnie eksponując ją w klapach marynarek, zapowiadają w socjal mediach walkę o polską suwerenność.

To nie jest w Polsce nowa postawa. Wystarczy przypomnieć sobie most na rzece Czeremosz w Kutach. 17 września 1939 roku tą drogą do Rumunii uciekł polski rząd, który wcześniej deklarował, że nie odda Niemcom ani guzika.

Polski patriotyzm jest po prostu zepsuty. Zawłaszczyła go jedna strona sporu politycznego – a udało jej się, bo strona druga go po prostu porzuciła lub sprowadzała do słynnego orla z czekolady. Więc sprowadzono go do bezmyślnego wymachiwania flagą, powtarzania frazesów i nienawistnych okrzyków przeciwko sojusznikom, mniejszościom, inaczej myślącym.

Odbudowa znaczenia tego pojęcia jest równie ważna, jak budowa umocnień czy szkolenie żołnierzy. Mamy na to jakiś pomysł? Obawiam się, że ciągle nie.

Państwo bez silnego społeczeństwa będzie wydmuszką. A nasze społeczeństwo ma wielki potencjał. Przyjrzyjmy się, jakie zaszły w nim zmiany przez osiem ciemnych lat pod rządami PiS. Pod presją propagandy Jacka Kurskiego, czasami wręcz pod ciosami policyjnych palek, w obliczu demontażu demokracji i konsekwentnego odrywania Polski od Europy, wykrystalizowało się u nas społeczeństwo obywatelskie. Które swoją siłę pokazało 15 października 2023, odsuwając PiS od władzy.

Nie ma już w Polsce powrotu do społecznego marazmu sprzed 10 lat – ale budowa społeczeństwa obywatelskiego nie jest skończona.

To proces permanentny. Każdy kolejny rząd musi go wspierać.

W Polsce jest miejsce dla stowarzyszeń zajmujących się obronnością – ale też dla aktywistów broniących praw ludzi, którzy przekraczają naszą granicę w nielegalny sposób.

Jest miejsce dla tych, którzy pilnują, by polskie służby mundurowe nie naruszały prawa.

Jest miejsce dla obrońców praw wszelkich mniejszości – i dla organizacji o profilu konserwatywnym.

Dla kół gospodyń wiejskich i dla ruchów miejskich. Dla młodzieży przerażonej zmianami klimatu, która chce coś zrobić. Dla społeczników zajmujących się prawami zwierząt. Dla młodych i starych, którym na czymś zależy.

Polska to wielki kraj, pomieści wszystkich. Im bujniej rozwija się polskie społeczeństwo, im bardziej zaangażowani obywatele, tym państwo silniejsze.

Tym trudniej Polskę będzie pokonać. ●

REKLAMA

Kraj/34366213



Opera w Weronie

Dwa wieczory z klasyką muzyki operowej spędzone w amfiteatrze w Weronie, połączone z wycieczkami do Bergamo, Borghetto i nad jeziora Garda oraz Como.

La Traviata & Carmen | 24/07 2025

Aida & Nabucco | 08/08 2025

Aida & Carmen | 27/08 2025

Nabucco & Rigoletto | 04/09 2025

4 dni | Wylot z Warszawy | od 4.498,-



Opera w Savonlinnie

Światowej klasy opery w słynnej fińskiej krainie tysiąca jezior, a także zapierające dech w piersiach krajobrazy Finlandii i jej stolica – Helsinki.

Turandot & Makbet | 07/07 2025

Makbet & Turandot | 14/07 2025

Turandot & Boris Godunov | 22/07 2025

6 dni | Wylot z Warszawy | od 6.998,-

albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

GOTOWI NA 3+

Uzbrojenie, wyszkolenie, morale. Na papierze z Rosją wygrywamy

Z DR MICHAŁEM PIEKARSKIM*

EKSPERTEM W DZIEDZINIE BEZPIECZEŃSTWA
MILITARNEGO
ROZMAWIA **DOROTA ROMAN**

DOROTA ROMAN: Europa jest bezbronna wobec Rosji?

DR MICHAŁ PIEKARSKI: Pod względem stricte technicznym nie. W 5-punktowej całosciowej ocenie europejskiej obronności wystawiłbym w tym momencie 3 z dużym plusem. Są obszary, w których jesteśmy nieźle przygotowani. Mamy zdolność zapewniającą ochronę przed rosyjskim atakiem.

Największy atut?

– Nawet gdyby Amerykanie wycofali się z Europy, wciąż mamy parasol atomowy. Jest francuska i brytyjska broń jądrowa. To środek ostateczny, ale najsukuteczniejszy w odstraszeniu wroga.

Arsenał brytyjski nie jest tak duży, jak amerykański, ale jego główną rolą jest zadanie strat Rosjanom, które będą dla nich nieakceptowalne.

Na przykład?

– Brytyjczycy mają dwie rzeczy, które sprawiają, że ich ostrzeżenie atomowe jest wiarygodne. Po pierwsze, tzw. kryterium moskiewskie. Wielka Brytania założyła, że ich broń atomowa, czyli pociski balistyczne na okrętach podwodnych, muszą być w stanie osiągnąć Moskwę. Skutecznie przebić się przez rosyjską tarczę antyrakietową i zniszczyć stolicę Rosji.

I drugi czynnik brytyjski, od którego włos mi się jeży na głowie, to sposób realizacji tego założenia.

Czyli?

– Na pokładzie każdego z czterech okrętów typu Vanguard, przenoszących rakiety atomowe, jest zapечатowany list. List, którego zawartość jest tajemnicą państwową, a jego treść zna tylko i wyłącznie premier. Za każdym razem nowo obejmujący urząd, premier albo premierka Wielkiej Brytanii musi odrębnie napisać cztery takie listy.

„Letters of last resort”.

– Tzw. listy ostateczne, czyli instrukcje dla dowódców każdego z czterech okrętów podwodnych na wypadek postępowania, gdyby Wielkiej Brytanii nie było. Gdyby została zniszczona, przestał istnieć rząd, państwo. W listach jest dyspozycja zachowania się dowódców, na wypadek, gdyby świat się skończył, nie było łączności z dowództwem, a BBC nie nadawało. Opcją, którą dowódca ma wykonać, jest odpalenie rakiety na przeciwnika, czyli w tym przypadku na Moskwę.

To oznacza jedno. To, że Rosjanie mają swój arsenał, mogą myśleć o jego użyciu, ale wiedzą, że arsenał brytyjski i francuski, w dużej mierze zainstalowany właśnie na okrętach podwodnych, ma zapewnić odwet. Skutecznie pozbawić przeciwnika wszelkich korzyści wynikających z uderzenia na Europę.

Co z tego, że Rosjanie zniszczą Paryż, że zamienią Wyspy Brytyjskie w radioaktywną pustynię, jeżeli w pustynię zamieni się także Moskwa, Sankt Petersburg, być może Murmańsk i inne miasta, ośrodki przemysłowe decydujące o przetrwaniu ich narodu.

Dyspozycje dotyczą sytuacji również sytuacji, gdyby np. Polska przestała istnieć?

– Tego nie wiemy. Strategiczna broń jądrowa przede wszystkim służy ochronie państwa, które ją ma. Nie można jednak wykluczyć, że gdyby Rosja podbiłaby znaczną część Europy, w tym Polskę, Brytyjczycy czy Francuzi sięgnęliby po broń atomową.

Wiemy tyle, że Europa jest pewna parasolu atomowego, który w ostatecznej sytuacji zostanie użyty.

Ale okręty przenoszące pociski balistyczne z głowicami termojądrowymi mogą zostać wcześniej namierzone i unicestwione.

– Gdyby ktoś znalazł sposób na zlokalizowanie i zniszczenie okrętu podwodnego przenoszącego rakiety atomowe, to na pewno nie byłoby to Rosjanie.

Dlaczego?

– To nieosiągalny dla Rosji poziom technologicznej osłony. Atomowe okręty podwodne od dekad są budowane tak, żeby były jak najcichsze i nienamierzone. Załoga przechodzi szkolenie objęte ścisłą tajemnicą. To jest ich siłą. Wiedza i człowiek.

Okręt podwodny, który wyrusza z portu na patrol odstraszenia, odprowadzają ubezpieczające siły lotnicze i podwodne okręty uderzeniowe. Wychodzi do rejonu patrolowania i znika. W pobliżu mogą znajdować się inne jednostki, tylko ich załogi nie są świadome, co znajduje się 5 czy 15 mil od nich. Czas przebywania pod wodą jest nielimitowany zapasem paliwa, którym jest przecież uran w reaktorze, tylko wytrzymałością załogi. Patrole na brytyjskich okrętach trwają bardzo długo, obecnie to 4,5 miesiąca.

Śledzenie okrętów przewożących rakiety balistyczne jest prawdopodobnie niemożliwe. Nieoficjalnie Amerykanie stwierdzili, że dla nich to ekstremalnie trudne. Więc tym bardziej trudne dla Rosjan.

A francuskie jednostki z bronią atomową?

– Ich strategia opiera się na takim samym założeniu. Cele są tylko strategiczne – stolice wrogich państw, ośrodki dowodzenia najwyższego szczebla, przemysł zbrojeniowy, kluczowe ośrodki przemysłowe i instalacje wojskowe. Broń atomowa ma nie tylko zniszczyć kraj wroga, ale i uniemożliwić odbudowę.

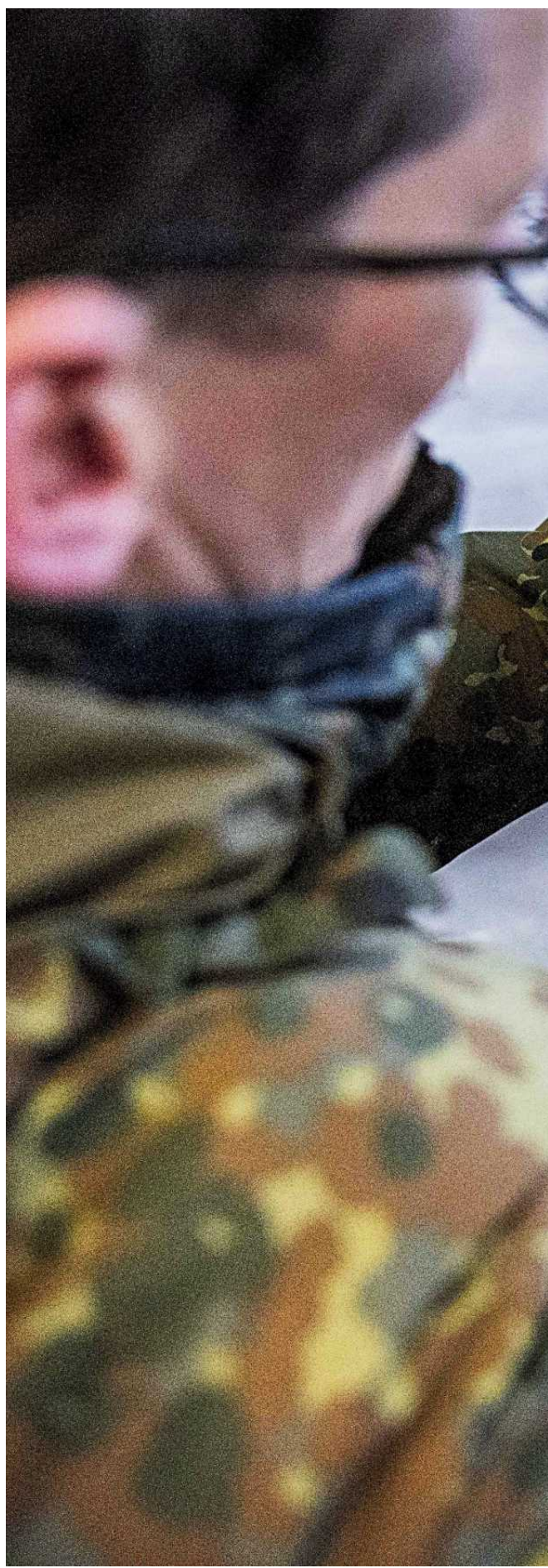
Francuzi, w przeciwieństwie do Brytyjczyków, którzy mają tylko rakiety atomowe na okrętach podwodnych, dysponują także pociskami manewrującymi ASMP, wyrzeliwanymi z samolotów Dassault Rafale. Regularnie odbywają się ćwiczenia sił odstraszenia atomowego o kryptonimie Poker. A francuskie Rafale regularnie wykonują loty nad Europą Wschodnią – i to jest kolejny sygnał dla wroga. Brzmi: „któregoś dnia Rafale będą miały podwieszane pociski ASMP”.

Francuzi są w stanie oddać jądrowy strzał ostrzegawczy pociskiem manewrującym, na przykład we wroga bazę wojskową, również z powietrza.

Polska powinna być pod parasolem atomowym Francji lub Wielkiej Brytanii?

– To nasz priorytet. Dopóki jesteśmy w NATO, obejmuje nas także parasol atomowy Francji.

W co jeszcze pozwalającego na odparcie ataku Rosji jest uzbrojona Europa?



– Mamy co najmniej równowagę, jeżeli chodzi o potencjał w powietrzu. A po tym, co Rosjanie pokazali albo czego nie pokazali na morzu podczas wojny w Ukrainie, to mamy co najmniej stan remisu ze wskazaniem na Zachód. Bo atutem Europy jest jakość, jeśli chodzi o rodzaj uzbrojenia i wyszkolenie wojska.

Patrząc tylko na same liczby, możemy poczuć się zaniepokojeni – na przykład u Francuzów jest około 200 samolotów bojowych, a Rosjanie mają 5 razy więcej. Ale Europa bije Rosję jakościowo, jeżeli chodzi o stan techniczny maszyn.

A poziom wyszkolenia załóg?

– Zachód jest wyraźnie lepszy. W Ukrainie Rosjanie okazali się w powietrzu zaskakująco niekompetentni. Olbrzymie straty próbują rekompensować, trzymając się z dala od ukraińskiej obrony przeciwlotniczej i lotnictwa, ale nie przynosi to rezultatu takiego, jakiego można by się spodziewać, zważywszy ich potencjał.

A jak jest na morzu?

– Na Bałtyku Rosja robi, co chce. Dosłownie. Uważa, że Bałtyk jej się po prostu należy. Działa w szarej strefie i ma przewagę. Jej wrogie działania eskalują. Możemy się spodziewać kolejnych jej akcji.

Środowisko morskie jest bardzo odmienne od lądowego. A w czasie pokoju obowiązują inne reguły prawne, choćby zasada wolności żeglugi, których kon-



sekwencją jest swoboda, a nawet bezkarność przeciwnika. To niestety wystawia bałtycką infrastrukturę krytyczną na zagrożenia i ataki terrorystyczne.

Sprzętowo kto ma przewagę?

– Gdyby doszło do otwartego konfliktu z Rosją, zagrożeniem dla Polski i Europy Zachodniej są rosyjskie okręty podwodne. Mogą skrycie wypłynąć na Morze Północne, na Atlantyk i stamtąd przeprowadzić atak konwencjonalnymi pociskami manewrującymi w rafinerię, elektrownię, w jakiś cel symboliczny i w ten sposób oddziaływać psychologicznie na obywateli. To stan, którego należy się obawiać.

Zagrożeniem są ostrzały pociskami manewrującymi z powietrza.

– Dla Rosjan szansą zadania nam strat byłoby powtórzenie ataków, które obserwujemy na Ukrainie. Czyli zmasowane ostrzały miast dronami, pociskami manewrującymi, balistycznymi. Celem byłby Hamburg, Rotterdam, Londyn, Kopenhaga, czy Trójmiasto. Tego można by się obawiać.

Z czym Europa ma tu problem?

– Przez 30 lat europejskie wojska lądowe przebudowano pod kątem działań innych niż konflikt zbrojny. Po 1990 r. Europa wycofywała się ze sprzętu ciężkiego, czołgów, dział samobieżnych, uzbrojenia prze-

Szwedzi, mimo że przez kilkadziesiąt lat nie wysyłali żołnierzy na wojny, mają bardzo bojowo nastawionych oficerów. W Norwegii w urzędach wiszą plakaty: w razie wojny naszym obowiązkiem jest walka

ciwlotniczego, przeciwpancernego. Holendrzy zredukowali siły pancerne praktycznie do zera. Ale na szczęście stworzyli brygadę aerobilną, kupił śmigłowce, ćwiczyli i brali udział w działaniach interwencyjnych i stabilizacyjnych. Każdy kraj robił po swojemu. Wspólne było za to nie myślenie o wojnie.

Europa zakładała, że nie będzie wojny.

– Zakładaliśmy, że prawdopodobieństwo wojny z Rosją jest niewielkie, a jeśli gdzieś trzeba będzie wysłać armię, to na Balkany, do Afryki, na Bliski Wschód. Wojska fokusowały na misje stabilizacyjne i antyterrorystyczne.

• **Niemieccy rezerwiści na szkoleniu w koszarach w Berlinie. (16.01.2025)**

FOT. REUTERS/
NADJA WOHLLEBEN

Podobnie w Polsce. Kupowaliśmy transportery kołowe Rosomak z przeznaczeniem strictly ekspedycyjnym, a mieliśmy ograniczone programy artyleryjskie – choćby budowy haubic Krab miał przerwę – i wstrzymane niektóre programy obrony przeciwlotniczej. Marynarki Wojennej po prostu nie było. A jej odbudowanie, z którym teraz przyspieszamy, potrwa dekady. Kiedy za czasów ministra Bogdana Klichy Niemcy zaoferowali nam przejęcie używanych Patriotów, odmówiliśmy. Był czas iluzorycznego odprężenia. Nawet rosyjska agresja na Ukrainę – aneksja Krymu i zajęcie Donbasu – z 2014 r. niczego nie zmieniła.

Mówiąc o bezpieczeństwie kontynentu, mamy na myśli Unię?

– Unię plus Wielką Brytanię i Turcję, z uwagi na kwestie polityczne, jej położenie i przemysł zbrojeniowy.

Od czego Europa powinna zacząć teraz?

– Wszyscy mówią o broni i pieniądzach, ale najważniejsze jest to, co legło u podstaw naszej wspólnoty. Europa musi zdefiniować, co znaczy dla niej obronność i jak ją postrzega.

Pytanie brzmi – czego chcemy bronić? To pryncypialne, niemal egzystencjonalne zagadnienie, przed którym stoi Europa. Musi wybrzmieć, że w tym momencie nie chodzi nam tylko o obronę terytorium, ale o to, kim jesteśmy. Po której stronie się opowiadamy. Czy po stronie dobra, czy zła?

Jeżeli chcemy się bronić przed Rosją, to nie możemy tego traktować tylko i wyłącznie w kategoriach wojskowych. Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tej Rosji się boimy? Dlaczego nie chcemy, żeby nam narzucała swoje warunki.

Pozornie sprawa jest oczywista. Rosja to dyktatura, przemoc i terror. Jak wyglądałyby rządy rosyjskie albo prorosyjskie w Polsce, w Szwecji czy w innym państwie europejskim możemy sobie wyobrazić, bo myśmy już to przechodzili. Ale czy taka świadomość jest na Zachodzie Europy? Moim zdaniem nie.



Dr Michał Piekarski

• politolog, zajmuje się m.in. bezpieczeństwem militarnym, konfliktami hybrydowymi, cyberbezpieczeństwem, terroryzmem i tzw. kulturą strategiczną. Pracuje w Instytucie Studiów Międzynarodowych i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Wracamy niemal do postaw Unii.

– Najważniejszą kwestią jest ponowne uświadomienie sobie przez obywatelki i obywateli kontynentu, co to znaczy być Europejczykiem i Europejką. Po co jesteśmy razem, co nam przyświeca, co daje siłę i co sprawi, że będziemy o to walczyć, gdy przyjdzie potrzeba.

Jesteśmy wspólnotą demokratyczną, liberalną, tolerancyjną. Dla nas ważne są wolność słowa, przekonań, wyboru w sferze życia prywatnego. Nie jesteśmy państwami, które chcą ludziom wchodzić w prywatne życie z butami i zmuszać do czegośkolwiek, do czego oni sami nie czują się zobowiązani. A to oznacza właśnie Rosja.

I na podstawie na nowo uświadomionych nam wartości, celów i zadań będzie można dopiero budować społeczne poparcie dla europejskiej obronności.

Zadań?

– Tak, bo przyszedł czas w Europie, gdy zadaniem społecznym zadaniem w sensie nie tylko zbiorowości, ale pojedynczego obywatela, każdego z nas, będzie opowiedzenie się, po jakiej stronie wartości jesteśmy.

Interesujące jest podejście do obronności w państwach skandynawskich, bo tam ludzie mają bardzo mocne poczucie, że mogą walczyć – a my powinniśmy się przyjrzeć, jak je wypracowano. W Norwegii od 1945 roku w urzędach, jednostkach wojskowych wiszą plakaty z rozkazem: w razie wojny naszym obowiązkiem jest walka. I to walka, która nie może zostać przerwana. Szwedzi wysyłają do mieszkańców broszury z przesłaniem, że kapitulacja jest wykluczona. Nawet gdyby trzeba było walczyć po partyzancku. I właśnie Szwedzi, mimo że przez kilkadziesiąt lat nie wysyłali żołnierzy na wojny, mają bardzo bojowo nastawionych oficerów.

Ale państwa skandynawskie podobnie jak my wiedzą, co się dzieje, kiedy napada opresyjne państwo totalitarne. Tym była dla Norwęgów Trzecia Rzesza, dla Finów Związek Radziecki. A teraz jest czas, by społeczeństwa Europy Zachodniej też zrozumiały i dowiedziały się, co oznacza Rosja.

Jak uzmysłwić ludziom co stracą, jeśli Europa nie będzie się zbroić, jeśli nie zgodzą się na wyrzeczenia z tym związane?

– Istnieje wyraźny związek pomiędzy silną obronnością w państwach skandynawskich i mechanizmem obronnej odporności ich społeczeństw. Tam od dziesięcioleci funkcjonują społeczne organizacje obronne, ale w zamian za to obywatele od państwa dostawali bardzo dużo. To były i są państwa z bardzo rozwiniętym sektorem usług publicznych.

Jeżeli mamy państwo, które oferuje społeczeństwu zabezpieczenia socjalne, dostęp do mieszkań, stabilny,

przewidywalny rynek pracy, gdzie nierówności społeczne są minimalizowane i nie ma drastycznego podziału na tych najbiedniejszych i bardzo bogatych, to ludzie chcą za to państwo i za to społeczeństwo walczyć.

Wiemy, co mamy do stracenia.

– Jeśli Europa nie chce być zaatakowana, politycy, rządy, instytucje, organizacje państwowe wspólnie z obywatelami i obywatelkami w każdym kraju muszą to przepracować razem.

Dla nas na wschodniej flance NATO rosyjskie zagrożenie jest czytelne. Ale im dalej na zachód, tym bardziej państwa nie mają poczucia bezpośredniego militarnego zagrożenia. Rosyjska ekspansja nie łączy im się z umiarem na froncie i w lagrach.

Ale w końcu muszą zrozumieć, że Rosja każdego dnia atakuje ich hybrydowo i w cyberprzestrzeni. Wspiera grupy terrorystyczne, zmienia wyniki wyborów. Już decyduje o ich życiu.

– Rosjanie będą np. epatować sloganami w rodzaju, że Ukraińcy to faszysty, że w czasie II wojny w państwach bałtyckich były kolaboracyjne formacje SS. Będą rozpałać stare i nowe konflikty i pogłębiać różnice pomiędzy Europą Wschodnią i Środkową a państwami bardziej na zachód. Na przykład będą grać taką narracją: sami wiecie, że Francuzi byli imperium kolonialnym i robili tam koszarne rzeczy, tak samo Belgowie i Holendrzy. I patrzcie, teraz chcą zrobić sobie imperium kolonialne w Europie Wschodniej. Chcecie tego? W ten sposób będą sabotowali nasze wysiłki obronne.

Dlatego budowanie odporności obronnej Europy trzeba realizować równolegle ze sprawami ideologicznymi, kulturowymi i informacyjnymi. Zacząć od przekonania społeczeństw, dlaczego trzeba z Rosjanami walczyć, dlaczego to, co robią, jest dla nas egzystencjalnym zagrożeniem.

Europa robi coś, żeby ulepić coś na kształt wspólnoty, jeśli chodzi o pojęcie bezpieczeństwa?

– Zdecydowanie za mało. To wyzwanie na poziomie strategicznym i dla Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, dla tych wszystkich wielkich decydentów.

Potem musimy przejść niżej, czyli przekonać ludzi mieszkających w Marsylii, w Brukseli, w Sienie, że będziemy musieli wydawać więcej na wojsko. I być może ogłaszać dobrowolne szkolenia wojskowe tak jak teraz w Polsce. A może nie będzie innego wyjścia dla obrony Europy, jak pobór do wojska.

Takie wyzwanie nie może zatrzymać się tylko na poziomie unijnym czy rządów państw. Będziemy musieli je podjąć na każdym szczeblu, włącznie z systemem edukacji. To kwestia kreowania wizerunku państwa, sił zbrojnych i wpływania na tej podstawie na społeczną odpowiedzialność za losy własnych krajów i Europy.

Wszystkie ręce na pokład.

– Idealny przykład to współpraca Hollywood i Pentagonu. Filmy, w których Amerykanie ratują świat przed asteroidą, robotami z kosmosu, ufoludkami albo przed szalonym dyktatorem, który ma bliskowschodnie albo azjatyckie rysy, to produkcje w ten czy inny sposób dofinansowane przez Pentagon. Departament Obrony do filmów o robotach z kosmosu daje statystów i sprzęt.

A jeśli Pentagonowi się nie spodoba?

– Nic nie jest za darmo. Scenariusz trafia do odpowiedniej komórki w Pentagonie i wojsko mówi: słuchajcie, wytknijcie to, zmierzcie tamto albo dorzućcie owo, bo od tego zależy czy będziecie mogli zrobić zdjęcia w bazie wojskowej, czy dostaniecie pięciuset żołnierzy jako statystów, czy nasze fajne super samoloty zrobią ewolucje przed kamerami?

Teraz w Europie jest sytuacja wyjątkowa i trzeba wykorzystać wszystkie metody, by wytłumaczyć ludziom, że wzrost wydatków na wojsko, a tym samym zmniejszenie komfortu ich życia jest priorytetem.

Społeczeństwa same nie przejdą tej kulturowej drogi. Wojsko musi w tym pomóc cywilom.

– Na poziomie komunikacji strategicznej prowadzonej przez siły zbrojne jest dużo fajnych rzeczy. Kiedy mamy rotację zachodnich samolotów w Polsce, zaprasza się dziennikarzy, robi się sesje fotograficzne w powietrzu i pokazuje społeczeństwu. Przekaz jest jeden: jesteście tutaj, jesteście gotowi, żeby was bronić. Ale liczymy również na was.

Na poziomie państwa najłatwiej jest mówić o wydatkach, o liczbie sprzętu, o zdolnościach produkcyjnych. Ale trzeba zrobić znacznie więcej, żeby przekonać społeczeństwa zachodnie, że muszą wydać pieniądze, żeby mieszkańcy we Wschodniej i Środkowej Europy byli bezpieczni. Bo to oni są najbardziej zagrożeni.

Bardzo skuteczna była ukraińska kampania informacyjna w zachodnich mediach, z filmami, których przekaz brzmiał: codziennie zabijają nas Rosjanie, ale nie różnimy się tak bardzo od was. Mamy te same marzenia, chcemy pokoju, chcemy chodź do kina, chcemy, by dzieci się uczyły. A Rosja nam to zabrała i to samo może zrobić z wami.

Był czas, gdy światowi celebryci, naukowcy przyjeżdżali do Ukrainy na znak poparcia, grano koncerty, oficjalnie sprzeciwiano się Rosjanom na pokazach mody. Ukraińska pieśń „Czerwona kalina” robiła furorę w sieci.

– Wojna zmobilizowała muzyków Pink Floyd do spotkania się w studiu po niemal trzech dekadach przerwy. Ich „Hey Hey Rise Up” to wariacja na temat „Czerwonej kaliny”, a śpiewa Andrij Chływniuk, ukraiński gwiazdor, który został żołnierzem obrony terytorialnej. To było bardzo skuteczne działanie. I ten przekaz Europa musi sama teraz kontynuować i nie bać się go. Bo to żadne straszenie, a mówienie, jak jest i że warto się przygotowywać, by wyprzedzić zagrożenia, nie na nie tylko czekać.

Trzeba do ludzi na Zachodzie mówić zrozumiałym językiem: słuchajcie, jesteście w kraju, w społeczeństwie, które żyje dostatnio, mamy ogromny zakres wolności osobistej. A jeżeli przyjdą Rosjanie, to koniec wolności. Rosja to państwo, które będzie was wysyłać do obozów, będzie was zabijać za to, że jesteście osobami LGBT albo nauczycielami, albo osobami z niepełnosprawnością.

To, co mówię, jest przerażające, ale to prawda. A tylko prawda może zmobilizować zachodnich polityków, biznesmenów, ekspertów, autorytety i obywateli, którzy do tej pory nie doświadczili rosyjskiej dyktatury.

Europa może stanąć przed koniecznością poboru?

– To zależy od państwa. Mamy w Europie kraje, gdzie pobór jest – to Finlandia, Litwa, Szwecja, Norwegia.

Europejczyk przyzwyczajony do wakacji, koncertów, latania samolotami i shoppingu będzie chciał iść do wojska?

– W Europie Zachodniej pobór już był. W Niemczech Zachodnich, we Francji, w państwach Beneluksu, do końca lat 60. w Wielkiej Brytanii.

W tym momencie problemem nie jest sama kwestia, jakie zdolności wojskowe ma nam dać pobór czy dobrowolne szkolenia wojskowe, ale społeczna aprobata i identyfikacja z bezpieczeństwem państwa. Uda się, gdy ludzie zostaną przekonani, że w razie potrzeby warto walczyć. Poza tym, jeżeli pobór miałby zostać wprowadzony, musi być powszechny.

Byłem kiedyś na niszczycielu Bundesmarine w niemieckim muzeum morskim. Wszliśmy do sporej kajuty. Spartańskie warunki. A dyrektor, który nas oprowadzał, mówi: tutaj żyło 60 marynarzy z poboru. Idąc do wojska, trafili do jednej załogi, do jednej kajuty z ludźmi z innych części Niemiec, z innych klas społecznych, o innym pochodzeniu, wykształceniu i zamożności. I uczyli się żyć razem. Rozumieć, że są częścią jednego społeczeństwa.

To już byłoby wielkie świństwo, ale Amerykanie mogą manipulować zaleceniami eksploatacyjnymi. Mogłoby być tak, że wydają zalecenie: w myśliwcach F-35 odkryliśmy wadę konstrukcyjną, jest problem, wstrzymujemy loty, wylatacie na własną odpowiedzialność

Polacy unikali obowiązkowej służby wojskowej na potęgę.

– Do 1990 r. uniknąć było trudno. Aparat państwowy skutecznie zmuszał obywateli do poboru, mimo że narastał opór przed służbą. Nie wszystkim pasowała rota przysięgi, w której mówiono o „braterskim przysięgu z Armią Radziecką”. I pod koniec lat 80. pojawił się choćby ruch Wolność i Pokój, otwarcie kontestujący obowiązek służby.

Po 1990 r. powszechność poboru w Polsce była iluzoryczna. Wystarczyło mieć maturę, żeby próbować skutecznie jej uniknąć i wielu tak robiło. Do tego w społeczeństwie była coraz większa świadomość patologii, choćby związanych z „falą”, z przemocowymi relacjami międzyludzkimi. To budowało kolejne warstwy niechęci do obowiązkowej służby.

Dlatego, jeżeli uznamy, że służba zawodowa czy w aktywnej rezerwie to mało i pobór faktycznie jest niezbędny, to musiałby być powszechny i równościowy. Dotyczyć też kobiet, jak w państwach skandynawskich.

Dopiero kiedy rozstrzygniemy kwestie społeczne i ideologiczne, możemy mówić, ilu żołnierzy potrzebujemy i co poborowi mają robić.

A ilu żołnierzy potrzebuje Europa, żeby dać odpór Rosjanom?

– Według raportu The Military Balance 2025 rosyjskie siły zbrojne to milion trzysta tysięcy żołnierzy plus półtora miliona rezerwistów. Czyli trzy miliony osób. Teoretycznie atakujący powinien mieć przewagę trzykrotną. Czyli obecnie powinniśmy mieć ponad milion żołnierzy.

Jest jakieś „ale”?

– Od tych trzech milionów Rosjan trzeba odjąć siły, które są na Dalekim Wschodzie. Oraz wojska wewnętrzne, bo Putina na Kremlu ktoś musi pilnować i kimś trzeba rosyjskie społeczeństwo za twarz trzymać.

Jaka jest jakość rosyjskiego żołnierza?

– To widać w Ukrainie. To, co robią tam Rosjanie, to powrót do modelu, który znamy z II wojny: masy bardzo kiepsko wyszkolonych żołnierzy, motywowanych przemocą i finansowymi apanażami. Dominują żołnierze jakościowo słabi, tylko uzupełniani przez mieszańkę wojskowych sprawnych, dobrze wyposażonych i dobrze wyszkolonych.

My możemy równoważyć rosyjską przewagę liczebną jakością, naszym wykształceniem i wyposażeniem. Biorąc pod uwagę, że nie zamierzamy Rosji podbijać, tylko się przed nią bronić, dla nas istotne są umiejętności i doświadczenie żołnierzy.

Europa jest w stanie to ogarnąć?

– Tak. I to olbrzymi nasz atut. Wszystkie nowoczesne doktryny wojskowe zakładają jak najlepsze przygotowanie żołnierza do ściśle określonych działań, a nie traktowanie go jak mięso armatnie.

A jeżeli ten żołnierz europejski na froncie nie był?

– Armie zachodnie nieustająco się szkolą. Ludzie mogą odchodzić z wojska, ale zostaje pamięć instytucjonalna. Wartością europejskiego wojska jest doskonalenie się, korzystanie z doświadczeń, analizowanie i wyciąganie wniosków. A teraz wojsko patrzy i wyciąga wnioski z wojny w Ukrainie.

Atutem naszych, zachodnich szkoleń jest realizm i uczenie żołnierza określonych umiejętności, a nie tylko wykazanie, że szkolenie się odbyło. I to model, którego należy się za wszelką cenę trzymać. Zachód ma to bardzo mocno zakodowane.

Na przykład Amerykanie utrzymują całe etatowe eskadry samolotów, oddziały wojsk lądowych, które mają jedną rolę – udawać przeciwnika. I to nie są sytuacje, że mamy do wykonania proste zadanie i ćwiczenia są „skazane na sukces”. Armia się uczy tylko wtedy, gdy ćwiczenia oddają, jak dalece to możliwe, prawdziwe warunki. I to właśnie zapewnia choćby taki „etatowy” pozorowany przeciwnik. Oraz taka kultura organizacyjna traktuje porażkę podczas ćwiczeń nie jako powód do wstydu, ale jako lekcję, budującą doświadczenie.

W polskiej armii jest też taki „etatowy” pozorowany przeciwnik?

– W Wojsku Polskim jest brygada zmechanizowana przeznaczona teraz do między innymi odgrywania takiego przeciwnika. Jest Centrum Szkolenia Bojowego Drawsko, dla którego zakupiono system symulacji – obie strony „strzelają” do siebie laserami, a więc widać: czy czołg trafił, czy nie, czy żołnierze prowadzą celny ogień, czy nie. Takie systemy dają konkretne dane pokazujące, co w wyszkoleniu żołnierzy i całych pododdziałów działa, a co należy poprawić.

Wojsko nie różni się od innych dziedzin funkcjonowania państwa: jeżeli podchodzimy uczciwie i serio do tego, co robimy, to zapracujemy.

Dozbrajanie Europy, uniezależnienie od dostaw spoza kontynentu i od niepewności sojuszu z Ameryką Trumpa – tego chcą Europejscy przywódcy po spotkaniach w Londynie i Brukseli. Co z tej trójcy powinno nas najbardziej martwić?

– Pieniądze Europa ma. Mamy bardzo mocną gospodarkę. Istotne, jak te pieniądze wydajemy. Musimy określić, na co powinny być wydawane – na drony, na czołgi? A może na coś innego?

A jeszcze istotniejsze – musimy uniezależnić się od dostaw spoza kontynentu, zwłaszcza z USA.

Ameryka może „wyłączyć” Europie broń, samoloty, rakiety?

– Nie ma żadnego magicznego sposobu połączenia systemu uzbrojenia przez zdalne wpisanie kodu. Coś takiego jest technicznie skrajnie trudne. Są systemy, w których można np. zdalnie zniszczyć wystrzeloną rakietę, ale nie da się zdalnie odciąć całego określonego typu uzbrojenia.

Tym, co Amerykanie nam mogą zrobić w czarnym scenariuszu, jest odciecie dostaw części zamiennych. Oraz – ale to już byłoby wielkie świństwo – manipulacja dokumentacją i zaleceniami eksploatacyjnymi.

Czyli?

– Co jakiś czas w lotnictwie cywilnym i wojskowym dochodzi do awarii albo katastrofy. Wówczas słyszymy, że samolot został uziemiony, a produkcja nowych egzemplarzy wstrzymana. Mogłoby być tak, że Amerykanie wydają zalecenie: w myśliwcach F-35 odkryliśmy wadę konstrukcyjną, jest problem, wstrzymujemy loty u nas, wylatacie na własną odpowiedzialność. Wiadomo, że my zrobimy to samo. Nikt nie zaryzykuje ludzkiego życia.

Oczywiście w najczarniejszym scenariuszu amerykańskich kontaktów z niepokornymi sojusznikami można wprowadzić złośliwe oprogramowanie pod pozorem aktualizacji. Ale to dywagacje. Jeśli Amerykanie będą chcieli nam dopiec, to najprościej im będzie odciąć nas od części zamiennych.

Produkcja i eksport uzbrojenia to w Unii domena Francji, która od dekad jest światowym liderem, drugim po USA. Według danych francuskiego resortu obrony rok 2024 był drugim najlepszym w powojennej historii sprzedaży uzbrojenia za granicę. Zamówienia przekroczyły 18 mld euro, z których prawie 10 mld dotyczyło flagowych produktów, takich jak samoloty myśliwskie i okręty podwodne.

– Europa ma przemysł zbrojeniowy, który jest w stanie co najmniej skompensować odcięcie się Amerykanów. Wyzwanie polega na jego przestawieniu i reorganizacji. A przede wszystkim na zgodzie politycznej na jego wykorzystania na rzecz Europy i podnoszenia wydatków zbrojeniowych.

Po drugie, w zmobilizowaniu europejskiego przemysłu zbrojeniowego ważne będzie wykorzystanie efektu synergii. Obecnie w Europie mamy konkurujących ze sobą producentów różnego sprzętu – od karabinków po czołgi. To oznacza ogromną presję lobbingsową i to na wiele państw.

Idealem byłyby wspólne wielonarodowe programy, jak kiedyś Tornado czy Eurofighter – ale na przykład Francja była pierwotnie w programie, który zrodził Eurofightera, ale wycofała się, budując swojego Rafale. Firm pancernych w Europie też jest kilka – i mamy kolejny obszar wewnętrznej konkurencji. Amerykanom jest łatwiej – mają do wyposażenia tylko jedną armię i prościej jest im uzbrojenie standaryzować w obrębie państwa.

Ile czasu potrzeba na uniezależnienie się od Amerykanów?

– To perspektywa kilku lat. Ilu, to zależy od tego, co i jak szybko chcielibyśmy zrobić. Logiczne byłoby po prostu stopniowe zmniejszanie tej zależności.

Czyli?

– Mamy określoną liczbę samolotów od Amerykanów, F-16, F-35, które eksploatujemy. Ale Polska w tym momencie może do F-35 kupić zamiast pocisku amerykańskiego produkt europejski. Czyli zamiast pocisków AIM-120 AMRAAM wybrać Meteor.

Najgorsze byłoby działanie pod presją chwili, bez patrzenia na skuteczność i opłacalność działań dla całej Europy, nie tylko poszczególnych krajów wspólnoty. Czyli problemem mogą stać się decyzje, które właśnie będziemy podejmować w Polsce, na przykład zakupu samolotów do tankowania powietrznego.

Ten kaliber decyzji podejmują politycy, a nie wojskowi.

– Tak. A do wyboru są dwie opcje: amerykański Boeing albo europejski Airbus.

Pana rekomendacja?

– W tym momencie kupowanie od Amerykanów nie ma sensu. Podobnie w przypadku innych programów, gdzie jeszcze decyzji nie podjęto. Tak duży kraj, jak Polska, z drugą co do liczebności armią w Europie, z olbrzymim budżetem na obronność i bezpośrednio zagrożony, musi mieć pewność, że Ameryka dotrzyma słowa i jest naszym sojusznikiem. A z Trumpem nie mamy gwarancji, że umowy militarne będą wiążące.

Za to mamy pewność, że będą naciski polityczne ze strony Amerykanów, by kupować ich sprzęt.

– Tak samo, jak będą naciski na inne państwa europejskie. Ogromną niewiadomą jest to, jak w najbliższym czasie będą się układać relacje w samej administracji amerykańskiej. I czy amerykański biznes zdoła wpłynąć na Trumpa, kiedy zauważy, że przez jego decyzje straci w Europie pieniądze. Duże pieniądze, miliardy dolarów.

Czeka nas wycofywanie się Ameryki z NATO i z Europy?

– Obecnie nie możemy traktować Ameryki jako niezawodnego partnera.

Alternatywą jest tylko Europa?

– Przede wszystkim Europa. Jeżeli chodzi o kwestie przemysłowe, bo jak najbardziej Turcja, Kanada, Korea Południowa, Japonia. Tajwan, Indie.

Czyli armia europejska to konieczność?

– Nie widzę jej w tym momencie jako „euroarmii”, czyli wspólnej, wielonarodowej formacji. Z zupełnie odrębnym dowództwem czy aparatem dowodzenia, choć przecież w przeszłości takie próby podejmowano. Jeżeli Amerykanie się wycofają z Europy, to wycofają się struktur NATO, ale Sojusz jako taki nie zniknie i nie przestanie działać.

Pytanie, kto będzie liderem na wypadek wojny?

– Należałby myśleć nie o liderze, a o liderach w określonych zdolnościach militarnych. Francuzi do spółki z Brytyjczykami, jeżeli chodzi o odstraszanie nuklearne, Brytyjczycy, jeżeli chodzi o kwestie morskie, państwa bałtyckie na naszym wspólnym akwenie wodnym.

A kto na lądzie ma przewagę?

– Niestety – ilościową przewagę mają Rosjanie. Wynika to nie tylko z tego, że mają te

trzy miliony żołnierzy i tysiące wozów bojowych, ale przede wszystkim z ich pogardy dla ludzkiego życia. Musimy więc przygotować się, by zrównoważyć tę przewagę jakością. Widzieliśmy, ile Rosjanom kłopotu narobił przekazany Ukrainie sprzęt artyleryjski, w tym HIMARS-y.

Pocieszeniem jest to, że rosyjska przewaga długo będzie tylko ilościowa. Ich czołg Armata, od przeszło dekady zapożyczany jako najnowocześniejszy i najpotężniejszy czołg świata, jedyne, co pokazał, to jak się pięknie zepsuć na Placu Czerwonym.

Kto rządzi w powietrzu?

– Tutaj przewaga jest po naszej stronie, jakościowa. Rosjanie, mając setki samolotów bojowych, nie potrafili ich na początku pełnoskalowej agresji sensownie używać. W pewnym momencie wydawało się wręcz, że nie są tacy głupi, na jakich wyglądają, bo okazali się jeszcze głupszy. Rajd śmigłowców na Hostomel w biały dzień był dowodem ich niekompetencji. Amerykanie i nie tylko oni nie bez powodu przywiązują ogromną wagę do latania w nocy.

A rosyjskie lotnictwo nie było w stanie wywalczyć przewagi w powietrzu ani przełamać ukraińskiej obrony przeciwlotniczej. A ich obrona przeciwlotnicza jest po prostu dziurawa. Ukraińskie drony wlatują w nią, regularnie trafiając np. w rafinerie.

Jedyne, co Rosjanom się częściowo udało to zmasowane ataki na infrastrukturę energetyczną, wykonywane pociskami manewrującymi i tanimi dronami oraz naloty bombami szybującymi, zrzuconymi z dala od ukraińskiej obrony. Jakościowo jesteśmy w stanie ich potencjał równoważyć – mówię tu o siłach powietrznych europejskich państw NATO jako całości.

A co z narodowymi ambicjami, stereotypami i różnicami kulturowymi, gdy przyjdzie podejmować decyzje strategiczne lub wykonywać rozkazy na polu walki – albo po prostu podporządkować się w europejskich siłach złożonych z tak wielu różnych narodów? Co, jeśli niemiecki kapitan powie: a czemu mam słuchać włoskiego pułkownika, a francuski generał będzie patrzył z góry na brytyjskiego?

– Tutaj nie mam obaw. Mamy za sobą kilkudziesiąt lat wspólnych działań, wspólnych struktur dowodzenia. Temperatura nacjonalizmów w Europie bardzo mocno opadła. A wojsko opiera się na formatach podległości dowódczej, a nie narodowościowej. Rozkaz to rozkaz.

Europa i jej wojsko przełamie dawne schematy myślowe i uprzedzenia, takie jeszcze z II wojny światowej, gdy Amerykanie, którzy byli tymi „starszakami”, zaczęły wychodzić z NATO?

– Co do żołnierzy – nie mam obaw. Ponownie: wiele lat ćwiczeń, szkoleń, misji buduje ogromny potencjał współpracy. Nie słyszałem nigdy, żeby np. Polak negatywnie wyrażał się o tym, że musi współdziałać z Niemcami. Takie fejkowe sytuacje bazujące na dawnych stereotypach mogą być natomiast kreowane i rozgrywane przez akcje dezinformacyjne, adresowane do osób spoza wojska.

Na pytanie, kiedy Rosja nas zaatakuje, to pan jak odpowiada?

– Zależy, o jakim ataku mówimy.

Siedzę sobie w kuchni na warszawskim Żoliborzu i spada bomba.

– Zależy, czy ta bomba to jedna salwa pocisków manewrujących, która spadnie na Warszawę, bo Rosjanie stwierdzili, że chcą nam coś udowodnić. To się może wydarzyć bardzo szybko. Ale jeśli to salwa przygotowawcza do inwazji, zajęcia Litwy, Łotwy, Estonii czy Polski – to kwestia kilku lat.

Przy czym nie mówię, że wtedy wojna wybuchnie, tylko że po takim czasie Rosja będzie ponownie gotowa do ataku. Jeżeli mówimy o inwazji lądowej z zamiarem zajęcia całości albo części terytorium, potrzebuje 5 lat od momentu zamrożenia działań wojennych w Ukrainie.

Natomiast jeżeli Rosjanie uderzyliby, na przykład, w nasz Pałac Kultury, tak na pokaz, to na Kaszubach jest piękna miejscowość Siemirowice, w której działa morska jednostka raketowa. I mam nadzieję, że jelicze z tej jednostki wyjadą w teren i odpalą rakiety NSM na rosyjską Flotę Bałtycką.

A oni znowu odpalą coś w nas.

– Być może. A może uznają, że jednak taka wymiana ciosów przyniesie im straty, których nie mogą zaakceptować.

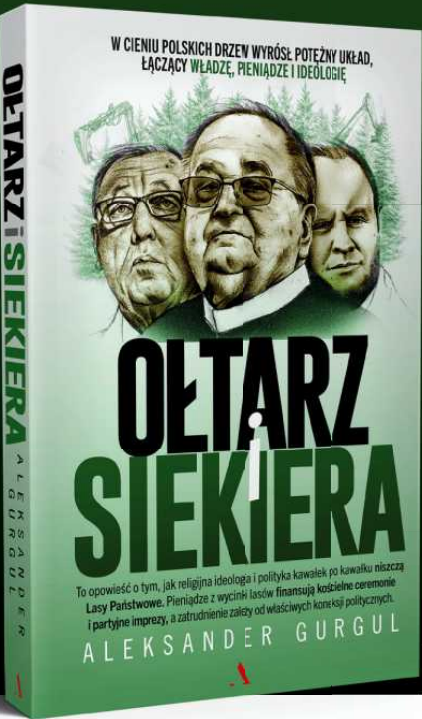
Teraz nie czas, by obywatelom w Europie, od których będziemy wymagali wyrzeczeń, a może nawet wstąpienia do armii, owijać coś w bawełnę.

Ale ludzie się po prostu boją.

– Wojna wpisana jest historię świata, tyle że Europa o tym zapomniała. Prawda może przerażać, ale tylko ona przygotowuje nas na zagrożenia. A przede wszystkim może sprawić, że czarne scenariusze się nie spełnią. ●

REKLAMA

Kraj/34363148



POTĘŻNA INSTYTUCJA,
KTÓRA WŁADA ĆWIERCIĄ TERYTORIUM POLSKI.

UKŁAD,
KTÓRY SIĘGA NAJWYŻSZYCH SZCZEBLI WŁADZY.

LEŚNICY,
KTÓRZY POSTANOWILI POWIEDZIEĆ PRAWDĘ.

Dziennikarz Gazety Wyborczej
ujawnia efekty wieloletniego śledztwa wokół
Lasów Państwowych.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA

KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

 **Wydawnictwo
Agora**

Drony, które obecnie decydują o sytuacji na froncie w Ukrainie, zmieniają sposób prowadzenia każdej następnej wojny. Radykalnie.

Andrew E. Kramer, Marc Santora, Lara Jakes
The New York Times

Kiedy pocisk moździerzowy eksplodował na pancerzu ich amerykańskiego wozu bojowego Bradley, ukraińscy żołnierze w środku zostali ogłuszeni, ale nie przejęli się zbyt, ponieważ ostrzał artyleryjski to był dla nich chleb powszedni.

Ale wtedy nagle wokół zaroilo się od małych dronów.

Celowaly w najsłabsze punkty opancerzonego Bradleya ze śmiertelną precyzją, której nie posiada żaden moździerz. Jeden z dronów uderzył tuż pod włazem.

„Ta eksplozja rozerwała mi rękę”, mówi starszy sierżant Taras, 31-letni dowódca załogi pojazdu, który, podobnie jak inni, używa w rozmowach z dziennikarzami jedynie swojego imienia, zgodnie z ukraińskimi protokołami wojskowymi.

Szukając opaski uciskowej, sierżant Taras zorientował się, że kierowca również oberwał, zamiast prawego oka miał krwawą dziurę. Obaj przeżyli, ale ten atak pokazał, w jaki sposób intensywnie rozbudowywana flota dronów – w dużej mierze oryginalnie stworzonych do całkiem innych celów, ale niskim kosztem przekształcanych w maszyny do zabijania – doprowadziła do tego, że trzeci rok wojny na Ukrainie był bardziej śmiertelny niż pierwsze dwa lata razem wzięte.

Według Romana Kostenki, przewodniczącego komisji obrony i wywiadu w ukraińskim parlamencie, to właśnie drony, a nie ciężka artyleria, która była dla tej wojny emblematyczna na samym jej początku, powodują ok. 70 proc. wszystkich rosyjskich i ukraińskich ofiar. W niektórych bitwach nawet więcej – do 80 proc. zgonów i ciężkich obrażeń wykluczających z dalszej walki, twierdzą dowódcy.

Kiedy nieco ponad trzy lata temu Władimir Putin wysłał swoją armię na Ukrainę, rozpoczynając największą wojnę lądową w Europie od 1945 roku, Zachód rzucił do Ukrainy broń konwencjonalną wartą miliardy dolarów, mając nadzieję na powstrzymanie inwazji. Nienasycone zapotrzebowanie generowane na ukraińskich polach walki do dziś niemal całkowicie wyczerpało zapasy państw NATO.

Według ukraińskich i zachodnich szacunków, łączna liczba zabitych i rannych żołnierzy po obu stronach przekroczyła już milion. Ale obecnie drony zabijają w Ukrainie więcej ludzi i niszczą więcej pojazdów opancerzonych niż cały pozostały konwencjonalny arsenał razem wzięty: karabiny snajperskie, czołgi, haubice, moździerze czy pociski.

Jeszcze do niedawna podstawowym dźwiękiem tej wojny był suchy klekot artylerii. Słyszając go, ukraińscy żołnierze umykali w transporterach opancerzonych lub pick-upach, w kluczowym momencie zatrzymując się gwałtownie, by opuścić pojazdy i rozprzecznić się po okopach, bunkrach, ruinach.

Artyleria powodowała u żołnierzy poczucie ciągłego zagrożenia, bo w każdej chwili można zginąć od pechowego bezpośredniego trafienia. Ale dziś większość wspomina tamte czasy jako lepsze.

Obecnie codzienność na froncie w niewielkim stopniu przypomina wczesną fazę wojny, kiedy rosyjskie kolumny ciężkiego sprzętu posuwały się drogami, a małe i szybkie oddziały ukraińskiej piechoty stosowały taktykę „uderz i uciekaj”.

Okopy, które wycięły głębokie blizny na linii kontaktu liczącej setki kilometrów, są nadal niezbędne do utrzymania frontu, ale dziś ginie się tam lub ponosi ciężkie obrażenia głównie z powodu zdalnie sterowanych bezzałogowców o różnych rozmiarach, uzbrojonych w materiały wybuchowe, wiele z nich to tylko lekko zmodyfikowane modele hobbystyczne.

Operatorzy dronów, ukryci w bunkrach lub po lasach, atakują jakby grali w grę wideo – za pomocą joysticków i ekranów, często pozostając wiele kilometrów od miejsca walki.

Nawet najzrywniejsze samochody czy pojazdy bojowe piechoty nie zapewniają ochrony przed szybciej latającymi dronami. Żołnierze bywają zmuszeni do wielokilometrowego kluczenia pieszo i to przez terytorium, które w razie ataku dronami jest zbyt niebezpieczne dla jeepów, transporterów

The New York Times:

NATO MUSI WYRZUCIĆ SWOJE TAKTYKI DO KOSZA



■ **Ukraiński operator drona z 3. Brygady Szturmowej w okolicach miasta Izium**

FOT. WOLFGANG SCHWAN / ANADOLU/ABACAPRESS / PAP

opancerzonych czy nawet czołgów. Żołnierze twierdzą, że na polu walki pojawił się nowy, dziwny element: rodzaj gry czy polowania, przeprowadzane go przez brzęczące latające roboty, które do skutku celują w konkretne pojazdy, a nawet pojedynczych żołnierzy.

Mówią, że to tak, jakbyś miał nad sobą tysiąc snajperów wroga.

„Przed artylerią można się ukryć” – mówi Bohdan, zastępca dowódcy brygady Gwardii Narodowej. „Za to drony – to całkiem inny rodzaj koszmaru”.

Abramsy wycofane z linii frontu

Ewolucja w prowadzeniu wojny, która dokonała się na naszych oczach w Ukrainie, może mieć poważne implikacje geostrategiczne.

Ponieważ niepewny status relacji między Ukrainą a administracją Donalda Trumpa stawia pod znakiem zapytania wszelką przyszłą pomoc wojskową z Ameryki, znaczenie broni konwencjonalnej dla

Ukrainy, na którą Amerykanie wydali już miliardy dolarów, jeszcze bardziej maleje.

Spośród 31 wysoce wyrafinowanych i bardzo kosztownych czołgów Abrams, które Stany Zjednoczone dostarczyły Ukrainie w 2023 r., 19 zostało utraconych lub zniszczonych, a za większość tych strat odpowiadają właśnie proste, tanie drony – mówią nam wyżsi rangą ukraińscy wojskowi. Dodają, że prawie wszystkie pozostałe Abramsy zostały już wycofane z linii frontu.

Dronów natomiast jest cały czas tylko więcej i więcej. W ubiegłym roku pomogły wypełnić lukę w kurczących się zapasach zachodniej artylerii i pocisków rakietowych wysyłanych do Ukrainy. Skala ich lokalnej produkcji jest oszałamiająca: w samym 2024 roku Ukraina wyprodukowała ponad milion dronów FPV (First Person View), czyli sterowanych z pomocą kamery zamontowanej na maszynie. Rosja z kolei twierdzi obecnie, że jest w stanie produkować 4 tys. sztuk dziennie.

Oba walczące kraje zamierzają do końca roku dostarczyć na front od trzech do czterech milionów dronów.

Rosjanie szybko dostosowali swoją taktykę z użyciem dronów na wzór pomysłów Ukraińców. Ukraiński sztab donosi od początku tego roku o ogromnym wzroście liczby ataków dronów przeprowadzanych przez wroga.

A Ukraina już w zeszłym roku użyła więcej dronów kamikadze niż najpopularniejszych pocisków artyleryjskich dużego kalibru. Dowódca ukraińskich sił dronowych, pułkownik Wadym Sucharewski, twierdzi, że Ukraina realizuje obecnie strategię „robots first”.

Dowódcy ostrzegają: bez względu na to, jak bardzo mogą być skuteczne, drony nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb militarnych broniącej się Ukrainy i nie mogą po prostu zastąpić broni konwencjonalnej. Ciężka artyleria i inna broń dalekiego zasięgu pozostają niezbędne z wielu powodów, w tym do ochrony oddziałów w terenie i atakowania posterunków dowodzenia lub systemów obrony powietrznej.

Ci sami dowódcy przyznają jednak, że wykuwająca się w Ukrainie dominacja dronów może trwale zmienić charakter działań wojennych. Taktyka pola bitwy w tej wojnie z pewnością będzie naśladowana zarówno przez armie państw NATO, jak i pilnie obserwujących to pole walki Iran, Koreę Północną i przede wszystkim Chiny.

„Wojna w Ukrainie to osobliwy miks I wojny światowej toczonej w okopach z totalną III wojną światową, której przebiegu możemy się nadal tylko domyślać – i taka właśnie może być każda wojna w najbliższej przyszłości” – mówi francuski admirał Pierre Vandier, który obecnie nadzoruje Allied Command Transformation NATO.

NATO właśnie otworzyło wspólne centrum szkoleniowe z doświadczonymi ukraińskimi żołnierzami, aby opracować nowe strategie walki z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, zaawansowanej analizy danych i innych systemów uczenia maszynowego.

Admirał Vandier uważa, że ma to kluczowe znaczenie nie tylko dla obecnie toczonej wojny, ale także dla zrozumienia, w jaki sposób zmiany zachodzące na frontach w Ukrainie mogą przygotować NATO na przyszłe konflikty.

„Wojna jest procesem uczenia się, a górą jest ten, kto szybciej wyciąga wnioski” – dodaje Vandier.

Tempo zmian zdziwiło nawet uważnych analityków wojenowych, zmuszając ich do ponownego zastanowienia się nad sensem produkowania broni wartej miliony dolarów za sztukę, jeśli na polu bitwy może zostać zniszczona przez drona kosztującego kilkaset dolarów.

Sytuacja teraz wygląda tak: drony uzbrojone w karabiny zestrzeliwiają drony szturmowe. Drony przeciwlotnicze są projektowane w taki sposób, by eliminować drony obserwacyjne latające na wyższych pułapach. Większe drony z kolei służą jako statki-matki dla rojów znacznie mniejszych dronów, radykalnie zwiększając zasięg ich ataków.

Mnożenie się rodzajów dronów, z których wiele wyposażonych jest w zaawansowane kamery, umożliwiło również bliższy wgląd w walki na obszarach frontowych, zwykle niedostępnych dla dziennikarzy. „New York Times” przeanalizował dziesiątki nagrań wideo opublikowanych w internecie przez armie obu stron. Chociaż filmy te zasadniczo służą do celów propagandowych, to i tak pokazują, w jaki sposób nowe technologie zmieniają współczesne pole walki.

Ataki Dementorami z „Harry’ego Pottera”

Oczywiście drony były wykorzystywane już w pierwszych dniach inwazji. Kiedy rosyjskie kolumny pancerne ruszyły na Kijów, cywile zorganizowali się za pośrednictwem nieformalnej grupy w mediach społecznościowych, aby pomóc w obronie stolicy. Szybko zmodyfikowali swoje prywatne drony, aby zrzucić z nich granaty ręczne i wszelką inną amunicję na nacierające oddziały wroga.

Ta broń konstruowana ad hoc stała się tak powszechna i skuteczna, że Rosjanie szybko zaadoptowali ukraińskie metody: jeden z pierwszych „dronowych obrońców”, Serhij, mówi nam, że sam został po kilku miesiącach zaatakowany przez dokładnie taki sam model tak samo zmodyfikowanego drona.

Ukraińcy wykorzystują do uzbrajania dronów szeroką gamę materiałów wybuchowych. Zrzucają na pozycje wroga granaty, pociski moździerzowe, nawet miny. Modyfikują broń przeciwpancerną i amunicję kasetową, aby dopasować je do parametrów dronów, lub używają przeciwpiechotnych głowic odlamkowych i z ładunkami termobarycznymi do niszczenia betonowych budynków i bunkrów.

Kpt. Wiaczesław, dowódca kompanii dronów uderzeniowych 68. Samodzielnej Brygady Strzel-

ców, pokazuje nam rolę na swoim telefonie – ma tam zdjęcia około 50 rodzajów amunicji używanej przez Ukraińców do uzbrajania dronów.

„Ten ładunek nazywa się Biała Gorączka, zawiera ponad 10 kilogramów materiałów wybuchowych. Przepala wszystko. A tego drona nazywamy Dementorem, jak te potwory w »Harrym Potterze«, bo jest czarny jak smoła i ma zamontowany 120-milimetrowy moździerz. Ten z kolei nazywa Koralik... Chłopa-ki naprawdę lubią się tym bawić”.

Ale akcja zawsze powoduje reakcję. W odpowiedzi na zmasowane ataki dronami natychmiast rozwinięły się narzędzia do zagłuszania sygnałów radiowych, które są niezbędne do kierowania większością dronów. Dziesiątki tysięcy zagłuszaczy rozmieszczono na liniach frontu w celu „oślepienia” dronów, ale przy okazji zakłócając widmo fal elektromagnetycznych, a więc także GPS, nawigację, radary i nasłuch wywiadowczy.

Ukraińscy dowódcy przyznają, że rosyjskie zagłuszacze znacznie utrudniają trafienie w cel nawet wykwalifikowanym ukraińskim operatorom.

Laboratorium Ukraina

Ale od czego są innowacje. Ukraińscy inżynierowie zbudowali drony z „przeskakiwaniem częstotliwości”, automatycznie przełączające się z jednego sygnału radiowego na inny w celu ominięcia zagłuszarek.

Z misjami bojowymi zaczynają też latać drony obserwacyjne, które kierują się sztuczną inteligencją – bez potrzeby zdalnego sterowania przez radio. Jesienią ubiegłego roku taki dron testowany przez amerykańską firmę Shield A.I. zlokalizował dwie rosyjskie wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze Buk SA-11 i przesłał ich lokalizację ukraińskiej artylerii.

Obie strony sięgnęły również po nieco mniej zaawansowane technologie, w tym podwidywanie dronów do cieniutkich kabli światłowodowych, które mogą rozciągać się na ponad 10 mil – dzięki połączeniu przez kabel dron pozostaje pod kontrolą operatora bez użycia sygnałów radiowych.

Jak twierdzą Ukraińcy, to Rosja pierwsza wprowadziła te światłowodowe obejścia na masową skalę, zamawiając w chińskich fabrykach tysiące szpul takich kabli dla dronów „fly-by-wire”.

Potwierdzają to ostatnie nagrania z linii frontu: kable światłowodowe ciągnące się po polach, delikatnie polyskujące w słońcu. Wpisuje się to w utarty już schemat tej wojny: to Ukraina ma szerszą gamę innowacyjnych projektów, ale Rosja ma więcej pieniędzy i przewagę liczebną oraz przemysłową, dzięki czemu jest w stanie kopiować pomysły i produkować szybciej.

Jest też wiele bardziej analogowych sposobów adaptacji do nowej dronowej rzeczywistości. Żołnierze pokrywają czołgi stalowymi siatkami lub prowizorycznymi stelażami z blachy, upychając w przestrzeń między nimi a pancerzem stare opony i kłody drewna, aby ograniczać skutki eksplozji.

Co więcej, w czasie, gdy najlepiej doinwestowane armie świata dopiero testują drony naziemne, w Ukrainie są one stosowane dość powszechnie.

■
*„Przed artylerią można się ukryć.
Za to drony
– to całkiem inny rodzaj koszmaru”
– mówią żołnierze*

Tak zwane boty bojowe wyglądają jak zdalnie sterowane samochodziki z grubymi oponami lub mini czołgi na gąsienicach. Rozrzucają miny, przewożą amunicję lub pomagają w ewakuacji rannych. Niektóre mają zamontowane ładunki wybuchowe, które eksplodują po wbiciu się między pozycje wroga, inne są wyposażone w karabiny maszynowe i otwierają ogień znienacka.

W grudniu 13. Brygada Gwardii Narodowej Ukrainy przeprowadziła pierwszy w pełni zrobotyzowany szturm bojowy. Rosjanie próbowali zniszczyć zdalnie sterowane – z bunkra za ukraińską linią frontu – pojazdy za pomocą moździerzy i zrzucając materiały wybuchowe z własnych dronów.

Tanie drony zamiast drogich rakiet

Obrona powietrzna pozostaje jedną z najpilniejszych potrzeb Ukrainy. To dlatego samoloty F-16, które przekazały kraje NATO, wykonują głównie patrole powietrzne, w ogóle nie angażując się w misje szturmowe. Do-

wódcy mają jednak nadzieję, że wkrótce do akcji wkroczy sztuczna inteligencja – zwłaszcza w celu zwalczania rosyjskich pocisków dłuższego zasięgu, systematycznie wystrzeliwanych w ukraińskie miasta.

Rosja wyposażyla swoje bomby zaprojektowane jeszcze w ZSRR w wysuwane skrzydła i nawigację satelitarną, przekształcając je w kierowaną amunicję zwaną bombami szybującymi. Ukraińskie wojsko twierdzi, że ponad 51 tys. takich bomb zostało zrzuconych na ukraińskie miasta i pozycje w pobliżu frontu. Ukraińskie wojsko próbuje je przechwytywać, m.in. zestrzeliwując je kosztownymi raketami. Ale nie zawsze się to udaje.

NATO stara się więc zaprząć sztuczną inteligencję i inne metody uczenia maszynowego do znajdowania wzorców w atakach z użyciem bomb szybujących, mając nadzieję na ich bardziej precyzyjne przechwytywanie lub zagłuszanie sygnału kierującego.

Ukraińcy twierdzą z kolei, że poczynili postępy w walce dron kontra dron, wzmacniając w ten sposób tradycyjną obronę powietrzną. Uderzają małymi quadkopterami w rosyjskie drony dalekiego zasięgu. A niedawno ukraińscy inżynierowie opracowali broń laserową (podobną dysponują np. Izraelczycy), która może unieszkodliwiać nisko lecące drony, w tym zaprojektowane w Iranie Shahedy, których Rosja używa masowo od niemal samego początku wojny.

Broń dalekiego zasięgu jest kolejnym priorytetem. Rosja przeprowadziła już na Ukrainie ponad 10 tys. ataków raketowych i stale uzupełnia swój arsenał raketowy. Dla porównania, Ukraina polega na ograniczonej liczbie pocisków sterowanych wyprodukowanych na Zachodzie, aby uderzać w cele w Rosji.

Jako alternatywę opracowano drony dalekiego zasięgu, które były nie do pomyslenia jeszcze w momencie rozpoczęcia wojny. Niektóre z nich uderzają ponad 700 mil poza linią frontu. Coraz częstsze są ataki z użyciem ponad setki dronów dalekiego zasięgu naraz, np. ostatnio na Moskwę.

Na morzu przebieg tej wojny jest nie mniej zaskakujący, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Ukraina rozpoczęła ją praktycznie bez własnej marynarki wojennej.

Przez wiele miesięcy rosyjskie okręty wojenne, widoczne z ukraińskiego brzegu, zagrażały wybrzeżu Odessy, jednego z największych miast Ukrainy. Nawet gdy Ukraińcy zatopili okręt flagowy Floty Czarnomorskiej, używając wyprodukowanych w kraju pocisków przeciwokrętowych Neptun, Kreml nadal skutecznie blokował ukraińskie porty.

Trzy lata później rosyjskie statki już rzadko zapuszczają się w północno-zachodnią część Morza Czarnego, a marynarka wojenna wycofała większość swojego sprzętu z portów na okupowanym Krymie, obawiając się ukraińskich ataków.

Proste ukraińskie drony morskie wypełnione materiałami wybuchowymi mogą pokonywać setki mil, by atakować wrogie okręty. Rosjanie musieli zamontować w Sewastopolu zapory z boi i min, ale Ukraińcy często wysyłają swoje drony na polowanie w „wilczych stadach”: dron prowadzący toruje drogę dla tych, które podążają za nim.

Dowódca ukraińskich sił morskich, wiceadmirał Oleksij Nejiżpapa, przyznaje, że chociaż okręty wojenne są wciąż kluczowe dla dominacji na akwenach, to drony „zapoczątkowały nową erę w operacjach morskich”. „To nie tylko narzędzie taktyczne, ale strategiczna zmiana w podejściu do wojny na morzu” – mówi admirał Nejiżpapa, przypisując dromom zmianę układu siły na Morzu Czarnym. A amerykańscy dowódcy wojskowi już poważnie analizują ukraińskie podejście, zwłaszcza pod kątem ewentualnego ataku Chin na Tajwan.

Wszystko, co wydarzyło się na polu walki w ciągu wojny w Ukrainie, skłoniło wielu zachodnich przywódców do zakwestionowania dotychczasowych założeń obronnych. „Myślę, że przechodzimy do ery wojen polegających na technologicznej innowacji i elastyczności”, powiedział prezydent Finlandii Alexander Stubb na styczniowym Forum Ekonomicznym w Davos. „Nie tylko Ukraińcy są o krok przed nami, co moim zdaniem jest świetne, ale także Rosjanie szybko dostosowują się do nowej sytuacji. My naprawdę musimy przemyśleć naszą zbiorową obronę kompleksowo. Inaczej będziemy na straconej pozycji w razie konfliktu z agresywną Rosją”. ● Współpraca: Marco Hernandez, Lubow Szoludko

tłum. Łukasz Grzymisławski
Tytuł i śródtytuły od redakcji.

© 2025 The New York Times Company

ZGINIE 5 MLD, RESZTA BĘDZIE GŁODOWAĆ

W przypadku wojny atomowej rząd zachowa się inaczej niż np. w przypadku huraganu. Nie będzie chronił ludności, bo wszyscy już będą martwi.



Z **ANNIE JACOBSEN ***,
SPECJALISTKĄ OD BRONI JĄDROWEJ,
AUTORKĄ KSIĄŻKI „WOJNA NUKLEARNA.
MOŻLIWY SCENARIUSZ”
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**
Kursywa wywiedzie to cytaty z książki

Wojna atomowa w 2025 roku naprawdę jest możliwa?

– Chciałam ukazać czytelnikom, jak straszne byłoby skutki wojny nuklearnej, dlatego w książce nie szczędziłam przerażających szczegółów. Pracując nad nią, dotarłam do wielu pomijanych wcześniej źródeł. Rozmawiałam z byłymi sekretarzami obrony, szefami STRATCOM [Dowództwa Strategicznego Stanów Zjednoczonych] czy nuklearnymi sił podwodnych. W praktyce wszyscy oni pełnią funkcję doradców prezydenta USA w zakresie dowodzenia i kontroli arsenału nuklearnego na najwyższym szczeblu. Wielu z nich powiedziało mi: „Cieszę się, że piszesz tę książkę. Ludzie już zapomnieli o wojnie nuklearnej i egzystencjalnym zagrożeniu”.

Już podczas prac nad książką o Strefie 51 [tajna baza wojskowa w Nevadzie] przeprowadziłam wywiady z naukowcami z projektu „Manhattan”, ludźmi, którzy konstruowali bomby atomowe. Być może dlatego zawsze myślałam o egzystencjalnym niebezpieczeństwie czającym się tuż pod powierzchnią. Po upadku muru berlińskiego wydawało się ono mniejsze, aż do wybuchu wojny w Ukrainie. I okazało się, że regularnie grozi się Zachodowi użyciem broni nuklearnej. Nie spodziewałam się tego, gdy zaczynałam pisać książkę.

Putin powiedział, że w przypadku pomocy NATO w Ukrainie użyje sił, jakich świat nigdy nie widział.

– Pokazuje to, że zagrożenie zawsze istniało. I zawsze będzie istnieć.

Myślę o tym, co powiedział mi sekretarz generalny ONZ António Guterres jesie-

nią 2022 r.: „Ludzkość od nuklearnej zagłady dzieli tylko jedno nieporozumienie, jedna błędna kalkulacja. To absurd. Musimy zmienić kurs”. Chodzi o to, że równie niebezpieczny, jak realny przywódca decydujący się na użycie broni nuklearnej jest błąd w obliczeniach czy nieporozumienie. Od nuklearnej zagłady dzieli nas tylko tyle.

W październiku 1960 roku komputery w stacji radarowej w bazie Thule na Grenlandii błędnie zidentyfikowały wschodzący nad Norwegię księżyc jako echo radarowe odbite od tysiąca pocisków ICBM wystrzelonych przez Sowietów. W roku 1979 omyłkowo wprowadzona do komputera NORAD taśma symulacyjna zawierająca scenariusz gry wojennej zmyliła analityków w amerykańskich stanowiskach dowodzenia, którzy doszli do wniosku, że Stany Zjednoczone zostały zaatakowane przez Sowietów. Na ekranach komputerów pojawiły się nadlatujące międzykontynentalne pociski balistyczne uzbrojone w głowice jądrowe, a także pociski z głowicami jądrowymi wystrzelone z okrętów podwodnych.

Mnie bardziej przerażają słowa Roberta Oppenheimera: „jesteśmy jak dwa skorpiony w butelce – jeden może zabić drugiego, ale ryzykuje własnym życiem”. Jednak ostatnio słyszałem głosy „optymistów”, że w ostatnich dziesięcioleciach mamy mniej pocisków nuklearnych.

– To żaden powód do optymizmu. „Optymizm” i „broń nuklearna” nigdy nie powinny występować w tym samym zdaniu. Zagrożenie istnieje i jest realne. Takie myślenie to ignorancja. Wystarczy spojrzeć na liczby. Czy świat jest w mniejszym niebezpieczeństwie, bo od czasów zimnej wojny zredukowaliśmy liczbę pocisków nuklearnych do kilku tysięcy? Wystarczy głowic, by spowodować zimną nuklearną, która zabije 5 mld ludzi. Jeśli ktoś chce podyskutować o tym, jak optymistyczne to założenie, odsyłam do mojej książki.

USA i Rosja to nie jedyne skorpiony w butelce. Jak realne zagrożenie stanowi choćby Iran, największy kraj na świecie, który jest wrogo nastawiony do Zachodu i posiada broń jądrową.

– Obecnie dziewięć państw jest uzbrojonych w broń nuklearną. Posiadają łącznie około 12 300 sztuk. Dodanie dziesiątego kraju do tej mieszanki zwiększa zagrożenie. Fakt, że irańscy przywódcy wyrażają eschatologiczne przekonania, które obejmują tzw. nieuniknione zniszczenie wszechświata, sprawia, że obecne władze w Iranie są wyjątkowo niebezpieczne, jeśli chodzi o posiadanie broni jądrowej.

Francja proponuje stworzenie parasola nuklearnego nad Europą poprzez rozmieszczenie w Niemczech myśliwców Rafale wyposażonych w pociski z głowicami nuklearnymi.

– Proponując tzw. tarczę nuklearną, Francja – jedyny uzbrojony w broń nuklearną kraj w Unii Europejskiej – sygnalizuje wsparcie dla europejskich sąsiadów. Nie oznacza to nic więcej i niczego nie zmienia. Nie ma czegoś takiego jak wojna nuklearna o ograniczonym zasięgu.

Gdyby Francja użyła broni nuklearnej przeciwko rosyjskim celom, Rosja zniszczyłaby całą Europę. Doktryna ta nie bez powodu nosi nazwę Wzajemnego Zagwarantowanego Zniszczenia (Mutual Assured Destruction). Wszyscy i wszystko ulegnie anihilacji. Wojna nuklearna to szaleństwo. Również myślenie, że europejska tarcza nuklearna mogłaby ochronić kogokolwiek w Europie w przypadku wymiany nuklearnej z Rosją.

Mitów jest wiele, np. możliwość zestrzelenia nadlatującej rakiety nuklearnej. USA wydały na to miliardy dolarów...

– To jedna z fantazji, które pozwalają nam lepiej spać. Ludzie w nią wierzą, bo chcą czuć się bezpiecznie. Takie myślenie czyni świat bardziej niebezpiecznym

• **Poligon w Plesiecku w północno-zachodniej Rosji. Testy pocisków balistycznych Yars w czasie ćwiczeń rosyjskich sił nuklerynych. Monitorował je Władimir Putin. Zdjęcia opublikował rosyjski MON, 26 października 2022 r., dodając w komunikacie, że „wszystkie testowne rakiety osiągnęły wznaczone cele”** FOT. RUSSIAN DEFENSE MINISTRY/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

miejszem, sprawia, że ludzie są bierni i nie akceptują realności egzystencjalnego zagrożenia, jakim jest wojna nuklearna.

Światowi przywódcy muszą powrócić do międzynarodowych traktatów i redukcji arsenałów. Stawką jest życie każdego człowieka.

Uważasz, że to możliwe? Nawet w długoterminowej przyszłości?

– Poszukajmy pozytywnych przykładów w historii. Ronald Reagan objął urząd prezydenta USA w niewiarygodnie niebezpiecznym okresie lat 80., kiedy mocarstwa znajdowały się w skrajnym konflikcie. Reagan początkowo wierzył, że więcej broni nuklearnej sprawi, że Ameryka będzie bezpieczniejsza. Wszystko zmieniło się, gdy obejrzał film „The Day After” [z 1983 roku, w reż. Nicholasa Meyera], który przedstawiał fikcyjną wojnę między Związkiem Radzieckim a Ameryką. Był przerażony. „Przygnębiony”, jak zapisał w swoim dzienniku.

Reagan zdecydował się na powiększenie arsenału nuklearnego, również tego w kosmosie, ale jednocześnie próbował wyciągnąć rękę do największego wroga i nawiązać dialog. I tak doszło do szczytu w Reykjavíku z udziałem Reagana i Michaiła Gorbaczowa, przywódcy Związku Radzieckiego. W rezultacie liczbę sztuk broni nuklearnej na świecie zredukowano z 70 tys. do 12 tys. Wierzę, że historia pokazuje nam, że zmiana stanowiska jest możliwa.

Właśnie, mówiąc o prezydencie... Jego rola w takim konflikcie to kolejny eksytujący temat.

– Gdyby wybuchła wojna nuklearna, trwałaby sekundy i minuty, a nie godziny, dni czy tygodnie. Dlatego system został skonstruowany tak, że to prezydent ma wyłączną władzę. W przypadku konieczności przeprowadzenia kontrataku z użyciem broni nuklearnej nie poprosiłby nikogo o pozwolenie. Ani sekretarza obrony, ani przewodniczącego Połączonych Szefów Sztabów, ani Kongresu. Decyzja należy tylko do niego. Wg protokołów na jej podjęcie ma około sześciu minut.

Dlatego nie rozstaje się z tą tajemniczą czarną walizką?

– Pod koniec lat 50., w okresie Zimnej Wojny, całego arsenału nuklearnego NATO w Europie (samolotów F84F wyposażonych w głowice nuklearne) bronił przypadkowy strażnik z karabinem M1 i ośmioma nabojami w magazynku. To zmieniono, stopniowo zabezpieczając głowice odpowiednimi kodami, które właśnie znajdują się w tej walizce, wraz z planami kontrataku na ewentualne uderzenie nuklearne.

Informacje znajdujące się w walizce potocznie nazywane są czarną księgą. Pracujący w Los Alamos dr Glenn McDuff powiedział mi, że to dlatego, że wiąże się ona z tak dużą ilością śmierci.

Wiele osób może być zaskoczonych, gdy dowie się, że z perspektywy Amerykanów wojna nuklearna to sekwencja wydarzeń, które nie tylko zostały ustalone, ale też doskonale przećwiczone. Dziwić też może szczerłość, z jaką wysocy rangą urzędnicy dzielili się obawami przed atakiem na USA i szczegółami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego.

Obszyta skórą aluminiowa walizka zwana jest potocznie futbolówką (Football). Niezależnie od okoliczności futbolówka musi znajdować się w zasięgu wzroku głowy państwa. Podczas oficjalnej wizyty prezydenta Billa Clintona w Syrii ochroniarze syryjskiego prezydenta Hafiza al- Asada próbowali uniemożliwić wojskowemu adiutantowi Clintona wejście razem z nim do windy. „Nie mogliśmy do tego dopuścić i nie dopuściliśmy”, powiedział mi były dyrektor Secret Service Lewis Merletti. Merletti był w tamtym czasie agentem głównodowodzącym ochroną Clintona; później stanął na czele całej Secret Service. „Futbolówka musi być zawsze przy prezydencie – wyjaśnia. – To zasada, od której nie ma wyjątków”.

Zalóżmy, że dojdzie do nuklearnego konfliktu i że jakoś go przetrwamy. Co zrobi rząd? Czy będzie w stanie nam pomóc?

– Organizacja, która za to odpowiada, to FEMA [Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego]. Udało mi się porozmawiać z byłym dyrektorem FEMA z czasów rządów Baracka Obamy Craigiem Fugate'em. Nie mogłam się doczekać, co mi powie. Wyobrażałam sobie tajne bunkry i helikoptery do ucieczki...

Tymczasem Fugate powiedział, że wojna atomowa to tzw. zdarzenie o niewielkim prawdopodobieństwie, ale ogromnych konsekwencjach. W jej przypadku rząd zachowa się inaczej niż w sytuacji huraganów, trzęsień ziemi czy powodzi. Nie będzie potrzeby ochrony ludności, bo wszyscy będą martwi. Trzykrotnie nagrałam mu się na pocztę, aby się upewnić, że właśnie to miał na myśli. Potwierdził.

Tak więc jedyną rolą FEMA jest ochrona kilku polityków?

– Wręcz przeciwnie. FEMA nie planuje również ochrony polityków. Ci też będą martwi.

Pod budynkiem Pentagonu, głęboko pod ziemią znajduje się Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego. To główny ośrodek dowodzenia i kontroli w razie wojny nuklearnej.

Na wypadek, gdyby został zniszczony, istnieje Alternatywne Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego zwane komplek-

sem Raven Rock Mountain lub Stanowiskiem R. To podziemne centrum dowodzenia znajdujące się ok. 100 km na północny zachód od Waszyngtonu. Uchodzi za najbezpieczniejszy z podziemnych schronów położonych w stosunkowo niewielkiej odległości od Białego Domu. Zostało zbudowane przez Trumana pod koniec lat 40. i na początku 50.

Jeśli ktokolwiek z polityków przeżyje, powinien próbować się tam dostać. Jednak nawet Raven Rock Mountain wzniesiono w zasadzie na pokaz. Nie jest bezpiecznym schronieniem w przypadku wojny atomowej, bo takiego nie ma na całym świecie.

Kilka ładunków nuklearnych zniszczy również ten kompleks. Wszyscy w Waszyngtonie o tym wiedzą.

Niedawno odtajniono szczegóły projektu „Proud Prophet”, serii gier wojennych przeprowadzonej przez Reagana.

– Zawdzięczamy to profesorowi Paulowi Brackenowi z Yale, który został zwolniony z klauzuli tajności, choć pozwolono mu mówić o „Proud Prophet” bardzo ogólnie. Opowiadał mi, że w tej dwutygodniowej serii gier wojennych uczestniczyli najwyżsi rangą członkowie amerykańskiego dowództwa i kontroli nuklearnej. I że bez względu na to, jak zaczyna się wojna nuklearna, nieważne, czy uczestniczy w niej NATO, czy Chiny, zawsze kończy się tylko w jeden sposób. Całkowitą zagładą. Półkula północna stanie się niezdatna do życia.

Nie ma czegoś takiego jak ograniczona wojna nuklearna. Nie ma czegoś takiego jak niewielka eskalacja

Przerażające jest to, że minuty, sekundy po pierwszym ataku nie będziemy już mieli dostępu do informacji. Bez telewizji, bez portali społecznościowych. Nic. – Generał Gregory Touthill, który był pierwszym amerykańskim dyrektorem ds. cyberbezpieczeństwa, był zszokowany tym, jak szybko to, na czym polegamy najbardziej, czyli systemy informatyczne, przestaną działać. Zniknie nawet komunikacja między rządami.

”Nie możemy skontaktować się z Kremlem”, melduje sekretarz obrony, który wciąż nie odkłada słuchawki. Taki scenariusz nie jest wcale nieprawdopodobny. W listopadzie 2022 roku, po tym gdy pojawiły się błędne doniesienia o uderzeniu rosyjskiego pocisku rakietowego w terytorium Polski, czyli państwa członkowskiego NATO, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów generał Mark Milley przez ponad 24 godziny nie był w stanie skontaktować się ze swoim rosyjskim odpowiednikiem. „Moim podwładnym nie udało się połączyć mnie z generałem Gierasimowem”, przyznał Milley podczas konferencji prasowej półtora dnia po incydencie”.

Innym zagrożeniem jest impuls elektromagnetyczny.

– Efekt przypominałby blackout. Problem w tym, że w ciągu roku zmarłoby 90 proc. populacji Stanów Zjednoczonych. Jak mógłby wyglądać atak impulsem elektromagnetycznym? Wystarczy mała broń nuklearna zdetonowana na wysokości 300 mil nad Ameryką w centrum kraju. Wyzwoliłoby to impuls elektromagnetyczny, który zasadniczo zniszczyłby wszystkie amerykańskie elektrownie.

Rząd wie o tym od dawna, od najwcześniejszych dni Zimnej Wojny. Jednak wtedy Ameryka nie była tak zależna od elektryczności i komunikacji elektronicznej. To za-

grożenie wzrosło, ale wiedza Amerykanów i ludzi na świecie wciąż jest znikoma.

Thomas Schelling, badacz systemów złożonych, obowiązujące strategię nuklearne określił mianem „racjonalnej irracjonalności”. Co miał na myśli?

– Podstawową w wojnie nuklearnej jest odstraszanie. Każde państwo uzbrojone w broń nuklearną deklaruje, że nigdy jej nie użyje. Chyba że zostanie do tego zmuszone.

Każdy atak nuklearny oznacza w praktyce zniszczenie świata. Nie ma alternatywy.

Nikita Chruszczow miał stwierdzić: „Ci, którzy przeżyją, będą zazdrościć umarłym”. W 1983 roku opublikowano teorię nuklearnej zimy, której głównym autorem był Carl Sagan.

– Gdy pojawiła się teoria nuklearnej zimy, z której współautorem, profesorem Owenem Brianem Toonem, rozmawiałam na potrzeby książki, Departament Obrony USA stwierdził, że to sowiecka propaganda. Dotarłam jednak do odtajnionych dokumentów, które wskazywały na coś dokładnie przeciwnego.

Byli przerażeni, bo zdali sobie sprawę, że nuklearna zima jest rzeczywistością. Obecnie dzięki systemom komputerowym, które mamy, możemy dokładnie weryfikować hipotezy Sagana i jego współpracowników. Współczesne symulacje komputerowe pokazują, że zima nuklearna byłaby znacznie gorsza, niż pierwotnie zakładano.

Do atmosfery zostanie wyrzuconych około 330 mld funtów sadzy. Promienie słoneczne przestaną docierać na powierzchnię Ziemi. A bez Słońca nie ma rolnictwa, a bez rolnictwa ludzie umrą z głodu. Niewyobrażalnych pożarów nie będzie komu gasić.

Nawet więc jeśli ktokolwiek przeżyłby samo uderzenie, pożary, promieniowanie, to nie będzie miał pożywienia, tym bardziej że duże zbiorniki wodne na średnich szerokościach geograficznych zostaną zamrożone pod lodem. Zginie 5 mld ludzi, a reszta będzie głodować.

”Oczywiście nie ma całkowitej pewności, jak wyglądałaby zima nuklearna i jakie dokładnie byłyby jej następstwa – mówi w rozmowie ze mną fizyk Frank von Hippel. – Lecznie ulega wątpliwości, że taka ilość sadzy, jaka dostalaby się do atmosfery w następstwie wojny nuklearnej [na pełną skalę], wystarczałaby do wywołania takiego zjawiska”.

W oryginalnym artykule na temat zimy nuklearnej autorzy przyznali, że zastosowane przez nich modelowanie miało swoje ograniczenia. Był rok 1983. Technologie komputerowe wciąż były w powijakach. Dziś, kilkadziesiąt lat później, najnowocześniejsze systemy modelowania pokazują, że atmosferyczna trauma związana z nastaniem zimy byłaby w rzeczywistości o wiele poważniejsza, niż wcześniej zakładano.

„Nasze pierwsze modele [z 1983 roku] opierały się na założeniu, że zima nuklearna potrwa około roku – wyjaśnia Toon. – Tymczasem nowe dane sugerują, że czas regeneracji Ziemi wyniesie około 10 lat”.

Dopływ promieni słonecznych zmniejszy się o mniej więcej 70 proc. Słońce to życie. Rośliny potrzebują światła słonecznego do wzrostu. Zwierzęta potrzebują roślin jako pożywienia. Dotyczy to zarówno Homo sapiens na ziemi, jak i ptaków w powietrzu, robaków w glebie i ryb w morzu. Energia słoneczna napędza cały ziemski ekosystem, złożony biologiczny system współdziałających organizmów, w którym wszyscy egzystujemy.

Uwolnienie do atmosfery miliardów ton cząstek sadzy w następstwie wojny nuklearnej sprawi, że zmieni się struktura ziemskiej troposfery. Troposfera to pierwsza (i najniższa) warstwa atmosfery ziemskiej rozciągająca się średnio do wysokości 12 km. Większość ziemskiej pogody dzieje się tutaj. W troposferze znajduje się całe powietrze, którego rośliny potrzebują do fotosyntezy, a zwierzęta do oddychania. Zawiera 99 proc. ziemskiej pary wodnej.

Po wojnie nuklearnej z powodu procesów w troposferze pogoda zmieni się z dnia na

dzień. Średnie temperatury spadają. Znaczne i długotrwałe spadki temperatury występują na całej Ziemi, przy czym najbardziej dotknięty tymi zmianami obszar to środkowe szerokości geograficzne, część półkuli północnej między 30 a 60 stopniem szerokości geograficznej. Obejmuje to Stany Zjednoczone i Kanadę, Europę, Azję Wschodnią i Azję Środkową.

Przy tych ekstremalnych spadkach temperatury pogoda latem stanie się zimowa. Toon: „Nowe dane pokazują, że w miejscach takich jak Iowa czy Ukraina temperatura nie wzrośnie powyżej 0 st. Celsjusza przez sześć lat”.

Kiedy w tym scenariuszu rozpoczęła się nuklearna III wojna światowa, był 30 marca, wczesna wiosna. W Los Angeles temperatura spada poniżej zera. Mrozy dziesiątkując tropikalne rośliny i niszczą uprawy w całym regionie.

W miejscach takich jak Dakota Północna, Michigan i Vermont, gdzie średnie temperatury o tej porze roku wynoszą zazwyczaj kilka stopni poniżej zera, spadek temperatury wywołany zimą nuklearną oznacza, że przez dłuższy czas utrzymywać się tam będzie temperatura około minus 20 st. C.

Zbiorniki słodkiej wody pokrywają się grubymi taflami lodu. Na dalekiej północy powierzchnia arktycznego lodu morskiego powiększa się o ponad 10 ml km kw., czyli ponad 50 proc. więcej, niż wynosi dziś cała powierzchnia lodu morskiego w Arktyce. Normalnie wolne od lodu wody przybrzeżne zamarzają, co prowadzi do tego, co współcześni geofizycy nazywają „nuklearną małą epoką lodowcową”.

Żywioty nie są jedynym zagrożeniem. W ciągu tygodni i miesięcy po zakończeniu wojny zmagający się z przenikliwym zimnem ocalali zaczynają chorować z powodu zatrucia promieniowaniem. Stront-90, jod-131, tryt, cez-137, pluton- 239 i inne radioaktywne produkty eksplozji jądrowych zostały uniesione przez prądy powietrzne do atmosfery i stopniowo opadają na powierzchnię ziemi, zanieczyszczając środowisko.

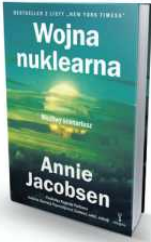
Śmierć w wyniku napromieniowania to potworny sposób umierania. Jednym z objawów choroby radiacyjnej są gwałtowne wymioty i biegunki. Dochodzi do uszkodzenia szpiku kostnego i jelit. Wyściółka narządów wewnętrznych pęka i krwawi. Wyściółka naczyń krwionośnych ulega rozpadowi i wnetrze ludzkiego ciała wypełnia się krwawym płynem.

To makabryczne dolegliwości, które bardzo trudno wyleczyć w warunkach szpitalnych – pokonanie choroby popromiennej w zimnie i ciemności, gdy trzeba uciekać przed burzami ogniowymi i toksycznym dymem, jest niemal niemożliwe.

Ci, którym udało się utrzymać przy życiu, zapadają na ślepotę i stają się ofiarami uszkodzeń chromosomalnych. Wielu dotknie całkowita lub częściowa bezpłodność, a ich zdolność reprodukcyjna z czasem będzie się pogarszać. Brakuje nieskażonej żywności i wody. Ludzie walczą między sobą o te zasoby. Przetrwają tylko najbardziej bezwzględni”. ●

*Annie Jacobsen

• dziennikarka śledcza, autorka książki „The Pentagon’s Brain” (nominowanej do Pulitzera w dziedzinie historii) i bestsellerów z listy „New York Timesa”: „Area 51”, „Operacja Paperclip” czy „Wojna nuklearna. Możliwy scenariusz” (dostępnej w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl), o której rozmawia z „Magazynem Wyborczej”. Jej książki były uznawane za najlepsze i najbardziej wyczekiwane tytuły roku m.in. przez „The Washington Post”, „USA Today”, The Boston Globe”, Apple i Amazon.Mieszka w Los Angeles z mężem i dwoma synami.



Mariusz Zawadzki

Płącz i zgrzytanie zębów dobiegają z całej Europy, kiedy Trump „zostawia Ukrainę na pastwę agresorów”, „brata się z Putinem”, „osłabia więzy transatlantyczne”, „obraża sojuszników” czy „podważa sens istnienia NATO”.

Jest w tych lamentach sporo racji. Prezydent oraz jego nadaktyni zastępcy – oficjalny J.D. Vance i nieoficjalny Elon Musk – zasłużenie zbierają fatalne noty za styl, w jakim komunikują się z Europejczykami. Ale jeśli spojrzeć z amerykańskiej perspektywy, okaże się, że ich szokujące czy obrazoburcze wypowiedzi mają często realne podstawy.

Największe oburzenie wywołała awantura w Białym Domu, gdzie Vance i Trump próbowali przed kamerami zakrzyknąć i zastraszyć prezydenta Ukrainy. Himalaje chuligaństwa, ale warto pamiętać, dlaczego Zelenski został do Waszyngtonu zaproszony. Otóż dlatego, że jego niegościnni gospodarze postanowili zakończyć wojnę, która – patrząc z perspektywy Ukrainy, Europy i całego świata – powinna być zakończona już dawno temu.

To wojna na wyniszczenie; od jesieni 2022 linia frontu prawie się nie przesuwa, Rosjanie okupują 20 proc. terytorium Ukrainy. W wojnie tego rodzaju mniej-
szy kraj nie ma szans z krajem silniejszym. Filmiki na YouTube, na których policja wyciąga młodych mężczyzn z nocnych klubów w Kijowie, żeby ich wsadzić w kamasze i odesłać na front, są prawdziwe.

Niestety nie ma sprawiedliwości na tym świecie i Ukraińcy nie pokonają najeźdźcy. Z każdym miesiącem ich sytuacja będzie trudniejsza. Do tej pory elity w Waszyngtonie dostarczały im broń (w dość ograniczonym zakresie), ale amerykańscy wyborcy są coraz bardziej znużeni wojną – pokazują to sondaże – a wielu podziela opinię Vance’a, który trzy lata temu stwierdził: „Nie obchodzi mnie, co się stanie na Ukrainie”.

Zanim oskarżymy Trumpa o zdradę Ukrainy – warto pamiętać jego zasługi. „Kiedy pierwszy raz zostałem prezydentem, dałem wam rakietę, tymczasem wcześniej Obama dawał wam śpiwo-ry” – krzyczał Trump do Zelen-skiego i to był rzadki przypadek, kiedy mówił prawdę i nie przesadzał.

Rozejm podobny do tego, który zakończył wojnę w Korei w 1953 r., to najlepsze możliwe zakończenie. Bez oficjalnego pokoju, bez uznania nowych granic, ale bez szans dla Ukrainy na odzyskanie – w dającej się przewidzieć przyszłości – utraconych terytoriów. Im później taki rozejm zostanie zawarty, tym więcej krwi zostanie przelanej bez szans na zwycięstwo.

Dotyczy to również Rosji, bo ona też przegrała wojnę. Celem Putina było osadzenie w Kijowie marionetkowego rządu, a może nawet aneksja Ukrainy. Nie udało się. Od dwóch i pół roku front nie przesuwa się, setki tysięcy żołnierzy zostało zabitych lub ciężko rannych, gospodarka sprawnie przedstawiała się na sektor zbrojeniowy,

POGADAJCIE Z DONALDEM

Spojrzałem na świat oczami Trumpa i Vance’a.
Zobaczyłem to, co widzą zwykli Amerykanie



• Prezydent Donald Trump w otoczeniu dziennikarzy przed wejściem na pokład Marine One (28.02.2025)

FOT. REUTERS / BRIAN SNYDER

ale dług publiczny rośnie, bonanza ze sprzedaży gazu do Europy się skończyła, a straty w ludziach pogłębiły kryzys demograficzny.

Przeciąganie wojny to nie tylko porażka Ukrainy i Rosji, ale również ryzyko dla świata: wciągnięcia krajów NATO czy użycia broni atomowej. Ale jakoś nikt nie powiedział basta – ani Biden, ani Macron, ani Scholz – tylko bezczelny Trump.

Trzeba Trumpowi oddać, co trumpowe: miewa dobrą intuicję. Z wdrażaniem pomysłów jest gorzej, bo brak mu wiedzy, cierpliwości i subtelności. Na razie trumpowa walka o pokój bardziej przypomina próbę zmuszenia Ukrainy do kapitulacji. Należałoby przycisnąć również drugą stronę, bo pozycja przetargowa Putina też jest słaba.

Od lat Trump jest oskarżany o dziwną słabość do Putina, przed amerykańskimi wyborami w 2016 r. pojawiła się nawet teoria spiskowa, że Putin może mieć na niego jakieś kompromaty. Prawda jest banalna: Trump naturalnie

ciąży do Putina, bo ma z nim dużo wspólnego mentalnie.

Obydwa nie trawia liberalnej ideologii „woke”, mają w pogardzie homoseksualizm i transgENDER, mają w nosie ekologię, globalne ocieplenia i uważają się za przywódców „konkretnych”, przedkładających „zdrowy rozsądek” nad szczytne, lecz niepraktyczne idee. W tym sensie Trumpowi znacznie bliżej do Putina niż do Macrona, Starmera czy Tuska. Obydwa – Trump i Putin – są bezwzględni, niezdolni do empatii i dbają tylko o własne interesy.

Ich zauroczenie może niepokoić, ale z drugiej strony: Rosja nie zniknie z mapy, jej arsenał atomowy pozostaje największy na świecie, musimy z nią jakoś dzielić planetę Ziemia. Nie tylko Ukraina musi zawrzeć z nią rozejm, ale cały świat zachodni. Nie mamy obowiązku się przyjaźnić, nie musimy kupować gazu, ale nie możemy Rosji bezterminowo izolować, bo to byłoby niebezpieczne dla świata. W tym sensie trumpowa słabość do Putina może okazać się pożyteczna.

W ostatnich tygodniach w stolicach europejskich wybuchła panika pomieszana z żalem, że na Amerykę nie można już liczyć. Macron oferuje nam zastępczy parasol atomowy, Tusk wysłał na szkolenie wojskowe wszystkich mężczyzn i tak dalej. Nasz najmocniejszy sojusz w historii ludzkości, czyli NATO, stanął pod znakiem zapytania, a winowajcą jest Trump.

Albo czy rzeczywiście? Czy – z perspektywy Ameryki – Europa jest tak ważna, żeby chronić ją militarnie i trzymać w Europie dziesiątki tysięcy żołnierzy? Kiedyś tak było, ale czasy się zmieniły. Nie jesteśmy już głównym partnerem biznesowym Ameryki, Europę zastąpiły Kanada, Meksyk, Chiny i inne kraje azjatyckie. Tylko jedna szósta wymiany handlowej USA ze światem to wymiana z UE. Rosja, przed którą miało chronić NATO, nie jest już największym rywalem Ameryki ani nawet supermocarstwem. Nadal ma geopolityczne ambicje, ale one nie przystają do realnych możliwości. Włochy mają większy dochód narodowy niż Rosja (dlatego obawy przed nieuchronną inwazją na Europę wydają się nieco przesadzone). Największym rywalem Ameryki stały się Chiny. Zagrożają Tajwanowi, który jest niemal monopolistą w produkcji najnowocześniejszych układów scalonych. Bez nich rozwój AI nie byłby możliwy. Jeśli pojawi się realna groźba inwazji na Tajwan, Amerykanie przerzucą siły zbrojne z Europy na Pacyfik.

Trump nie winowajcą ani sprawcą zmian geopolitycznych.

Jedynie mówi o nich bezczelnie i bez ogródek. A jednocześnie przestał mówić – w odróżnieniu od poprzedników – o wartościach, jakie łączą Amerykę i Europę, czyli o demokracji, prawach człowieka, wolnym handlu.

Rzekome sprzeniewierzenie się wspólnym „zachodnim” wartościom wywołuje w Europie szok. Ale czy nasi sojusznicy zza oceanu zawsze byli krzewicielami tych wartości? W Europie tak, ale gdzie indziej? Czy to nie CIA obalała demokratyczne rządy w Iranie, Chile i Gwatemali? Czy to nie Amerykanie wspierali okrutne dyktatury w Iranie, Egipcie, Arabii Saudyjskiej i kilku krajach Ameryki Łacińskiej? Czy nie rozpętali kilku bezsensownych wojen, w których zginęły setki tysięcy ludzi?

Trump zapewne nie zna historycznych szczegółów, ale intuicję ma dobrą. W 2017 r., kiedy chwalił Putina w Fox News, wspomniano mu, że to morderca. Odpowiedział: „Jest wielu morderców na świecie. My też mieliśmy swoich morderców. Czy naprawdę myślicie, że nasz kraj jest taki niewinny?”.

Apelowanie do Trumpa, żeby pamiętał o wspólnych wartościach, może się zatem okazać nieskuteczne. Obrażanie się na Amerykę też nie ma sensu, bo pozostaje supermocarstwem. Ciągłe slychać o schyłku amerykańskiej potęgi, ale od pół wieku USA generują jedną czwartą światowego PKB i ten udział się nie zmienia, choć pojawiły się nowe gospodarcze potęgi takie jak Chiny, Korea czy Indie.

Zamiast popadać w skrajności, trzeba z Trumpem rozmawiać. Uwzględniając jego i wielu Amerykanów, punkt widzenia. Okej, Europa nie jest już dla was tak ważna, ale jeśli nie chcecie, żeby Niemcy, Polska i inne kraje zafundowały sobie bomby atomowe, to musicie zagwarantować nam parasol atomowy. Tak, rozumiemy, że UE – z 450 milionami ludzi i dochodem dziesięć razy większym niż Rosja – może wyprodukować dość czołgów, rakiet i samolotów, żeby bronić się samodzielnie przed atakiem konwencjonalnym. Tak, popieramy rozmowy pokojowe, ale tylko takie, które zagwarantują Ukrainie niepodległość.

Niestety ma gwarancji, że taki pozbawiony złudzeń dialog transatlantyki przyniesie skutki, bo Trump – oprócz intuicji – ma również silne skłonności do megalomanii i dramy. Szczególne upodobanie znajduje w tym, żeby przywódcy różnych krajów błagali go o łaskę. Zapewne na to liczył – bo na co innego? – wypowiadając wojnę handlową Kanadzie, która od kilkudziesięciu lat jest naturalnym, niezawodnym i bezproblemowym sojusznikiem USA. Teraz, kiedy co kilka dni podnosi cła na kanadyjskie towary, w Toronto i Montrealu na meczach hokeja wygwizdują amerykański hymn. A rząd Kanady wprowadza surowe cła odwetowe. „Nie chcemy tej wojny, ale kiedy ktoś rzuca rękawicę, jesteśmy gotowi podjąć wyzwanie. W tej wojnie handlowej wygramy tak samo jak w hokeju” – stwierdził nowy premier Mark Carney.

W porównaniu z tym absurdem europejska polityka Trumpa jest – jak na razie – zaskakująco racjonalna. ●

**Jakoś nikt nie powiedział
basta – ani Biden,
ani Macron, ani Scholz
– tylko bezczelny Trump**

MAGAZYN wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze,
redaktorzy
i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia,
poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji
i inspirujemy.
**Czytasz. Myślisz.
Rozmawiasz.**



MAGAZYN
wyborcza

szukaj w punktach sprzedaży prasy
przez cały tydzień!

MY W EUROPIE JESTEŚMY WOLNI INACZEJ

**Unijna komisarz
od technologii:
Rozmowy z Muskem?
Od tego mamy prawników**

Z **HENNA VIRKKUNEN***,
WICEPRZEWODNICZĄĄ KOMISJI
EUROPEJSKIEJ DS. SUWERENNOŚCI
TECHNOLOGICZNEJ, BEZPIECZEŃSTWA
I DEMOKRACJI W JEJ BIURZE W BRUKSELI
ROZMAWIAJĄ
LIONEL JULLIEN, ARTE TV
VÉRONIQUE LAMQUIN, "LE SOIR"
SILVIA AYUSO, "EL PAIS"

LIONEL JULLIEN: Czy śledztwo dotyczące platformy X Elona Muska już się zakończyło?

HENNA VIRKKUNEN: Prowadzimy dziesięć postępowań przeciwko wielkim platformom, ponieważ nie stosują się one w pełni do przepisów DSA*.

Śledztwo przeciwko X rozpoczęło się ponad rok temu. Główną przyczyną było rozpowszechnianie treści o charakterze terrorystycznym. Wstępne wnioski przedstawiliśmy w lipcu. Wkrótce zamkniemy ten etap. Jednak nadal pracuje zespół ds. technicznych, więc to jeszcze nie koniec.

Mamy także pytania od naszych partnerów: „Internazionale” z Włoch, „Telex” z Węgier, „Gazety Wyborczej” z Polski, „Ir” z Łotwy i „Kathimerini” z Grecji.

SILVIA AYUSO: Musk nie kryje związków ze skrajnie prawicowymi partiami w Europie. Czy wpływa to na postępowanie dotyczące przestrzegania DSA?

– W Europie każdy ma swobodę wypowiedzi. Jednak wielkie platformy, takie jak Facebook, Instagram, X, TikTok, muszą oceniać i redukować systemowe ryzyko wpływania na nasze procesy wyborcze, na debatę publiczną, na życie ludzi.

Wszystkie platformy muszą brać na siebie odpowiedzialność. Dlatego właśnie Komisja Europejska prowadzi śledztwo – żeby zbadać, czy i w jaki sposób X poczuwa się do odpowiedzialności, w jaki sposób ocenia i redukuje ryzyko.

VÉRONIQUE LAMQUIN: Niektórzy europosłowie uskarżają się na podwójne standardy stosowane przez Komisję. Bardzo szybko interweniowała w sprawie TikToka, ale ociąga się w sprawie X. – Są to odmienne sprawy, bo w sprawie X Komisja już prowadzi postępowanie od ponad roku. A jego zakres został poszerzony. Miesiąc temu postanowiłam wysłać kolejną serię pytań do platformy X, ażeby niektóre zagadnienia pogłębić.

W sprawie TikToka nie ma jeszcze śledztwa. Było tylko postępowanie dotyczące ryzyka, jakie stwarza dla mniejszych użytkowników. Nie objęło ono wpływania na wybory. Teraz jednak Komisja takie śledztwo rozpocznie.

S. A.: Zastrzeżenia zgłaszali nie tylko europarlamentarzyści. Także przywódcy, jak Olaf Scholz, Emmanuel Macron. W Davos premier Hiszpanii Pedro Sánchez domagał się, żeby



– DSA weszło w życie nieco ponad rok temu, są to więc relatywnie nowe regulacje, które teraz wdrażamy i egzekwujemy. Na obecnym etapie rozwoju technologii to dobre narzędzie, ale wciąż musimy nadążać za nowymi rozwiązaniami technologicznymi. Kiedy np. coraz więcej możliwości zyskuje sztuczna inteligencja (AI), konieczne są nowe metody reagowania.

Jednak rzeczywiście nasza obecna koncepcja polega na tym, by platformy samodzielnie oceniały ryzyko, minimalizowały je, miały odpowiednie procedury. Komisja nie jest od decydowania, w jaki sposób platformy organizują swoje systemy, bo różnią się od siebie. Same muszą szukać rozwiązań.

S. A.: W niektórych dziedzinach platformy wycofują się ze zobowiązań. Meta, śladem X, uznała, że już nie potrzebuje moderatorów. Czy to nie jest niepokojące?

– To niezwykle ważne, aby wszystkie platformy stosowały się do europejskich regul. Nie ma w nich wymogu, że muszą zatrudniać fact checkerów [sprawdzających fakty], lecz że muszą mieć system, który gwarantuje, iż nie szerzą dezinformacji. Meta potwierdziła, że w Europie będą nadal działać fact checkerzy.

X ma inny system, czyli tzw. community notes [noty, uwagi od społeczności]. Obie metody są dopuszczalne, ale pod warunkiem, że zapobiegają dezinformacji oraz mowie nienawiści. W Europie wszystkie platformy są do tego zobowiązane.

L. J.: Rozmawiamy o regulacjach, ale jeśli chodzi o innowacyjność, to jesteśmy daleko w tyle za Chinami i USA. Jak temu zaradzić – żeby Europa była ponownie wielką?

– To prawda, jest przepaść w innowacjach. Jednak równocześnie Europa ma wiele atutów: znakomitych naukowców w dziedzinie AI, w technologiach kwantowych i półprzewodnikowych. Mamy świetne start-upy oraz bardzo mocną tradycyjną bazę przemysłową. W kwestii sztucznej inteligencji mamy inne przewagi niż USA czy też Chiny. Musimy jednak zredukować biurokrację w przemyśle, aby zapewnić mu ramy działania przyjazne dla innowacji.

V. L.: Czy Europa nie powinna więcej inwestować? Czy brakuje na to pieniędzy? Jeśli tak, to skąd je wziąć?

– Oczywiście, potrzebujemy więcej inwestycji. Co do funduszy, to idzie nam całkiem dobrze, również w finansowaniu technologii ze środków publicznych. Jednak mamy w Europie problem ze zdobywaniem finansowania prywatnego, kapitału wyższego ryzyka (venture capital).

W Europie potrzebne jest stworzenie wspólnego rynku dla takiego kapitału oraz unii bankowej dla inwestowania gromadzonych oszczędności. Jest wiele możliwości, ale rzeczywiście prywatny kapitał inwestycyjny stanowi dla Europy największe wyzwanie. Dlatego chcemy tworzyć więcej funduszy publiczno-prywatnych.

L. J.: Niedawno Donald Trump zapowiedział 500 mld dolarów inwestycji, a Chiny wyskoczyły z aplikacją DeepSeek... A co my powinniśmy rozwijać?

właściciele platform wzięli większą osobistą odpowiedzialność za to, co się dzieje w ich sieciach. Czy Komisja zdoła wymusić przestrzeganie DSA?

– Śledzimy nieustannie, jak rozwija się technologia. Sądzę, że DSA ustanawia bardzo zrównoważone, mocne ramy. Celem DSA jest bezpieczne, demokratyczne środowisko w usługach cyfrowych w Europie. Mamy narzędzia, aby to zapewnić.

Jednakże idea DSA polega na tym, aby same platformy dbały o właściwe procedury, brały za ich przestrzeganie odpowiedzialność, minimalizowały ryzyko nadużyć oraz działały transparentnie np.

w dziedzinie rekomendacji dla użytkowników.

Chodzi o to, jakie treści platformy polecą użytkownikom. A to jest przedmiotem krytyki. W ciągu ostatniego roku niezależne audyty wykazały, że wszystkie internetowe platformy są niewystarczająco transparentne, użytkownicy nie wiedzą, dlaczego pewne treści są im polecane i pokazywane.

V.L.: Czy dotychczasowe regulacje europejskie są wystarczające? Mówi pani: zastosujemy je i zobaczymy, co będzie. Może jednak potrzebne są ostrzejsze przepisy?

– Możemy tu być bardzo konkurencyjni. Owszem, w Stanach planuje się ogromne inwestycje prywatne, a ten chiński przykład dowodzi, że sukces jest możliwy znacznie tańszym kosztem.

Dużo ciekawych rzeczy dzieje się na rynku sztucznej inteligencji. W Europie inwestujemy setki miliardów w superkomputery. Udostępnimy ich moc obliczeniową naszym start-upom, które są niewielkie, często mają wprawdzie świetne pomysły, ale brak im zdolności obliczeniowych, żeby trenować AI. Kiedy im taką moc damy, powiążemy w jeden silny przemysł, to myślę, że osiągniemy sukces.

Częścią pani zadań jest dbanie o demokrację. Zagrożenia dla demokracji idą z wielu stron – Rosji, Chin, a teraz także Ameryki. Jak jej bronić?

– Obrona naszych europejskich, demokratycznych wartości to rzecz podstawowa. Są one gwałtownie atakowane, widać to w wynikach wyborów, w postawach społecznych. Dlatego musimy budować odporność w naszych społeczeństwach, wśród naszych obywateli. Musimy zadbać o edukację, aby ludzie nabywali umiejętności cyfrowych, zdolności rozeznawania się w świecie informacji.

Mamy też wolne, niezależne media, więc ludzie mają narzędzia, żeby zdobywać wiedzę, analizować informacje. Szerzenie dezinformacji i szkodliwej społecznie propagandy jest tym łatwiejsze, im niższy poziom wykształcenia, im mniej wolnych mediów, im bardziej ludzie polegają jedynie na platformach społecznościowych. Dlatego musimy inwestować w ludzi.

S. A.: Jednym z filarów naszej demokracji jest wolność wypowiedzi. Musk i inni amerykańscy giganci technologiczni promują totalną swobodę wypowiedzi.

Czy Europa jest w stanie obronić swoją definicję wolności słowa?

– Rzeczywiście, w Stanach jest inne niż w Europie rozumienie wolności wypowiedzi. W Europie wolność słowa jest wartością fundamentalną. Są jednak także inne wolności. Trzeba więc tę pierwszą równoważyć z innymi.

Na przykład nie wolno w imię wolności słowa gwałcić czyjejś prywatności. Nie wolno szerzyć mowy nienawiści przeciwko określonym ludziom.

Wolność słowa podlega więc pewnym ograniczeniom. W krajach członkowskich Unii Europejskiej są jasne reguły, co jest w tej dziedzinie nielegalne. W sferze usług cyfrowych mamy zasadę, że nielegalne w sieci jest to samo, co jest nielegalne w społeczeństwie.

L. J.: Od czasu inwestytury Trumpa słychać, że może dojść do dealu: albo odpuszczacie DSA albo nakładamy cla.

– DSA opiera się na naszych podstawowych wartościach i na europejskim rozumieniu praw człowieka, bo zależy nam na bezpiecznym, uczciwym i demokratycznym świecie cyfrowym. Nie możemy dopuszczać, żeby świat cyfrowy nie miał reguł albo byłyby one zupełnie różne od reguł w społeczeństwie. Zbyt istotna jest to część naszego życia i gospodarki.

A zatem każdy, kto robi w Europie biznes czy działa w sieci w inny sposób, musi nasze reguły szanować. Podobnie jak nasze przedsiębiorstwa muszą respektować prawo w innych krajach, w których funkcjonują.

S. A.: Brazylia potrafiła zamknąć platformę X na półtora miesiąca... Ale czy Europa ma narzędzia nacisku, skoro ci wszyscy oligarchowie technologiczni stanęli u boku rządu USA, a niektórzy są wręcz w jego składzie? Czy możemy

zamknąć X lub inną platformę, zmusić ją do przestrzegania reguł?

– Tworząc przepisy DSA, nie mieliśmy zamiaru zamykać platform internetowych. Chodziło o reguły, których musi przestrzegać każdy, kto w Europie świadczy usługi cyfrowe czy prowadzi jakiś internetowy biznes. Dlatego prowadzimy śledztwo ws. platform, ale jednocześnie przygotowujemy dla nich wytyczne. Prowadzimy z nimi dialog.

Dwa tygodnie temu wszystkie wielkie platformy obiecały przestrzegać naszego kodeksu postępowania przeciwko mowie nienawiści. Nie znaczy to, że wszystko idzie gładko, bo platformy bronią swoich modeli biznesowych, dyskusję są trudne.

V. L.: Czy po objęciu funkcji w Komisji rozmawiała pani z Elonem Muskem lub innymi szefami platform?

– Nie, nie rozmawiałam z właścicielami platform.

A próbowała pani przez telefon?

– Nie miałam żadnego osobistego kontaktu z nimi. Mamy zespoły prawne, to one prowadzą postępowanie, na ich pytania odpowiadają prawnicy drugiej strony... To jest właściwy poziom.

L. J.: Ostatnie pytanie: czy demokracja liberalna, demokracja europejska jest nadal atrakcyjna dla innych rejonów świata, czy już nie?

– Europejskiego modelu i stylu życia pragnie wielka część ludności świata. Musimy ten model chronić i go bronić.

Jednak nie zdołamy tego robić, jeżeli Europa nie będzie konkurencyjna, jeśli nasz przemysł nie będzie konkurencyjny, jeśli nie będziemy tworzyć miejsc pracy. Inwestujemy teraz w konkurencyjność, żeby zapewnić Europie dobrą jakość życia w przyszłości. ●

*Henna Virkkunen

• urodziła się w 1972 r. w południowej Finlandii. Karierę polityczną rozpoczęła zaraz po ukończeniu studiów filozoficznych. W Helsinkach pełniła kilka funkcji ministerialnych. W 2014 r. została wybrana do Parlamentu Europejskiego z listy centroprawicowej partii Kokoomus (Partia Koalicji Narodowej). W lipcu 2024 r., po ponownym wyborze do europarlamentu, rząd fiński wyznaczył ją na członkinię Komisji Europejskiej kierownej przez Ursulę von der Leyen. Jej głównym zadaniem jako komisarki ds. technologii, bezpieczeństwa i demokracji, jest regulacja działania platform mediów społecznościowych oraz stosowanie Digital Services Act (DSA) w zwalczaniu dyskryminacji i mowy nienawiści w przestrzeni cyfrowej.

• * DSA (DIGITAL SERVICES ACT, Akt o usługach cyfrowych) – unijne regulacje nakazujące moderację nielegalnych treści, wyznaczające standardy przejrzystej reklamy i wymuszające na platformach cyfrowych walkę z dezinformacją. Wszedł w życie 16 listopada 2022, ale częściowo - tylko w odniesieniu do bardzo dużych platform i wyszukiwarek. Zaczął w pełni obowiązywać od 17 lutego 2024.

• WYWIAD przeprowadziła europejska platforma ARTE i udostępnia go w 9 językach w ramach partnerstwa medialnego EMOVE Hub. W skład tego konsorcjum poza „Gazetą Wyborczą” wchodzi także: „El País” (Hiszpania), „Internazionale” (Włochy), „lr”, (Łotwa), „Kathimerini” (Grecja), „Le Soir” (Belgia) i Telex (Węgry). Ich współpraca jest dofinansowana przez UE dzięki inicjatywie DG CNCT, która zachęca do tworzenia „Europejskich centrów medialnych” w ramach unijnych Działań Multimedialnych.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34363778

DO 24 MARCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”
— na kwiecień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA
179,90 zł**
OSZCZĘDZASZ
CO NAJMNIEJ
34 zł



Dostęp także do
Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

Trochę optymizmu

JASNOŚĆ
WIDZĘ,
jasność

Brytyjczycy, Japończycy, Polacy...
Dlaczego największymi pesymistami są
ci, którym żyje się najlepiej

Kamil Fejfer

Pożary, które nawiedziły Kalifornię na początku tego roku, zgodnie uznaliśmy za zwiastun bliskiej apokaliptycznej przyszłości. Dogasające szczątki willi na wybrzeżu Malibu, nocne zdjęcia płonących lasów tuż za rozświetlonymi wieżowcami Los Angeles – to sceny jak z hollywoodzkich dystopii i filmów katastroficznych. Tylko że to działo się naprawdę: 200 tys. ludzi ewakuowanych, 30 ofiar śmiertelnych. I w wyniku zmian klimatu będzie dziać się częściej. Naukowcy z organizacji World Weather Attribution, badającej związki ekstremalnych zjawisk pogodowych z globalnym ociepleniem zauważają, że zmiany klimatu zwiększyły w Kalifornii warunki sprzyjające występowaniu pożarów o 35 proc.

My też niedawno mieliśmy swoją małą apokalipsę. We wrześniu zeszłego roku powódź zdewastowała Łądek-Zdrój, Stronie Śląskie, Glucholazy i Lewin Brzeski. Zerwane mosty, zniszczone domy, tysiące ton błota na rynkach, hałdy zniszczonych mebli rosnące przed zalanymi blokami.

A do tego w Białym Domu urzęduje prezydent, który uważa wpływ człowieka na zmiany klimatu za fejkę i wywraca światowy porządek do góry nogami. Wypowiada wojny handlowe Kanadzie, Meksykowi, Chinom i UE, rzuca koło ratunkowe reżimowi Putina i porzuca Ukrainę. Dokłada też do pieca na Bliskim Wschodzie, grożąc Iranowi i wspierając Izrael eskalujący wypędzenia Palestyńczyków.

Konsekwencją będą zawirowania we wszystkich branżach przemysłu i w usługach. Narastający kryzys gospodarczy osłabi i tak już osłabioną europejską gospodarkę z niemiecką na czele. A kolejne fale migrantów będą destabilizować i tak już zdestabilizowany globalny Zachód.

Świat schodzi na psy...

Kiedy dodamy to wszystko do siebie, w czym pomogą nam codzien-

ne nagłówki portali informacyjnych, to mamy aż nadto powodów, żeby stwierdzić, że świat schodzi na psy. Nastroje dziennikarzy, analityków ekonomicznych, ekologów, aktywistów – od obrońców praw człowieka po młodzież z Ostatniego Pokolenia – i normalistów takich jak ja i wy świetnie podsumowuje kulturoznawczyni Agata Sikora.

„Mieszkam tuż obok poródki, więc chcąc nie chcąc, myślę o tym, co dzieje się za murem z brunatnej cegły, w wyciszonych salach, gdzie przez mlecznobiałe szyby wpada rozmyty cień słonecznego światła. Jaki los czeka tę, w której płuca dziś wdiera się pierwszy haust powietrza?”

Prognozy nie są za dobre, prognozy są – prawdę mówiąc – bardzo złe. Zanim dobieje trzydziestki, nawet 216 mln ludzi może musieć opuścić swoje domy. Kiedy będzie miała 80 lat, Malediwy, Wyspy Marshalla, Białą Dom i większość Bangladeszu mogą się znaleźć pod wodą. W Europie, gdzie sytuacja nie wygląda aż tak tragicznie, można spodziewać się (tylko) pustynnienia, zdarzających się co dziesięć lat »powodzi tysiąclecia«, problemów z wodą pitną, morderczych fal upałów, chorób tropikalnych i pandemii, a także załamania gospodarczego, konsekwencji globalnego konfliktu zbrojnego oraz demontażu demokracji liberalnej i praw człowieka” – pisze w miesięczniku „Znak” w tekście „Lepiej by nie? Dylematy rozmnażania”.

Czy na pewno koniec jest bliski?

„Prognozy nie są za dobre” a właściwie „bardzo złe” – to leitmotiv niemal wszystkich polskich tekstów i podcastów o klimacie, gospodarce, geopolityce, Europie, Ameryce itd. Podobnie jak zachodnich, zwłaszcza amerykańskich czy brytyjskich, z których polska debata publiczna w dużej mierze zasysa intelektualne mody.

Słowa „mody” używam świadomie. Bo może i „prognozy nie są za dobre”, a apokalipsa bliska, ale wieloletnie trendy wskazują na coś zupełnie przeciwnego. Dlaczego uwierzyliśmy w opowieść o niemal pewnym schyłku? My – oso-

by opowiadające w mediach świat, oraz my – społeczeństwa krajów zamożnych.

Duża część tych prognoz, o których pisze Sikora, ma źródło w książce „Ziemia nie do życia. Nasza planeta po globalnym ociepleniu” Davida Wallace-Wellsa. Ta z kolei jest rozwinięciem eseju „The Uninhabitable Earth”, który ukazał się w „The New York Magazine” w 2017 r. i stał najczęściej czytany tekst w historii pisma. Specjalizujący się w tematyce klimatycznej dziennikarz zaczął go słowami: „Przysięgam, jest gorzej, niż sądzisz”.

Powszechnie uznano, że tekst opierał się na najlepszej wiedzy naukowej. Jednak portal Climate Feedback, zajmujący się oceną wiarygodności medialnych doniesień na temat zmian klimatu, ocenił jego wartość merytoryczną jako niską. Materiałowi przyrzekało się kilkunastu naukowców i ekspertów. „Recenzenci stwierdzili, że niektóre twierdzenia błędnie przedstawiają badania naukowe, inne pozbawione są niezbędnego kontekstu, by czytelnik mógł je dobrze zrozumieć. Wiele wyjaśnień jest poprawnych, ale czytelnicy prawdopodobnie zostaną z ogólnym odczuciem, które jest przesadzone w porównaniu z najlepszym zrozumieniem tematu” – czytamy w opinii.

Migracje, jak bardzo masowe?

Zacznijmy od najczęstszego motywu medialnych prognoz konsekwencji globalnego ocieplenia – masowych migracji spowodowanych brakiem wody, pustynieniem terenów rolnych, upałami i nasileniem katastrof naturalnych: huraganów czy nagłych powodzi.

Opowieści publicystów, że 216 mln ludzi w najbliższych dekadach pogoda zmusi do porzucenia domów i ojczyzn, można by zbyszć wzruszeniem ramion: publicyści są od tego, żeby publikowali opinie. Ale oni biorą te liczby z raportu Banku Światowego. Czyli sprawa jest poważna.

Jednak sama liczba niewiele nam mówi.

Po pierwsze, jest to górne oszacowanie, a w prognozach spraw-



dają się raczej oszacowania środkowe.

Po drugie, migracje, w tym na dużą skalę, są zjawiskiem występującym od zawsze. Migracja staje się problemem, kiedy jest niekontrolowana i pogarsza jakość życia znacznej części migrantów oraz mieszkańców regionów, do których oni docierają.

W tym przypadku nie mówimy jednak o nagłej fali zdesperowanych ludzi, jak podczas kryzysu migracyjnego w 2015 roku wywołanego eskalacją wojny domowej w Syrii oraz aktywnością Państwa Islamskiego, tylko raczej o przeszacowaniu się.

Zmiany klimatyczne są procesem, więc liczba ludzi szukających

lepszego życia czy w szansy na przeżycie będzie narastała w ciągu lat. To da nam czas na ich absorpcję. Rynki krajów rozwiniętych będą potrzebowały milionów pracowników z powodu własnych problemów z demografią – spadającą dzietnością i starzeniem się społeczeństw.

Może się też zdarzyć i tak, że migranci będą potrzebni nam, ale nie my im. Bo systemy gospodarczo-społeczne są elastyczne, adaptują się, również do zmian klimatu. Więc migracje wcale nie muszą być tak liczne, jak to się dziś wydaje, bo kraje najbardziej zagrożone katastrofalnymi skutkami globalnego ocieplenia będą tworzyć infrastrukturę zabezpieczającą ludność.

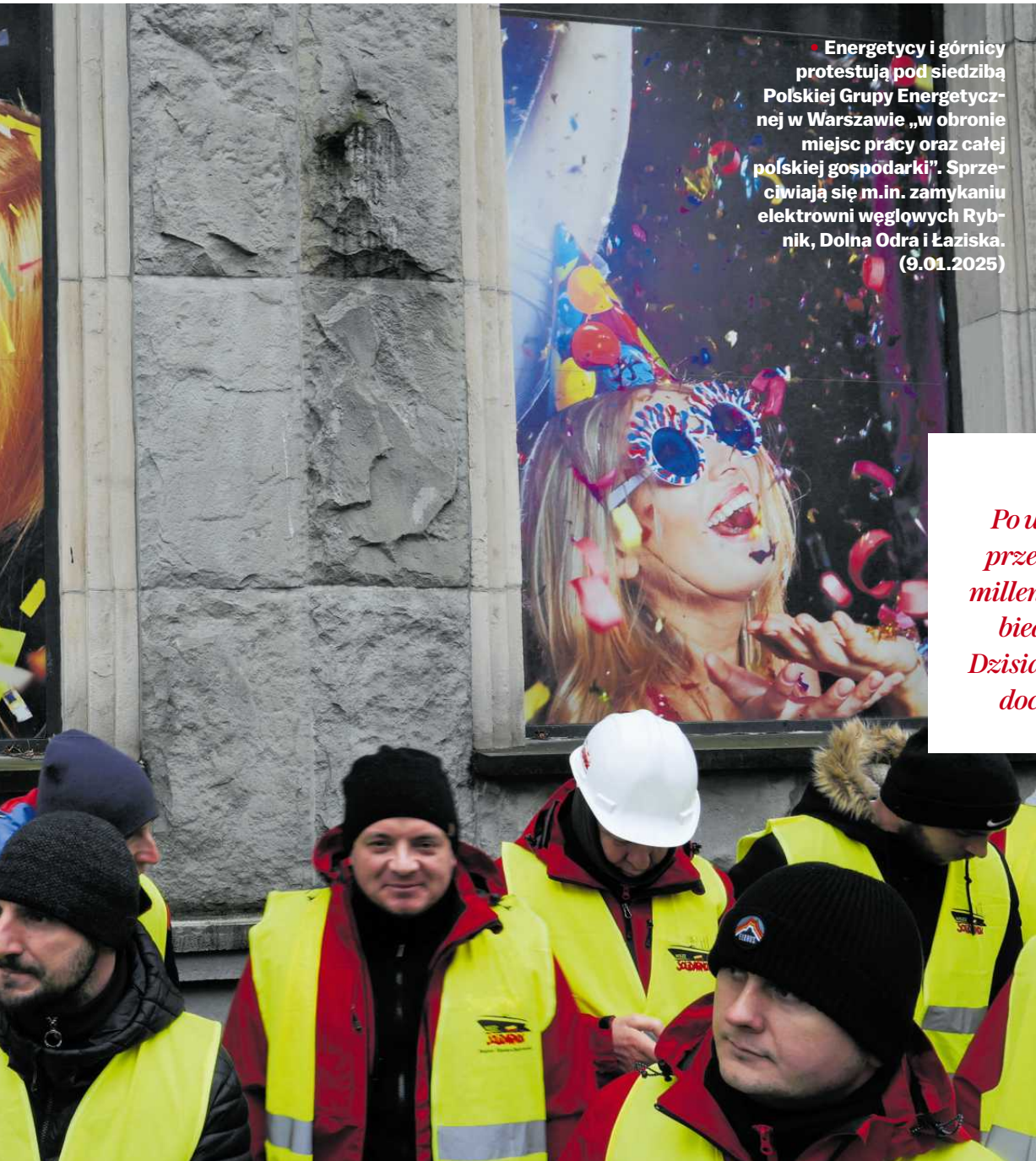
Kasandro, zwolnij trochę

Nie chodzi o to, aby śladem denialistów dowodzić, że katastrofa klimatyczna nie jest problemem. Ale prognozy, które wpływają na kondycję psychiczną dziesiątków milionów odbiorców – a więc również na ich relacje osobiste, funkcjonowanie w szkole czy pracy i wybory polityczne – należałoby umieszczać w szerszym i bardziej zniuansowanym kontekście.

Bo gdy każde z apokaliptycznych przewidywań rozkładamy na czynniki pierwsze, to dochodzimy do wniosku, że przyszłości, nawet tej za kilka dekad, po prostu nie da się przewidzieć.

A z pewnością nie powinniśmy kasandrycznych wizji brać za pewnik. To nie znaczy, że możemy odpuścić korygowanie naszej edukacji, konsumpcji, gospodarki czy relacji międzynarodowych. Ale

Zmiany klimatyczne są procesem, a nie nagłym zdarzeniem, więc liczba ludzi, których wypędzą z domów, będzie narastała na przestrzeni lat. To da „nam” czas na absorbując „ich”. A może zdarzyć się i tak, że migracje nie będą tak liczne, jak przewidujemy, bo systemy gospodarczo-społeczne adaptują się do zmian



rzej, a prawie połowa stwierdziła, że się polepszy.

Rzecz w tym, że największymi pesymistami byli obywatele krajów najbogatszych. Jedyne 14 proc. Japończyków uważa, że ich dobrobyt wzrośnie. Nieco więcej optymizmu wykazują Włosi, Holendrzy i Szwedzi – 24, 25 i 28 proc. A Brytyjczycy i Belgowie (30 proc.) oraz Niemcy (31 proc.) wręcz tryskają optymizmem.

Dopóki nie spojrzymy na tych, którym wiedzie się gorzej niż nam w Europie.

Niemal wszyscy – 97 proc.!

Po wielkim kryzysie 2008 r. przewidywano, że pokolenie millenialsów będzie pierwszym biedniejszym od rodziców. Dzisiaj millenials mają wyższe dochody i większe majątki

– Wietnamczycy uważają, że za 25 lat w ich kraju będzie się żyło lepiej. Podobnie widzi przyszłość 82 proc. Nigeryjczyków, 77 proc. Indonezyjczyków, 76 proc. obywateli Sierra Leone – jednego z najbiedniejszych krajów świata – i 70 proc. Senegalczyków.

Pęknięcie między państwami rozwiniętego Zachodu i o wiele biedniejszymi krajami rozwijającymi się rzuca się w oczy. To syści i zaopiekowani zamartwiają się o przyszłość.

Co się stało z naszą klasą?

Co stało się z obywatelami krajów bogatych? Dlaczego jesteśmy takimi ponurakami? Dlaczego opowiadamy sobie te straszne historie o czającej się za rogiem wielkiej katastrofie, skoro większość wskaźników tzw. „dobrego życia” od dekad się poprawia? Wyjaśnień jest kilka.

Po pierwsze: moment badań. I Pew Research Center, i Gallup pytały o przyszłość w 2022 r. Czyli wtedy, kiedy efekty pandemii – i te gospodarcze, i psychiczne – dawały się we znaki, po świecie rozlewała się inflacja, a w Europie Rosja rozpętała wojnę światową, nie w sensie militarnym, ale zatruwającą myśl i zmieniającą na gorsze życie ludzi na całym globie.

Daniel Kahneman, psycholog społeczny i ekonomiczny noblista, jeden z najbardziej wpływowych umysłów XX w., podkreślał, że ludzie często odpowiadają na inne pytania, niż zadaje ankieter. Kiedy się ich pyta o ekonomiczną przyszłość, odpowiadają, co myślą, co czują i czego się boją teraz. Nie tworzą w głowach solidnych predykcji opartych na znajomości trendów, nie agregują wielu wskaźników, nie przypisując im wagi, nie myślą o tym, które wzrosną, a które spadną wpływając na inne. Nieświadomie opowiadają, jak im się wiedzie obecnie.

Czego dowodzi samo badanie Pew. Nie pierwszy raz pracownia zapytała o przyszłość najmłodszej generacji. Od lat bada w ten sposób opinię publiczną wielu krajów. I okazuje się, że w przyzwoitym dla światowej gospodarki roku 2019 zauważalnie mniejszy odsetek respondentów uważał, że dzieciom będzie wiodło się gorzej.

jest zbyt wiele zmiennych i niepewności, byśmy uznawali za nieuniknione najczarniejsze scenariusze, ze szkodą dla naszej indywidualnej i zbiorowej psychiki.

Narodowe wizje młodziżowe

W 2022 r. szacowny think tank Pew Research Center zapytał, jak przyszłość swojego młodego pokolenia widzą obywatele 19 krajów rozwiniętych m.in. Japonii, Francji, Włoch, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Belgii, Korei Południowej, Niemiec, Szwecji i Polski.

Ankieterzy pytali, czy dzisiejsze dzieci, kiedy dorosną, będą sobie radzić finansowo lepiej czy gorzej niż ich rodzice.

Mediana negatywnych odpowiedzi – czyli procent respondentów, którzy uważali, że będzie się im żyło gorzej, wynosiła... 72 proc. Mediana pozytywnych – 27 proc.

A więc większość społeczeństw państw rozwiniętych była przekonana, że przyszłość dzieci małuje się w ciemnych barwach.

Tylko w trzech krajach – Singapurze, Szwecji i Izraelu – było więcej optymistów. Największy pesymizm panował w Japonii – 82 proc. odpowiedziało „gorzej”.

A w Polsce? 42 proc. to pesymiści, ale już 39 proc. uważało, że dzieciom będzie lepiej niż rodzicom, a 13 proc., że sytuacja się nie zmieni.

W Polsce nie widzimy, że się bogacimy

Od badania minęły prawie dwa lata, więc możemy skonfrontować

tamte przewidywania Polaków z danymi.

Według GUS w 2023 r. nasze pensje względem 2022 r. wzrosły realnie o 1,1 proc. Realnie, czyli po korekcie o inflację. A więc za ledwie rok od sondażu Pew już się wzbogaciliśmy. A to jeszcze nic, bo wynagrodzenia w 2024 r. względem 2023 r. wzrosły – po korekcie na inflację – 9,5 proc. Najwięcej w potransformacyjnej Polsce! A zatem w przypadku Polski pesymistyczne prognozy zdezaktualizowały się już po dwóch latach.

No dobrze, ale przecież nie jest powiedziane, że trend się utrzyma. W 2022 roku, kiedy szalała najwyższa od lat 90. inflacja, nasze płace spadły o ponad 2 proc. Ale z drugiej strony – to był pierwszy rok od 1994 r., kiedy wynagrodzenia Polaków realnie się skurczyły. Przez pozostałe 35 lat po przejściu od realnego socjalizmu do kapitalizmu i demokracji się bogaciliśmy.

Tak, chleb dzisiaj kosztuje znacznie więcej niż w roku 2000, ale za dzisiejszą średnią bądź medianową, bądź minimalną pensję i tak możemy kupić więcej bochenków. Przez ostatnie 20 lat średnie realne płace wzrosły mniej więcej dwukrotnie. Realne płace rosły we wszystkich przedziałach dochodowych i we wszystkich grupach wiekowych.

A jak przyszłość ekonomiczną wyobrażali sobie Polacy przez ostatnie 35 lat?

CBOS od początku lat 90. pyta respondentów: „Czy w ciągu najbliższego roku sytuacja gospodarcza w Polsce poprawi się, pozostanie bez zmian, czy się pogorszy?”.

Najczęstsza odpowiedź brzmiała, że „pozostanie bez zmian”, choć przez 17 lat więcej osób uważało, że się pogorszy.

A jak było? Z wyjątkiem dwóch lat realne dochody rosły.

Innymi słowy – ogromna większość z nas ma tendencję do pesymizmu. I myli się, przewidując gorszą przyszłość.

Aby dzisiejsze polskie dzieci, gdy dorosną, były biedniejsze niż rodzice, to odwrócenie trendów gospodarczych musiałoby trwać całe lata, jeśli nie dekady.

A nie odwrócił ich ani globalny kryzys gospodarczy lat 2008-10, ani pandemia połączona z wojną za miedzą (największy globalny spadek PKB od czasów II wojny!) i największą od 30 lat inflacją.

No dobrze, jako kraj w miarę rozwinięty i społeczność złakniona dobrobytu korzystaliśmy z możliwości, jakie stworzyła nam Unia Europejska. Ale perspektywa globalna też nie napawa pesymizmem. Owszem, pandemia i światowa inflacja zahamowały trend wyrwania z największego ubóstwa, ale go nie odwróciły. Parametr będący największą hańbą współczesnego świata nie cofnął się o 20 lat, tylko utknął na poziomie sprzed około dekady. Czyli postęp nie cofnął się, ale – aż lub jedynie – wstrzymał.

Przed oczami ciągle czarno

A mimo to upieramy się, że będzie gorzej. W 2022 r. Instytut Gallupa zapytał obywateli ponad 60 krajów o perspektywę ekonomiczną na kolejne 25 lat.

23 proc. było zdania, że w ich państwach będzie wiodło się go-

Tu dwa poważne „ale”. Nawet w latach przedcovidowych w krajach rozwiniętych większość respondentów uważała, że ich dzieciom będzie się wiodło gorzej. Poza tym covidowo-inflacyjne tąpnięcie nie tłumaczy, dlaczego w podobnych, a nawet gorszych okolicznościach – przeciw ubogiej krajów dawnego Trzeciego Świata nie zapewniały obywatelom takich osłon pandemicznych i inflacyjnych jak na Zachodzie – respondenci z krajów rozwijających się zachowali optymizm.

Po drugie: kraje rozwinięte w ostatnich latach rozwijają się wolno; znacznie wolniej niż państwa, które je gonią.

Rachityczny wzrost zamożności i szeroko pojętego dobrobytu w starych demokracjach sprawia, że ich społeczeństwa przestają wierzyć w postęp. Po prostu go nie widzą – realnie on się dokonuje, ale zbyt mozolnie, żeby na przestrzeni dekady albo dwóch przeciętny Niemiec, Duńczyk czy Brytyjczyk go dostrzegł.

Tę tezę potwierdza wskaźnik Better Life Index (BLI) badany przez OECD, Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. Zawiera on 11 podwskaźników, w tym: mieszkalnictwo, dochody, jakość rynku pracy, edukację, środowisko, zdrowie publiczne czy bezpieczeństwo. To najbardziej kompleksowy wskaźnik jakości życia, jakim dysponujemy.

Analitycy z Polskiego Instytutu Ekonomicznego zauważyli, że w okresie 2010-23 jedynie dwa spośród 38 krajów OECD systematycznie poprawiały co najmniej połowę z 11 podwskaźników BLI.

Były to Polska i Estonia. Znacznie więcej państw – m.in. Niemcy, Wielka Brytania, Belgia, Norwegia i Francja – przez ponad dekadę podciągnęły się na zaledwie jednym lub dwóch polach. Tak się składa, że to kraje, których społeczeństwa cechował największy pesymizm.

Opowieść o przetrąconym pokoleniu

Do ponuractwa zamożnych społeczeństw przyczynia się też zjawisko zwane przez psychologów „negativity bias” – pesymistyczne skrzywienie poznawcze wzmacniane przez media. Przykładem jest popularna podczas wielkiego kryzysu 2008 roku i w latach następnych narracja, że milenials będą pierwszym w historii pokoleniem biedniejszym od swoich rodziców.

W „Wyborczej” obszernie opisał to Miłosz Wiatrowski: „Wystarczy poświęcić parę minut, by znaleźć dziesiątki artykułów i raportów powtarzających tę złowrogą mantrę (...). Badanie przeprowadzone przez amerykańską Rezerwę Federalną pokazało, że przychody gospodarstw domowych milenialsów są aż o 14 procent niższe niż te, którymi cieszyli się przedstawiciele powojennego wyżu demograficznego (baby boomers) na tym samym etapie życia”.

Ta narracja po pewnym czasie okazała się nieprawdziwa. Dowiodła tego w „The Atlantic” Jean Twenge, profesorka psychologii z Uniwersytetu w San Diego, która po latach przyjrzała się losom milenialsów. Amerykańskich – ale odwołanie się do jej badań jest uprawnione, bo europejscy dziennikarze i publicyści też opiera-

li się w dużej mierze na badaniach i prognozach z Wielkiej Wody.

Rzeczywiście w pierwszych latach po 2008 r. mogło się wydawać, że amerykańscy milenialsi będą mieli gorzej, ale pod koniec drugiej dekady pokolenie Y zaczęło nadrobić dystans. Dzisiaj – dowodzi Twenge w tekście „The Myth of the Broke Millennial” – mają wyższe dochody i większe majątki niż ich rodzice w analogicznym wieku. Nawet jeśli doliczymy do tego zadłużenie z kredytów studenckich.

A mimo to opowieść o „przetraconym pokoleniu” wraca – i w reportażach o niepewności i lęku, które trawia dorosłych już milenialsów, i w analizach, jak pandemiczne lockdowny odcisną się na dorosłym życiu dorastających akurat wtedy zetek.

Czyli coś musi być na rzeczy. I jest. Otóż apokaliptyczne opowieści cechuje długie trwanie w kulturze. Im bardziej pesymistyczna narracja, tym lepiej zapada w pamięć indywidualną i zbiorową.

Media lubią krew, bo ludzie jej pragną

W dziennikarstwie od stuleci obowiązuje zasada: „If it bleeds, it leads” (jeśli jest krew, to się sprzeda). To nie znaczy, że dziennikarze są winni naszemu pesymizmowi, tylko że to oni – a przed nimi wszelkiej maści prorocy, charyzmatycy, politycy i wydawcy popularnych proroctw – odkryli, że ludzie lubią słuchać o nieszczęściach i katastrofach. A potem pojawili się psychologowie, którzy zebrali na potwierdzenie tego naukowe dowody.

W artykule „Negativity drives online news consumption” opublikowanym w prestiżowym „Nature Human Behaviour” badacze pod wodzą Claire E. Robertson stwierdzają, że „tendencja do przywiązywania wagi do negatywnych wiadomości odzwierciedla coś fundamentalnego dla ludzkiego poznania”. Od niemowlęctwa więcej uwagi poświęcamy negatywnym bodźcom i ta preferencja utrzymuje się do dorosłości. „Negatywne informacje są »bardziej lepkie« dla naszych umysłów. Ludzie przy-

wiązują do nich większą wagę niż do informacji pozytywnych, gdy uczą się o sobie, innych czy kiedy podejmują decyzje”.

Z kolei badacze mediów Marc Trussler i Stuart Soroka udowodnili, że ludzie preferują negatywne treści, nawet kiedy twierdzą, że jest odwrotnie.

Innymi słowy: mówimy jedno, ale pragniemy czegoś innego.

Te preferencje są międzykulturowe. Przyjrzyjmy się badaniom Soroka, Patricka Fourniera i Lilach Nir, którzy wzięli pod lupę społeczeństwa 17 różnych krajów. Wyniki opisali w czasopiśmie „Proceedings of the National Academy of Sciences”.

Badanym prezentowano treści o różnym zabarwieniu emocjonalnym, ale zamiast pytać o preferencje, naukowcy skupili się na reakcjach skórno-galwanicznych – mierzyli opór elektryczny skóry, który zmienia się wskutek pocenia się. To pierwotna funkcja organizmu, którą trudno kontrolować świadomie, więc metoda jest bardzo obiektywna.

Okazało się, że we wszystkich badanych kulturach, u znacznej większości badanych negatywne treści wywoływały silniejszą reakcję.

Negatywne nagłówki rządzą jeszcze przed 11 września

Ten naturalny mechanizm musi mieć niebagatelny wpływ na to, w jaki sposób rozprzestrzeniają się wiadomości online, czyli te, po jakie najczęściej sięgamy. I ma. Treści negatywne, obojętne, prawdziwe czy nie, są częściej cytowane, częściej komentowane, częściej i lepiej zapamiętywane.

Autorzy z „Nature Human Behavior”, po przeanalizowaniu ponad 100 tysięcy tytułów prasowych stwierdzili, że te zawierające negatywny język i przekaz były częściej klikane. W nagłówki z pozytywnym przekazem ludzie klikali rzadziej. Najchętniej konsumowano negatywne treści polityczne i gospodarcze.

A jakie artykuły są chętniej szeregowane na social mediach? Temu z kolei przyjrzeni się badacze: Joe Watson, Sander van der Linden,

Michael Watson i David Stillwell, a wnioski opublikowali w prestiżowym „Nature”.

Ich badanie opierało się na ponad 95 tys. materiałach z „Daily Mail”, „The Guardian”, „New York Timesa” i „New York Post” z lat 2019-21 oraz na analizie 579 mln postów na Facebooku i Twitterze.

Bez zaskoczenia: użytkownicy social mediów prawie dwa razy częściej dzielili się artykułami o treści negatywnej niż pozytywnej.

Trend intensyfikacji negatywnych przekazów medialnych – przynajmniej w Stanach Zjednoczonych – pojawił się co najmniej ćwierć wieku temu.

Zwracają na to uwagę na łamach „Plos One” badacze David Rozad, Ruth Hughes i Jamin Hal-

Jest zbyt wiele zmiennych, byśmy uznawali za nieuniknione najczarniejsze scenariusze przyszłości planety, ze szkodą dla naszej indywidualnej i zbiorowej psychiki

berstadt, którzy przeanalizowali 23 mln nagłówków z 47 mediów informacyjnych z lat 2000-19.

Jeszcze ambitniej podeszli do sprawy autorzy raportu ONZ na temat rozwoju społecznego „Human Development Report 2021/2022”.

Cytowana w nim analiza przyglądała się milionom książek opublikowanych po angielsku, niemiecku i hiszpańsku na przestrzeni ostatnich niemal 130 lat.

Liczba anglojęzycznych „negatywnych wizji świata” zaczęła wyraźnie rosnąć na chwilę przed rokiem 2000. Kilka lat później do trendu dołączyły książki hiszpańskie, a wraz z wielkim kryzysem 2008 roku nastąpił gigantyczny „negatywny zwrot” w książkach niemieckich.

A więc w świecie anglosaskim, który narzuca globalnemu Zachodowi trendy emocjonalne i intelektualne, pesymizm zaczął się szerzyć jeszcze przed pierwszym z wielkich punktów zwrotnych w XXI wieku – przed zamachami 11 września 2001 roku. To było wydarzenie, które położyło kres optymistycznemu przekonaniu o „końcu historii” i rozpoczęło serię późniejszych międzynarodowych kryzysów i katastrof.

Social media. Pęd ku przepaści

Dlaczego ten pęd ku negatywnym wizjom świata tak przyspieszył? Jesteśmy zdani głównie na hipotezy, ale najpewniej wskutek kilku nakładających się procesów.

Po pierwsze: z powodu konkurencji na rynku mediów, którą gwałtownie zwiększył pod koniec lat 90. rozwój portali internetowych. Umożliwiły one wydawcom lepszą analitykę treści i sprawniejsze dopasowywanie oferty do preferencji ludzi – którzy, jak już wiemy, chcą czytać i słuchać o tym, że świat zmierza prosto do piekła.

Jakieś półtorej dekady temu – zbieżność z wysypem narracji o przyszłości bez przyszłości rzuca się w oczy – eksplodowały social media, które jeszcze głębiej weszły w nasze społeczne potrzeby. W pewnym sensie to my staliśmy się częścią mediów – to my szeregujemy i komentujemy artykuły, więc to my kreowaliśmy linię redakcyjną Facebooka czy Twittera, dając menedżerom i algorytmom jasny znak, co nas interesuje. A więc i w którą stronę powinni iść wydawcy tradycyjnych gazet i portali.

Po drugie: to właśnie rozwój social mediów spowodował, że najbogatsze kraje Zachodu są najbardziej podatne na pesymistyczne wizje. Po prostu ich społeczeństwa spędzają w nich więcej czasu, bo mają więcej wolnego czasu w ogóle. Natomiast same media mają lepszą analitykę, bo (przynajmniej do niedawna) mają więcej pieniędzy i bardziej profesjonalne podejście do mapowania potrzeb odbiorców.

Światelko w tunelu

To na koniec może kilka słów otuchy. Świat od dziesięcioleci zmierza w lepszym kierunku, niż większości z nas się zdaje.

To prawda, zmiany klimatyczne zaszyły tak daleko, że zaczynamy za oknem widzieć to, przed czym naukowcy ostrzegali od kilku dekad. I niewykluczone, że przez gwałtowny przyrost ekstremalnych zjawisk pogodowych ziszczą się wizje z nagłówków z ostatnich kilku lat. Żeby daleko nie szukać, w sobotniej „Wyborczej” mieliśmy: „Jeszcze trochę ropy i węgla, a uchodźców będzie kilkaset milionów. Kogo zabijemy: kobiety czy dzieci?”; „Jaki koniec świata nas czeka? Uduśmimy się, zabijają nas ekstremalne zjawiska pogodowe czy choroby”; „Polska naszych dzieci: ekstremalne wiatry, trąby powietrzne, nawałnice. I masowa emigracja z wybrzeża w głąb kraju”. I „Rok 2050. Polacy rozpoczęli odwrót w głąb Europy”.

Ale pierwszy wielki kryzys przypisywany zniszczonemu klimatowi, a konkretnie suszom – już mieliśmy. To wojna domowa w Syrii, która zdestabilizowała cały region, pchnęła miliony ludzi w drogę i uruchomiła dalsze procesy, również polityczne, jak triumfy prawicowych i alt-rightowych populistów w Europie.

I – nie negując milionów tragedii, lecz patrząc tak, jak patrzymy na apokaliptyczną przyszłość, czyli z perspektywy planety – jako ludzkość przeszliśmy go względnie suchą stopą. A postępek – również w tym czasie – trwał nie tylko w Polsce, ale też na całym globie.

To znaczy, że jest dobrze. Mały naprawę dużo do zrobienia: emisje zanieczyszczeń i nierówności są wciąż zbyt wysokie, temperatury powietrza, wody i stosunków międzynarodowych rosną.

Lecz patrząc z lotu ptaka, jutro będzie lepsze niż dzisiaj, a pojutrze – prawdopodobnie – lepsze niż jutro.

Ale i tak za chwilę wrócą państwo – i ja też – do zamartwiania się nadchodzącym końcem świata. Bo taka nasza natura. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34364474

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ”



PORADNIK DLA KUPUJĄCYCH

Jak wybrać rower

Jak nie przepłacić i dobrze wybrać?
Na co zwrócić uwagę?

Jakiego roweru nie kupować?

Na jakie gadżety rowerowe nie warto wydawać pieniędzy?

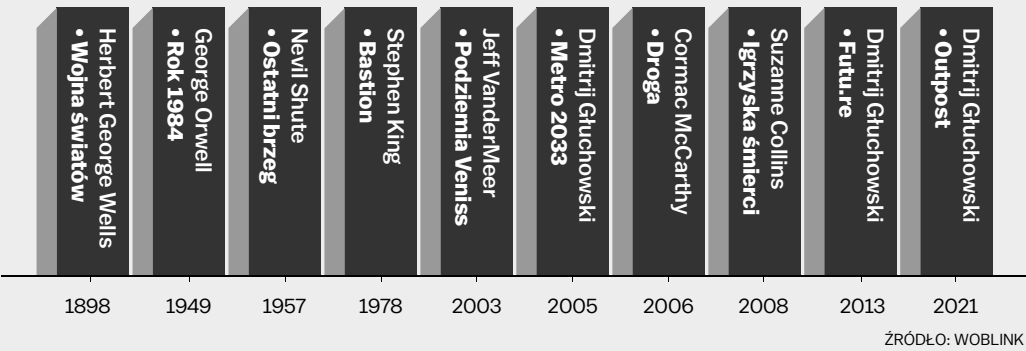
Za co kupić rower? Jakie dofinansowanie i pożyczkę można dostać?



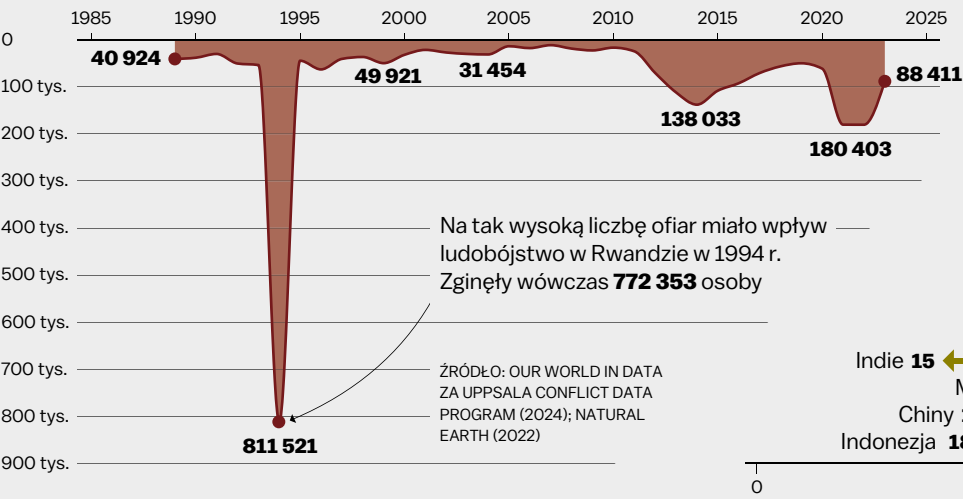
Co nas dołuje

Nawet w ramach relaksu czytamy
o katastrofach

Popularne książki o tematyce postapokaliptycznej i dystopijnej



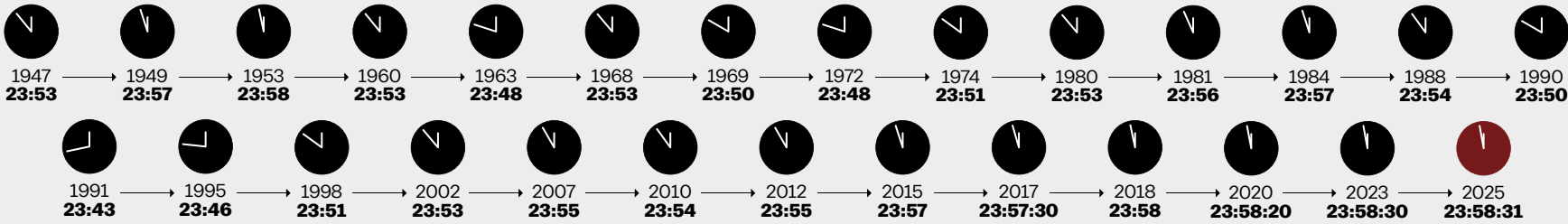
Ofiary konfliktów zbrojnych na świecie w latach 1989–2023



Zegar zagłady

Symbolicznie wskazuje stopień zagrożenia nuklearnego, środowiskowego lub technologicznego w postaci godziny. Im bliżej północy, tym gorzej dla świata

ŹRÓDŁO: WIKIPEDIA

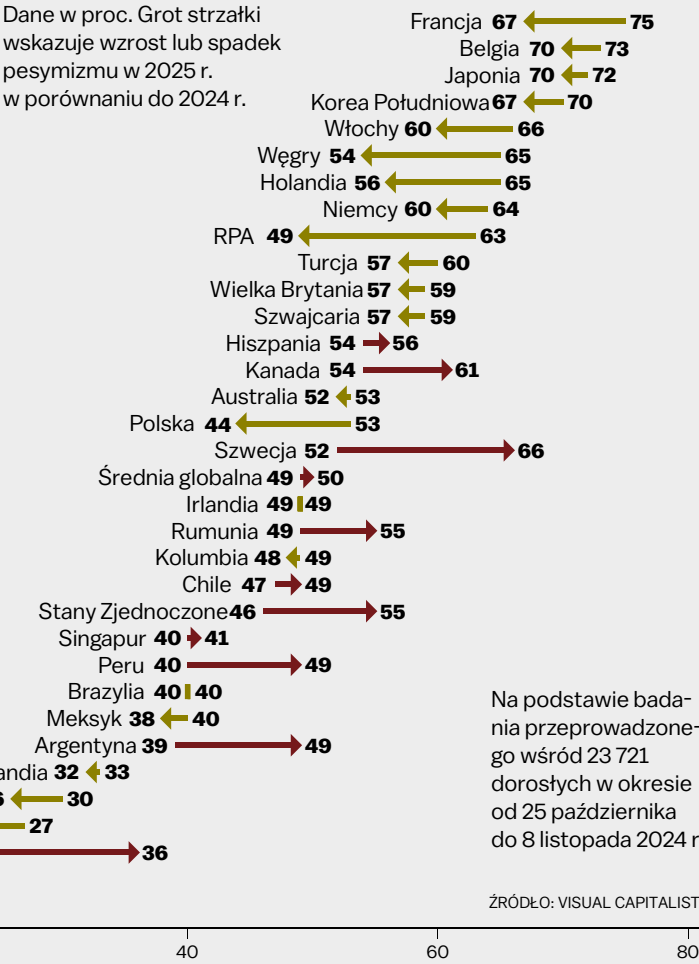


Konflikty zbrojne na świecie w latach 1946–2023



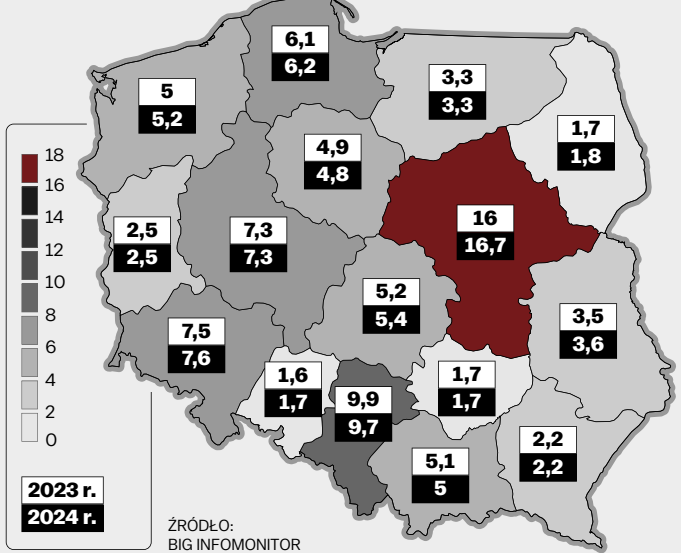
Pesymizm dla gospodarki światowej w 2024 i 2025 r.

Dane w proc. Grot strzałki wskazuje wzrost lub spadek pesymizmu w 2025 r. w porównaniu do 2024 r.



Zadłużenie Polaków w 2023 i 2024 r.

Dane w mld zł



Aleksander Gurgul

W cieniu polskich drzew wyrósł potężny układ łączyący władzę, pieniądze i ideologię. Publikujemy fragment książki „Ottarz i siekiera” Aleksandra Gurgula

Koledzy z partii. Pierwszy był zwierzchnikiem Służby Więziennej i odpowiadał za programy resocjalizacji więźniów poprzez pracę (Patryk Jaki, potem Michał Wójcik, a na koniec Michał Woś).

Drugi był śląskim radnym i dyrektorem generalnym Lasów Państwowych (Józef Kubica), które dostarczają surowiec do budowy domów.

Wreszcie trzeci – prominentny senator z Podkarpacia (Mieczysław Golba).

Tak się szczęśliwie złożyło, że to do fabryki Golby zwozi się drewno z cennych przyrodniczo nadleśnictw i przywozi skazanych.

Zakład Karny w Rzeszowie przy ul. Załęskiej to duży obiekt. Część budynków błyszczy nowością, przed jednym z nich stoi rodzaj drewnianej altany albo małego domku z drewna, jak kto woli. Na ścianie jednej z hal tabliczka z napisem „Przedsięwzięcie współfinansowane ze środków funduszu aktywizacji zawodowej skazanych oraz rozwoju przywieziennych zakładów pracy”. Są jeszcze inne tabliczki: „Nature House” (ang. Dom Natury) oraz „Fabryka Domów Golbalux”.

„Tylko 49 procenta” dla pana senatora*

Golbalux to rodzinna firma, oficjalnie prowadzi ją żona prominentnego senatora Suwerennej Polski, a dziś PiS, Mieczysława Golby, który w cuglach wygrywa wybory w 58. okręgu wyborczym, na Podkarpaciu. Obejmuje on Bieszczady, Pogórze Przemyskie, a także miasta Sanok, Lesko, Przemyśl i Jarosław. W wyborach w 2023 roku Golba wygrał trzecią kampanię, zdobywając 49 procent głosów w okręgu. Można powiedzieć „tylko 49 procent”, bo w 2015 roku miał poparcie ponad 57 procent głosujących, a w 2019 roku – blisko dwóch trzecich!

W najnowszym oświadczeniu majątkowym senatora czytamy, że ma na koncie 677 tysięcy złotych, do tego dom wart 1,28 miliona złotych i ponad jedenastohektarowe gospodarstwo rolne warte 950 tysięcy złotych. No i ma jeszcze 1683 udziały w Golbaluxie.

Na stronach Senatu przeczytałem, że w latach 1997–2005 Golba był prezesem klubu sportowego LKS Golbalux Wiązownica. Od lat jest też działaczem różnych szczebli Polskiego Związku Piłki Nożnej, łącznie z zarządem w Warszawie. Z tego też ma pokaźne pieniądze – tylko w ostatnim oświadczeniu wykazał prawie 195 tysięcy złotych z tej działalności. W przeszłości był też radnym w Wiązownicy i zastępcą wójta gminy.

Skazani dla Golbaluxu

W 1994 roku założył firmę, która z drewna robi domy i inne produkty, czyli właśnie Golbalux. Skazani z zakładu w Rzeszowie, którzy pracują w firmie, w dni robocze dzieleni są na dwie grupy. Pierwsza idzie piechotą do hali zbudowanej na terenie zakładu karnego albo hali znajdującej się, zaraz obok niego. Druga grupa wsiada do busa, który zawozi ich do położonej o prawie godzinę drogi Wiązownicy. Za busa płaci „kontrahent”, czyli Golbalux.

Skazani jadą busem bez konwojenta, odpowiedzialność za nich bierze firma. Jak zapewnia mnie kierownictwo zakładu karnego, do pracy w Golbaluxie kierowane są osoby, które odbywają kary za „niegroźne przestępstwa”, korzystają z systemu przepustkowego, „mają pozytywną ocenę postępów w procesie resocjalizacji”



DREWNIANY TRIUMWIRAT

Było ich trzech... tak się zarabia kasę na Lasach Państwowych.

i zostało im już stosunkowo niewiele czasu do końca odsiadki.

Na wyjazd z Rzeszowa skazani dostają prowiant, a po powrocie obiad, ale kontrahent może im jeszcze dodatkowo kupić coś do jedzenia. Grupa skazanych, którzy zostali na terenie zakładu karnego, pracuje dla Golbaluxu w dwóch halach (produkcyjnej i magazynowej), zbudowanych za 35,6 miliona złotych z budżetu państwa i specjalnego funduszu, którym dysponuje dyrektor Służby Więziennej.

Hale oddano do użytku wiosną i jesienią 2019 roku, Golbalux dzierżawi je od końca grudnia 2020 roku. Płaci atrakcyjnie niski czynsz – około 16,2 tysiąca złotych brutto miesięcznie. Zakład karny w Rzeszowie podpisał z Golbaluxem umowę na 12 lat, z możliwością przedłużenia o kolejne dziesięć.

Unijna kasa nie śmierdzi

W 2023 roku – w zależności od miesiąca – firma Golbów zatrudniała od 62 do 70 skazanych. Dla przykładu: w grudniu

62 skazanym wypłaciła nieco ponad 178 tysięcy złotych, wychodzi prawie 2,9 tysiąca złotych za miesiąc pracy przy budowie domów z drewna. Mówimy więc o okolicach najniższej krajowej.

Michał Basiak, rzecznik rzeszowskiego zakładu karnego, napisał mi w mailu: „Utrzymując stały kontakt z kontrahentami, niejednokrotnie docierają do nas informacje, iż osoba pozbawiona wolności jest sumienna i rzetelna w powierzonych obowiązkach. Na uwagę zasługuje fakt, iż bardzo często kontrahenci chcą nadal zatrudniać poszczególne osoby już po zakończeniu kary pozbawienia wolności. To jednoznacznie dowodzi, iż proces resocjalizacji prowadzony przez Służbę Więzienną jest właściwy i są tego wymierne efekty”.

Tak się składa, że nadzór nad Służbą Więzienną w latach 2015–2023 mieli ludzie Zbigniewa Ziobry, a więc partyjni koledzy senatora Golby. Początkowo służbę tę nadzorował Patryk Jaki, prawa ręka Ziobry. W ostatnim okresie, od jesieni 2020 roku, obowiązki te przejął wiceminister sprawiedliwości Michał Woś z Raciborza, wiceprezes Suwerennej Polski. Woś był też przez pewien czas ministrem środowiska i podlegały mu Lasy Państwowe. (...)

Rodzinny biznes senatora Golby skwapliwie korzystał z dotacji z Unii Europejskiej. Strumień pieniędzy liczony w milionach złotych płynących z UE do Golbaluxu może dziwić,

wszak partyjne środowisko Zbigniewa Ziobry jest jednym z najbardziej antyeuropejskich ugrupowań na polskiej scenie politycznej. Ba! Z antyunijnej retoryki zrobiło wręcz jeden ze sztandarów. Tymczasem z informacji na stronie golbalux.pl wynika, że unijna kasa Golbom absolutnie nie śmierdzi.

W wywiadzie zamieszczonym na stronie państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego Halina Golba, małżonka senatora i prezeska Golbaluxu, zdradziła, że domy z drewna i meble jej firma eksportuje m.in. do Danii, Szwecji, Francji, Włoch i Niemiec, czyli mówiąc językiem partii jej męża – „na zgnily Zachód”. Pani Halina chwaliła się, że Golbalux zdobywał w ostatnich latach nagrody, m.in. „Liderzy regionu”.

Na pomoc Golbaluxowi

Wywiadu udzieliła z okazji pożyczki, jakiej BGK udzielił jej firmie w związku z pogorszeniem się płynności finansowej po pandemii COVID-19. – W kwietniu i maju 2021 roku straciliśmy kilka bardzo ważnych zamówień. Nasi klienci zrezygnowali z budowy domów z powodu problemów finansowych spowodowanych COVID-19. Rezygnacja doprowadziła nas do trudnej sytuacji – tłumaczyła Halina Golba i wspominała, że mieli trudności z kupnem drewna do produkcji i wypłatami pensji dla pracowników.



• Bieszczady. Zrywka, czyli transport drewna z miejsca wycinki, prowadzona przez Lasy Państwowe

grantowych „Sportowa Natura” i „Drewno jest z lasu”. Grant w tym drugim przypadku wyniósł 100 tysięcy złotych, za co klub sfinansował salon odnowy biologicznej (de facto jest to kontener z sauną), przed którym właśnie stoję. W rogu budynku stoi grill gazowy. Dzwonię do prezesa klubu, ten uprzejmie zaprasza, mogę przyjść, kiedy tylko będę miał ochotę na saunę, wystarczy się wcześniej umówić.

W ciepłe leśnej kasy

Ale sauna nie jest jedynym, na co Lasy Państwowe wyłożyły pieniądze w okręgu wyborczym senatora Golby w ostatnich latach. Kiedy wpisać w internetową wyszukiwarkę „Mieczysław Golba + drogi + Lasy Państwowe”, wyskakują dziesiątki medialnych relacji. Senator uśmiechał się do fotoreporterów wielu podkarpackich redakcji, gdy leśnicy przyznawali czeki na budowę i remonty dróg w rejonie Jarosławia, w tym także dróg prowadzących do samej Wiązownicy.

Czasem kartonowe czeki opiewały na kilkaset tysięcy złotych, innym razem na milionowe kwoty. Golba jeździł, dokąd tylko mógł, by ogrzać się w ciepłe leśnej kasy, i zbijał polityczny kapitał.

Wdzięczna rodzina Golbów wpłaci dziesiątki tysięcy złotych na kampanie polityków Suwerennej Polski z Podkarpacia. Halinę Golbę znajduję także w rejestrze wpłat na rzecz partii PiS w 2023 roku – 46 tysięcy złotych.

Z domu senatora Golby w Wiązownicy do wspomnianej wcześniej sauny można dojść w kilka minut piechotą, sprawdziłem, czyli tyle, ile wprawnemu drwalowi zajmuje wycięcie drzewa. A do siedziby Golbaluxu spod stadionu jest najwyżej 300 metrów. Z oddali słychać łoskot ciętego drewna, w powietrzu da się wyczuć zapach trocin.

Pani prezeska nie chce rozmawiać

Wchodzę do biura i wprost nie mogę uwierzyć w swoje szczęście, bo za biurkiem siedzi sama prezeska, Halina Golba. Przedstawiam się i wyjaśniam, że chciałbym porozmawiać o tym, jak produkują domy z drewna. Pani Halina nie chce, dzwoni jeszcze do kogoś, po czym wyprasza z biura, bo nie byliśmy umówieni. Nie życzę sobie, bym cokolwiek fotografował.

Tłumaczę, że piszę książkę o Lasach i że mogę poczekać. – O domach z drewna chcę porozmawiać – przypominam. – Wiem, ale pan powiedział, z jakiej jest gazety, więc o czym pan chce teraz ze mną rozmawiać? – Golba odpowiada pytaniem. Zostawiam numer telefonu. Pani prezes obiecuje, że się zastanowi, ale nigdy się do mnie nie odezwie, a jej firma nie odpisze na mojego maila.

Pytam Lasy Państwowe, czy firma Golbalux kupuje od nich drewno, a jeśli tak, to z których nadleśnictw i ile za nie płaci. Na ostatnie dwa pytania leśnicy mi nie odpowiedzieli, zasłaniając się m.in. tajemnicą przedsiębiorstwa. To stała praktyka Lasów, które nie chciały także ujawnić, kto od nich kupował drewno wycinane w Puszczy Białowieskiej. W przypadku Golbaluxu leśnicy napisali mi natomiast, skąd firma Golbów skupuje surowiec – w latach 2015–2023 z 23 nadleśnictw w Małopolsce, na Podkarpaciu i Lubelszczyźnie.

Tną gdzie się da

Wśród nich znalazłem i te położone w Bieszczadach oraz na Pogórzu Przemyskim, gdzie aktywiści i organizacje przyrodnicze od lat starają się o utworzenie Turnickiego Parku Narodowego i o powiększenie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Albo walczą, by zatrzymać wycinkę w cennych przyrodniczo lasach wokół uzdrowisk.

Część z nich to lasy reliktywnej Puszczy Karpackiej, cenne fragmenty, które udało się uchronić przed gospodarką leśną. Choć leśnicy pewnie oburzają się na te słowa i powiedzą, że dzięki ich pracy udało się tę puszcze nawet powiększyć od czasu II woj-

ny światowej, m.in. przez nasadzenia na gruntach porolnych po akcjach wysiedlania lokalnej ludności.

Są to nadleśnictwa: Bircza, Baligród, Cisna, Dukla, Krasiczyn, Lutowiska, Rymanów, Stuposiany czy Ustrzyki Dolne. Wszystkie podlegają Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie (takich RDLP w całej Polsce jest siedemnaście).

Wędrowałem przez lasy nadleśnictwa Lutowiska (także przy granicy Bieszczadzkiego Parku Narodowego), z którego drewno też jedzie do zakładu Golbaluxu. Leśnicy pozwalają w nich ciąć drzewa w odległości nawet 50–70 metrów od gawr, które niedźwiedzie wydrążyły sobie w wielkich wiekowych jodłach. Miejsce to zasługuje na powołanie co najmniej rezerwatu, a zdaniem aktywistów w Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze – na włączenie do parku narodowego.

W ostatnich latach doszło nawet do sytuacji bez precedensu: aktywiści FDP zablokowali wycinkę w tych lasach w sądzie, właśnie z uwagi na spokój, którego potrzebują niedźwiedzie.

Niedźwiedzia przysługa

Takie wnioski płyną z obserwacji niedźwiedzi w Bieszczadach. Przeprowadzili je

Czasem kartonowe czeki opiewały na kilkaset tysięcy złotych, innym razem na milionowe kwoty. Golba jeździł, dokąd tylko mógł, by ogrzać się w ciepłe leśnej kasy, i zbijał polityczny kapitał

dr Bartosz Pirga i Tomasz Polakiewicz, pracownicy parku narodowego.

„Wydaje się, że postępująca antropopresja na obszarach otaczających BdPN (na obszarze otuliny – również w bezpośrednim sąsiedztwie jego granic), związana głównie z intensyfikacją gospodarki leśnej i budową infrastruktury drogowej służącej do wywozu surowca drzewnego (utwardzane drogi leśne i nieutwardzane szlaki zrywkowe), będą wpływać na behavior i powodować postępujące zmiany w wykorzystaniu przestrzeni przez niedźwiedzie. (...) Jest prawdopodobne, że wypłaszane podczas intensywnych prac leśnych osobniki szukać będą dogodniejszych kryjówek do gawrowania w ostojach zlokalizowanych na obszarach nieużytkowanych gospodarczo.

W świetle danych zawartych w niniejszej pracy należy stwierdzić, że realizowana na obszarze otuliny BdPN gospodarka leśna, nastawiona w ostatnich latach w dużej mierze na wyrąb leciwych jodeł, powoduje szybko postępującą degradację kłuczowych – preferowanych siedlisk (ostoi zimowych i miejsc rozrodu) niedźwiedzi w Bieszczadach” – napisali badacze w artykule opublikowanym w 2019 roku na łamach „Roczników Bieszczadzkich”.

Zapytałem leśników z nadleśnictwa Lutowiska, czy rozważą odstąpienie od wycinki i zawnioskują do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska o powołanie na tym terenie rezerwatu – dla dobra niedźwiedzi i dla dobra swojego wizerunku. Nie odpowiedzieli. Nowy dyrektor generalny Lasów Państwowych Witold Koss w wywiadzie, którego mi udzielił na początku 2024 roku, zapowiedział, że zajmie się sprawą.

Prokuratura rusza do akcji

Wysiłki organizacji działających na Podkarpaciu (Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze, IDK czy właśnie Kwitnącej Otuliny) przyniosły wymierny efekt. Na początku lutego 2024 roku, a więc już po wybo-

rach parlamentarnych w Polsce i powstaniu rządu Donalda Tuska, nowe kierownictwo regionalnej dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie wydało zakaz wycinki drzew o wymiarach pomnikowych w Puszczy Karpackiej. Wpisano ją też na listę dziesięciu obszarów leśnych w Polsce, które resort klimatu i środowiska objął moratorium: częściowo wstrzymano wycinki albo je ograniczono (to z kolei wywołało sprzeciw lokalnych firm, w których pracują drwale i pilarze).

A jesienią 2024 roku prokuratura w Kielcach wszczęła dochodzenie w sprawie zatrudniania więźniów pracujących dla Golbaluxu. Padło podejrzenie przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariuszy Służby Więziennej oraz zaniedbań w realizacji programu „Praca dla więźniów”. Do tego doszła kwestia dzierżawy hal produkcyjnych na terenie zakładu karnego w Rzeszowie.

Nowa wiceministra sprawiedliwości Maria Ejchart tłumaczyła w Polskim Radiu, że Golbalux miał – zgodnie z umową z rzeszowskim zakładem karnym – zatrudniać 600 więźniów, a zatrudniał 30. W dodatku Golbalux, łamiąc umowę, podnajął jedną z hal innej firmie.

– Drugim niepokojącym dla nas elementem było to, że firma, która podnajęła od firmy Golbalux halę, przewoziła na teren hali nieokreślone przedmioty, które następnie więźniowie mieli segregować. Nie było wiadomo, co się znajduje w tych paczkach. Dopiero właśnie kontrola wykazała, że tam były niebezpieczne przedmioty – dodała Ejchart. I zaznaczyła, że więźniowie nie powinni mieć do nich dostępu.

Oświadczenie senatora Golby

Służba Więzienna oświadczyła, że zależało jej, by jak najwięcej więźniów pracowało, dlatego wybrano ofertę Golbaluxu. W zamian za zatrudnienie dużej liczby skazanych firma dostała preferencyjne stawki na wynajem hali. Gdy okazało się, że jest inaczej, przeprowadzono audyt. Potem posadę stracił dyrektor rzeszowskiego zakładu karnego, a na koniec złożono zawiadomienie do prokuratury.

Senator Golba wydał oświadczenie: „Od czterech lat zatrudniamy osadzonych w filii naszej fabryki w Zakładzie Karnym w Rzeszowie i w siedzibie głównej firmy w Wiązownicy. Dzięki temu pomagamy Służbie Więziennej w resocjalizacji osadzonych. To w naszym zakładzie mają możliwość nauczania się wielu zawodów budowlanych. A dzięki pracy zarobkowej w Golbalux osadzeni mają pieniądze na podstawowe wydatki”. •

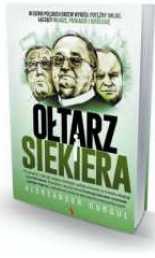
Śródtytuły pochodzą od redakcji.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Aleksander Gurgul

• dziennikarz śledczy. Na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończył dziennikarstwo, amerykanistykę i latynoamerykanistykę. W Stambule spędził stypendium Erasmus. W Nowym Jorku odbył staż w konsulacie generalnym RP. W „Wyborczej” pracuje od 2014 r., a od 2021 r. kieruje zespołem Klimat i Środowisko.



„Ołtarz i siekiera”, Aleksander Gurgul, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025

Książka już dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.

MAŻ STANU JAROSŁAW KACZYŃSKI?

Rządził Polską niepodzielną. Niczym I sekretarz KC PZPR w PRL-u. Do czasu

Kazimierz Orłós

PISARZ

Wielu wyborców PiS-u mówi o Jarosławie Kaczyńskim „maż stanu”. W razie wojny taki człowiek sprawdza się jako przywódca, stając na czele walki o niepodległość. Jak Józef Piłsudski i Władysław Sikorski. Te podstawowe cechy „męża stanu” warto przypomnieć, mimo że wydają się oczywiste. I z tej perspektywy spojrzeć na postać Kaczyńskiego, którego obecność i działalność tak mocno odcisnęły się na losach Polski w ostatnich dekadach.

Przeglądając się jego zachowaniu od początku lat 90. do dziś, można powiedzieć, że dwie jego cechy są oczywiste: klótniowość i niezdolność do kompromisów. W życiu prywatnym spotykamy takich ludzi: apodyktycznych, nieznoszących sprzeciwu i narzucających swoje zdanie innym. Prywatnie można to znieść, unikając kontaktu, polityków musimy jednak znosić, tak jak znosimy Kaczyńskiego w kraju od lat; cały świat musi znosić Trumpa.

Obie wymienione cechy charakteru prezesa PiS-u potwierdzają oczywiście jego znane zachowania, poczynając od udziału w spaleniu kukły Lecha Wałęsy przed Belwederem w 1993 r., a kończąc na okrzyku skierowanym do Donalda Tuska w czasie uroczystego posiedzeniu Sejmu 13 grudnia 2023: „Jest pan agentem niemieckim!”.

Jednak nie okrzyki i obelgi kierowane pod adresem opozycji („mordy zdraździe”, „oni stoją tam, gdzie stało ZOMO”) przesądzają o ocenie Kaczyńskiego – o jego fatalnym wpływie na wewnętrzną sytuację w Polsce i odpowiedzialności za błędy w polityce zagranicznej. Bo to on odpowiada za wywołanie wojny polsko-polskiej, za niszczenie instytucji demokratycznych i kłamstwa, które przez ostatnie lata powtarzała zawłaszczona przez niego TVP. Fakty są znane i wielokrotnie opisywane – myślę, że jednak warto je przypominać.

Mając większość w Sejmie, podporządkowanego sobie prezydenta, rząd, Trybunał Konstytucyjny, prokuraturę i sądy, otoczony ludźmi, którzy każde jego polecenie spełniali natychmiast, Kaczyński rządził Polską niczym I sekretarz KC PZPR w czasach PRL-u. Najchętniej z centrali na Nowogrodzkiej - rodzaju Biura Politycznego - nie ponosząc żadnej odpowiedzialności za swoje decyzje.

Warto też pamiętać o obsesjach „męża stanu”, bo z pewnością wpływały na jego decyzje. Jedną z nich szczególnie odcisnęła się na atmosferze w kraju i na życiu polskiego społeczeństwa w ostatnich latach.

To obsesja obchodzenia „miesięcznic” upamiętniających śmierć brata, prezydenta Lecha Kaczyńskiego, i pozostałych ofiar katastrofy smoleńskiej. Na owe comiesięczne msze w katedrze warszawskiej, pochody zwolenników PiS-u z pochodniami i wygłaszanie przemówień, w których „naczelnik” obiecywał ostateczne zwycięstwo i dowody na „zamach” w Smoleńsku, patrzyliśmy przez osiem lat.

Nie tylko w polskich obyczajach, ale także w Kościele katolickim nie ma zwyczaju obchodzenia „miesięcznic” upamiętniających śmierć bliskich osób. Łatwo sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby taki zwyczaj obowiązywał: cmentarze stałyby się miejscem najczęściej odwiedzanym, a tłumy Polaków ani na chwilę nie opuszczałyby grobów bliskich. Jarosław Kaczyński kulturowo ten zwyczaj. Oprócz tłumnego, publicznego obchodzenia dziesiątego dnia każdego miesiąca odwiedza też co miesiąc grób brata i bratowej na Wawelu, gdzie obok polskich królów i wodzów leżą Maria i Lech Kaczyńscy.

Co dziwne, ten obsesyjny zwyczaj, praktykowany od lat, nie spotkał się nigdy z żadnym sprzeciwem nie tylko ze strony ludzi z otoczenia „naczelnika”, ale także, jak się zdaje, ze strony rzesz zwolenników PiS-u. Również przyjęty ostatnio zwyczaj składania wieńców co miesiąc, dziesiątego, na pl. Piłsudskiego w Warszawie pod pomnikiem ofiar katastrofy smoleńskiej nie budzi zastrzeżeń. Mimo groteskowej formy tej „uroczystości” i oczywistych kompromitacji prezesa.

Niewątpliwie obsesją, która opanowała Kaczyńskiego w sposób wyjątkowy, jest nienawiść do Donalda Tuska. Pod znakiem tej obsesji upływały ośmioletnie rządy PiS-u. Pamiętamy powtarzane bez przerwy hasło „wina Tuska”, którym kwitowano wszelkie niepowodzenia. Nienawistne „paski” z wymyślonymi zarzutami pod jego adresem w TVP Info. Wstydziłyśmy się z powodu kompromitującego nasz kraj głosowania w Brukseli, kiedy jedynie pani Szydło była przeciw kandydaturze polskiego polityka, gdy ponownie obejmował funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej.

Zapewne o przyczynach tej chorobliwej nienawiści prezesa mogliby coś powiedzieć psycholodzy. Być może jest nią zwykła ludzka zawiść, świadomość, że jest się kimś gorszym - mniej znanym, o nieporównywalnie mniejszych możliwościach działania na arenie międzynarodowej. Porównując dwie postawy - pełne zaciekleści ataki Kaczyńskiego i chłodne niezwracanie uwagi na to Tuska - możemy ocenić, kto jest człowiekiem i politykiem z klasą.

Obsesja antyniemiecka jest kolejną, która od lat wpływa na zachowania „naczelnika”. Z pewnością też decydowała o polityce zagranicznej rządu PiS-u. Ten anachronizm - obraz Niemiec jakby z międzywojnia i II wojny, nieumiejętność spojrzenia na nie jako na naszego sąsiada w zupełnie innej rzeczywistości historycznej, na państwo przyjazne i demokratyczne - przesądzał również o stosunku do Unii Europejskiej. O braku zrozumienia, że podstawową racją stanu Polski jest ścisły związek z Zachodem. A nie pretensje, klótnie i dystansowanie się od Unii.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

**W działaniach
Jarosława Kaczyńskiego
od początku lat 90. do dziś
dwie jego cechy rzucają
się w oczy: klótniowość
i niezdolność
do kompromisów**

Alternatywą jest przecież Wschód i Rosja Putina.

Tym, co chyba najbardziej wiąże się z osobą Kaczyńskiego, jego polityką wewnętrzną i oceną jego postępowania w czasie, gdy sprawował niepodzielne rządy, jest sprawa tragedii smoleńskiej. I w tym wypadku możemy mówić o jego obsesyjnym przekonaniu, że był zamach, że za tragedię odpowiadają premier Tusk i szef MSZ Sikorski, że była jakaś zмова z Putinem.

To absurdalne przekonanie było podstawą działań komisji Macierewicza i wmawiania, że zamach był. Wbrew oczywistym faktom, opiniom specjalistów i zeznaniom świadków. Aż trudno uwierzyć, że ten absurd stał się przyczyną tak głębokiego podziału społeczeństwa i bezkrytycznej wiary zwolenników PiS-u w słowa prezesa - w zapewnienia wielokrotnie powtarzane w czasie „miesięcznic”.

Można oczywiście zrozumieć, że „wiarę” w zamach wpojono przede wszystkim najmniej wykształconej części społeczeństwa, najbardziej podatnej na propagandę telewizji publicznej, Telewizji Trwam i Radia Maryja. Mieszkańcom wsi i małych miast. Ale spotykaliśmy i spotykamy ludzi wykształconych, którzy absurdalną teorię o zamachu akceptowali. I powtarzali nonsensowne argumenty. Tacy ludzie, jak się zdaje, byli też w otoczeniu „naczelnika”. Nikt nie miał własnego zdania i nikt nigdy nie protestował.

Istotne jest wobec tego pytanie, które już padało i z którym Kaczyński musiał się liczyć: jeśli raport Macierewicza - o wybuchu bomby w samolocie, co świadczyło o zamachu z inicjatywy Rosji - uznaje za wiarygodny, zamykający ostatecznie sprawę, to dlaczego żadnych działań nie podjął? Polska została w ten sposób zaatakowana przez sąsiednie mocarstwo, a on wojny Rosji nie wypowiedział ani nie próbował zaangażować w wojnę NATO.

I jeszcze jedno pytanie trzeba oczywiście postawić: skoro ten świat obsesji, absurdów i oczywistych działań wbrew polskiej racji stany był tak widoczny i tak łatwo dowiedzieć, że „maż stanu” był w istocie politykiem, który wyrządził Polsce ogromne szkody, to dlaczego on sam i jego partia cieszą się nadal poparciem jednej trzeciej polskiego społeczeństwa?

Wydaje się, że odpowiedź to przede wszystkim poparcie Kościoła. Przez osiem lat wyborcy PiS-u mieli okazję niemal dzień w dzień dzięki zawłaszczonej TVP i Telewizji Trwam widzieć Kaczyńskiego przyjmującego komunię, klęczącego w kościele lub śpiewającego i kołyszącego się w takt papieskiej „Barki” na Jasnej Górze. To był nie tylko sojusz tronu i ołtarza podkreślany bez przerwy, ale także przekaz dla ludzi z małych miast i wsi, gdzie wpływy polskiego Kościoła są najsilniejsze: oto mamy przywódcę prawdziwego katolika! I poza tym - prawdziwego Polaka, bo jednocześnie we wszystkich wystąpieniach „naczelnik” podkreślał swój patriotyzm. Słowa „Polska”, „polskość”, „Polacy” były chyba najczęściej wypowiadanymi przez niego i ludzi z jego otoczenia.

Ten werbalny patriotyzm, obnoszenie się z biało-czerwonymi sztandarami i białoczerwonymi znaczkami w klapach marynarek dawał Kaczyńskiemu poparcie nacjonalistów polskich. Ludzi przekonanych, że Polska jest krajem wyjątkowym, a Polacy najlepszą nacją na świecie.

I jeszcze jedno pytanie: jaki jest program „męża stanu”, „naczelnika” i „prezesa” oraz jego partii - dziś, kiedy Donald Trump dogaduje się z Putinem i waży się losy Ukrainy, Polski, Europy, a może świata? Kiedy szczególnie potrzebne jest porozumienie w kraju, zgoda i wspólna strategia wobec realnego zagrożenia ze Wschodu? Czy Kaczyński to rozumie?

Wydaje się, że nie, bo jego „program” i działania jego partii pozostają niezmiennie: to nadal klótnia, oczernianie rządzących, ataki na Tuska i straszenie Niemcami. I oczywiście „miesięcznice”, dziś obchodzone bez osłony policji - zabawne sceny na pl. Piłsudskiego, zamazywanie tabliczki na kontrwieńcu, szarpanina i wulgarne epitety. Oto cały „program”.

Możemy mieć jedynie pewność, że przyszli historycy dokonają oceny obecności Jarosława Kaczyńskiego na polskiej scenie politycznej w pierwszych dekadach XXI wieku. I że będzie to ocena druzgocąca. ●

Warszawa, styczeń-luty 2025 r.

Tytuł tekstu – „Wyborcza”

● **Na zdjęciu prezes PiS-u pod pomnikiem swego brata prezydenta Lecha Kaczyńskiego na pl. Piłsudskiego w Warszawie.**

Chihuahua

Zrozumielibyśmy jeszcze, gdyby marszałek poczuł się urażony porównaniem do boksera, bo w tej kampanii wyborczej byłby to rodzaj konfliktu.



Michał Rusinek

Zdużą radością odnotowujemy, że do kampanii wyborczej powróciły wątki zwierzęce. Po przebrzmiałych już wątkach rodentologicznych (Tusk vs. Nawrocki), pojawiły się nowe i zaskakujące: parazytologiczne i kynologiczne (Hołownia vs. Mentzen). Warto im się przyjrzeć.

Wszystko zaczęło się z końcem lutego, kiedy to marszałek sejmu (kandydat Polski 2050 na prezydenta) Szymon Hołownia, zapytany o wzrastające wyniki Sławomira Mentzena (kandydata Konfederacji) w sondażach, powiedział, że będzie walczył z Mentzenem „do ostatniej kropli politycznej krwi, bo to jest szkodnik, to jest pasożyt na tym, co dzisiaj chcemy w Polsce budować”. Cała Polska z zapartym tchem czekała na błyskotliwą ripostę Mentzena. Ona jednak nie następowała i już zaczynaliśmy sinieć z niedotlenienia, aż tu nagle, po tygodniu, Mentzen wziął się w garść i zaatakował Hołownię w Polsat News. Przyznał, że w pierwszej chwili był w szoku, że marszałek używa względem niego „nazistowskiej retoryki”.

Rzeczywiście, posługiwanie się nazistowską retoryką wobec polityka skrajnej prawicy jest zabiegiem, który może wprowadzić pewną dezorientację.

Nazistowskość polegała, zdaniem Mentzena, na porównaniu go „do jakichś insektów, glist, pasożytów, tasiemców”, czyli – innymi słowy – poczuł się on jak Żyd, w którym naziści widzieli karalucha. Jakoś nie widzi niestosowności tego porównania, ale cóż, takie miał odczucie, a z odczuciami się nie dyskutuje. Dobrze by było, żeby wpłynęło ono na jego poglądy, ale nie ludzimy się, że tak będzie. Wygląda jednak na to, że w ciągu tygodnia Mentzen albo sprawdził w literaturze przedmiotu, jakie są w naturze najpopularniejsze szkodniki i pasożyty, albo przypomniał to sobie ze szkoły, którą przecież kończył stosunkowo niedawno.

Wiele wskazuje na to, że przegadał tę sytuację ze swoim terapeutą, bo wyznał, choć wcale o to nie pytaliśmy, jak się poczuł, usłyszawszy słowa Hołowni: „Nie było to przyjemne”. Cóż, chyba takie być miało: Hołownia wyrażał oburzenie, że polityka Konfederacji zbieżna jest z polityką niemieckiej AfD, czyli „gości, którzy chcą nas wepchnąć w ręce ruskich”.

Na wyżalaniu się Mentzen nie poprzestał, tylko „okazał pewne zrozumienie” i „mimo wszystko wyrozumiałość dla marszałka Hołowni”. Nie chodziło jednak o moment autorefleksji i opamiętania, ale – ołśnienia: „Ten facet w tym momencie walczy o swoje polityczne życie i, niestety, tę walkę przegrywa”. Czyli Hołownia aktualnie tonie, a tonący – jak pisał Lec – brzydko się chwytą, porównując swojego przeciwnika politycznego do pasożyta. Nie zasługuje on na kontratak, ale na lży współczucia, oczywiście – że pozostanie-

my w metaforyce zwierzęcej – krokodyle. Tutaj nastąpił ostateczny, morderczy cios: „Gdyby pan redaktor zobaczył przerażoną, skamlącą chihuahue, którą na pana szczeka, to nie byłby pan przerażony albo zdenerwowany, tylko raczej byłoby panu żal tej chihuahua”.

Znów wstrzymaliśmy oddech, ale tym razem na krótko. Już następnego dnia na konferencji prasowej Szymon Hołownia powiedział z marszałkowską kategorię: „nie można nikogo porównywać do chihuahua, tym bardziej skamlącej” (obaj, jak widać, nie odważają się deklinować tej nazwy) i zapowiedział, że złoży wniosek do komisji etyki o ukaranie Mentzena naganą: „Sorry, panie pośle, takie są reguły gry”. Rzadko zdarza nam się zgadzać z opiniami na portalu wpolityce.pl, ale tym razem zgodnym chórem z braćmi Karnowskimi mamy ochotę spytać: „Czy to się dzieje naprawdę?”.

Dziennikarzy owego portalu oburza hipokryzja Hołowni: sam nazywa Mentzena szkodnikiem i pasożytem, a obraża się, gdy Mentzen odplaca mu pięknym za nadobne nazywając chihuahua. Można oczywiście przyjąć taką perspektywę, wówczas w obu wypowiedziach widzimy taką samą strategię dehumanizacji.

Cieszymy się, że prawicowy portal wreszcie zaczął zauważać i piętnować tę strategię w języku polityki. Trzeba jednak zauważyć, że „pasożyt” i „szkodnik” to silnie zleksykalizowane metafory i mało komu, gdy słyszy o czyjejś działalności pasożytniczej, stają przed oczami pchły, pijawki, kleszcze, owsiki, komary czy glista ludzka.

Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja w wypowiedzi Mentzena, który nie poszedł na metaforyczną łatwiznę: natychmiast stanął nam bowiem przed oczami pies należący do typu „ozdobnych i do towarzysstwa”, o silnej, krępej budowie w formie zbliżonym do kwadratu, dużej, zaokrąglonej głowie przypominającej jabłko, dużych, sterczących uszach, okrągłych, szeroko rozstawionych oczach, krótkiej kufie, zgryzie nożycowym lub cęgowym i ogonie noszonym sztywno do góry, zawiązającym się delikatnie na grzbiecie. Encyklopedie podają, że psy tej rasy są czujne, ruchliwe i – mimo niedużych rozmiarów – bardzo odważne, a także wybredne, jeśli chodzi o towarzystwo.

O coż tu się obrażać? O nikczemny wzrost? Krótką kufę? A może zgryz? Czy marszałek przełknąłby porównanie do charta, owczarka czy maltańczyka? Zrozumielibyśmy jeszcze, gdyby poczuł się urażony porównaniem do boksera, bo w tej kampanii wyborczej byłby to rodzaj konfliktu oznaczeń, ale chihuahua?

Owszem, najczęściej widzimy psy tej rasy na rękach celebrytek i zapewne tych skojarzeń marszałek Hołownia woląłby uniknąć. Ale chihuahua to potomkowie starożytnych psów zwanych techichi, żyjących na dworach azteckich władców – a więc zwierzęta o długim i arystokratycznym rodowodzie.

W jednym natomiast zgadzamy się z panem marszałkiem: głęboko oburzająca jest insynuacja, że chihuahua mogłaby skamleć. Każdy, kto zetknął się z psami tej rasy, wie doskonale, że mogą one warczeć i mogą szczekać, ale nigdy, przynajmniej nie posuną się do tego, żeby skamleć. W ramach obrony dobrego imienia tej rasy – przykładujemy wnioskowi marszałka sejmu o skierowanie do sejmowej komisji etyki wniosku o udzielenie nagany posłowi Sławomirowi Mentzenowi. ●

Respekt Trumpenproletariatu

Jesteśmy poddani wielkiej pokusie. Ta pokusa nazywa się „Trump i jego wartości”. Bo zwycięstwo upaja nie tylko tych, którzy wygrali, ale także tych, którzy nie mają samostereowania i w prymitywny sposób zaczynają naśladować chwilowych zwycięzców



Marcin Matczak

To, jak Donald Trump i Elon Musk reagują na swoją wygraną, jest zaskakująco małe. Ten drugi osiągnął w życiu wiele, ale wciąż triumfalizm, który okazuje, przypomina szkolne boisko. Jak inaczej tłumaczyć szczeniackie odzywki („dziewczynko” do premiera Kanady; „mały człowieczku” do Radosława Sikorskiego) niż głęboko ułożoną słabością, która teraz w niedojrzały sposób odgrywa się na innych?

I ten salut. Będziemy się spierać, czy był faszystowski, rzymski, czy może był efektem paroksyzmu? Musk mógł się podrapać w głowę. Wybrał gest, który nie był gestem szacunku ani rozważi. Był dynamiczny i militarny, bo Musk czuje, że jest na wojnie. Z kim?

Wygrana kusi i wielu chce trumpizm imitować. Teraz wszyscy będziemy uprawiać Realpolitik, bezwzględnie realizować swoje interesy, precz ze słabością, siła i honor! A może dałoby się odwrotnie?

Trump z Muskim promują inny zestaw wartości niż ten, który przyswiecał kulturze Zachodu przez wieki. Na przykład brak empatii – Musk powiedział, że empatia jest fundamentalną słabością cywilizacji zachodniej. Jego biografowie piszą, że ma on niewiele empatii interpersonalnej, ale jest empatyczny wobec ludzkości. To jest empatia fałszywa, abstrakcyjna, skupiona na przeniesieniu nas na Marsa. Nie cnota, ale nowa wieża Babel: przekonanie, że człowiek jest tak wielki, że może sięgnąć do gwiazd i stać się równy bogom.

Słowa kierowane do Trudeau i Sikorskiego sygnalizują nie tylko problem z męskością. Reklamują nękanie. To popularny trend – najłatwiej dają się na niego nabierać ci, którym brakuje sprawczości. A więc całkiem pokaźna grupa. Im taka pyskówka imponuje, w niej znajdują rekompensatę.

Chcivość również wraca do łask. Trump kopiuje zachowania autokratów przeszłości. Kto to zaczynał swe rządy od trzech nieoczywistych zapowiedzi: że przywróci godność i bogactwo rodakom, że dokona anszlusu nowych, wielkich terytoriów, dając ich mieszkańcom prawo do samostanowienia, i że zrobi to wszystko przy wsparciu wielkiego biznesu? Metale rzadkie, nowe rynki zbytu – kapitalistyczna żądza, by traktować wszystko jak transakcję, a każdego jak towar.

Albo potrzeba poniżania. Zelenski ma się kajać, bo wprowadził dziękować Amerykanom, ale nie Trumpowi czy Vance’owi osobiście, jakby ci dawali mu z własnej kieszeni. Potrzeba bałwochwalstwa, pogańską chęć odbierania pokłonów. Amerykański Babilon, prezydent, który traktuje państwa tak, jak traktował kobiety.

Podobno drugiego przykazania nie łamie „A, Jezus, Maria!” Dariusza Szpakow-

skiego, ale branie imienia Pana Boga swego, by czynić zło. To też cecha trumpizmu. J.D. Vance mówi o doktrynie „porządku miłości” (ordo amoris), która wojującym chrześcijanom daje pretekst, by nienawidzić. Mamy kochać najpierw bliskich, potem rodaków, na końcu obcych. Tyle że w interpretacji Vance’a ta doktryna zaprzecza uniwersalnej miłości chrześcijańskiej. Każdy wypuszczony obcy zagraża bliskim, a miłość do nich tak szybko się wyczerpuje, że dla nikogo innego jej nie starcza.

Trumpizm wzbudza podziw w Dominiku Tarczyńskim i mu podobnym. Ci ludzie całkowicie zakręcili się wokół własnych kolan – antyrosyjscy wojownicy teraz wspierają alianta Rosji. Cieszą się też wojownicy prorosyjscy z Konfederacji. Od lat promujący tę samą modę na bicie po ryju, tak samo skupieni na punkcie swojego przewrażliwionego honoru. Ci sami Ukraińcy, którzy Trumpowi mają dziękować, Mentzena mają przepraszać, przed oboma się kajać.

Moda na chamstwo. Widać ją w rosnącym poparciu dla Konfederacji, która jest tak samo antyeuropejska jak Trump. Ma ten sam podziw dla kogoś, kto wywraca stół, kto nie boi się powiedzieć niewypowiedzianego, kto pomyśli dotąd niepomyślane. Przejęcie Grenlandii jako pomysł nowy w świecie, w którym wszystkie pomysły są stare. Porywasz się na niemożliwe? Nawet jeśli to bez sensu, masz respekt wśród Trumpenproletariatu, który podziwia i nie myśli o konsekwencjach.

Brytyjski analityk Andy Owen pisze, że właśnie upada nie tylko porządek geopolityczny, ale trwający ponad 2000 lat system myślowy: liberalny humanizm. Rodzi się system nowy, zaprzeczający wartościom greckim, takich jak xenia, „przyjaźń gościnna”. Nie ta oparta na pokrewieństwie (philia), ale na więziach między ludźmi różnych miejsc i kultur. Xenia to pierwsza wersja prawa międzynarodowego: kiedy się ją odrzuca, dochodzi do przemocy i konfliktu.

Idzie Owen za daleko – nie ma alternatywy dla liberalnego humanizmu. Ludzkość wielokrotnie od niego odchodziła, doświadczała tragedii i wracała do jedynej skutecznej strategii ewolucyjnej: wzajemnego szacunku i współpracy. Im większy był upadek, tym trwalszy był powrót. Ostatni, po Auschwitz, trwał 80 lat i właśnie się kończy. Ale nie jesteśmy bez szans – mamy za sobą świadomość przeszłości.

Europejska tradycja jasno mówi, czym trumpizm się skończy. Zgubi go hubris: pycha i zuchwałość wobec porządku moralnego. Spotka go nemezis – ci, którzy nie znają umiaru i czują się silniejsi niż bogowie, ponoszą nieuchronną karę. Wreszcie przyjdzie hamartia: upadek chwilowego bohatera, który uważał się za niezwyciężonego i stracił kontakt z rzeczywistością.

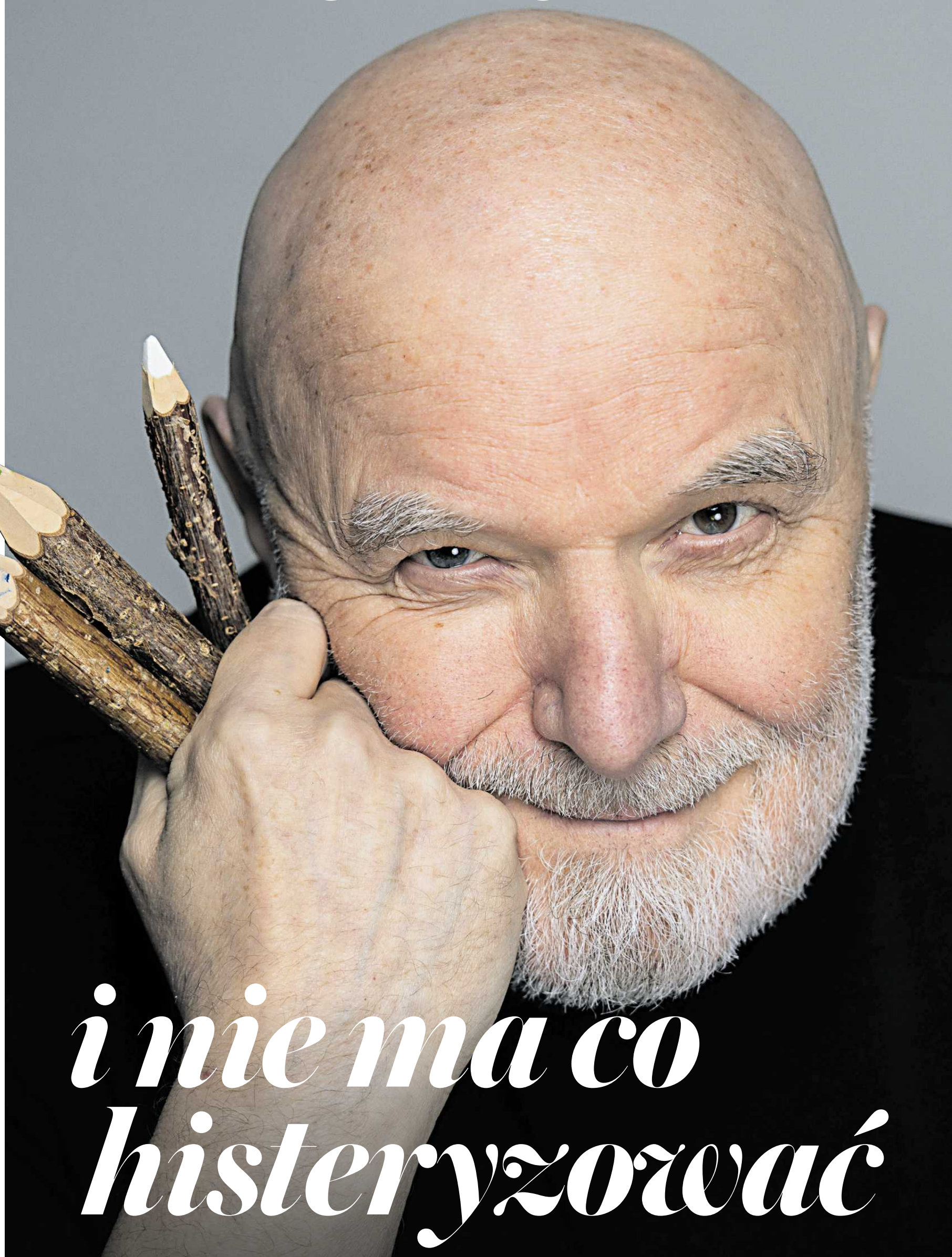
Ale zanim to się stanie, ryzykujemy lata w wielkim cierpieniu.

Dlatego, zamiast imitować Trumpa, czas opowiedzieć się twardo za wartościami europejskimi – za rozmową, solidarnością, wspólną pokorą wobec złożonego świata, która jest mądrzejsza niż zuchwałość.

Przyszedł czas na europejski patriotyzm. Wieczne Miasto kontra plastikowe Las Vegas. Le Cœur de Filet de Bœuf Rossini kontra cheeseburger. Ponad dwa milennia tradycji kontra dwa wieki historii. Facet, który walczy o wszystko, kontra dwóch cwaniaków chcących ubić interes. Europa kontra Stany Zjednoczone.

Ludzie wychowani blisko rosyjskiego barbarzyństwa są jak grafen – twardsi niż amerykański, pomarańczowy plastik. Teraz jest najlepszy czas, żeby to pokazać. ●

OBYCZAJE KULTURANAUKA

Jest, jak jest*i nie ma co
historyzować*

Ładnie rysujesz, Andrzejku, ale dlaczego twoje rysunki są takie smutne?

Z RYSOWNIKIEM **ANDRZEJEM MLECZKA**
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Powiedział pan, że jest coraz bardziej rozzczarowany.
– Tak powiedziałem?

Tak. Przy drzwiach wejściowych.
– Nie pamiętam, o co mi chodziło. Gorzej, gdyby jedno z nas powiedziało po tej rozmowie, że jest rozzczarowane.
Może chciałem coś powiedzieć o braku złudzeń? A propos, przypomina mi się, jak pewien chiński filozof, który jeszcze przed naszą erą przez całe życie studiował ludzką naturę, zapytany pod koniec życia, jak by podsumował swoje obserwacje, powiedział: „Doszedłem do jednego wniosku: większość ludzi jest bezmyślna i nic nie wie”. Dzisiaj pewnie powiedziałby to samo i ja bym z nim nie polemizował.

To smutne. I chyba zbyt łatwe.
– Powiem więcej, z badań wynika, i lekarze to potwierdzą, że jakieś 10-15 procent wszystkich ludzi jest niezrównoważonych psychicznie, czyli biorąc pod uwagę całą ludzkość, po świecie chodzi prawie miliard świrów, z których wielu ma do tego ambicje polityczne, więc jest, jak jest, i nie ma co histeryzować.

Czułam, że pan ma taki stosunek do świata.
– Jaki?

Krytyczny i niechętny.
– Opowiem anegdotkę, którą opowiadałem już 100 razy, ale jest dość zabawna i być może odpowiada na pani dylematy odnośnie do braku złudzeń i mojej niezwykle skomplikowanej osobowości. Anegdotka dotyczy Mariana Walentynowicza, który ilustrował słynne „Przygody Koziołka Matołka”.

Slucham.
– Otóż dawno, dawno temu, a konkretnie prawie 70 lat temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami żył sobie miły chłopczyk, który nazywał się Andrzej Mleczek, a mówili na niego Jędrus. Było to na Podkarpaciu. Do szkoły jeździł na drewnianych nartach i z bambusowymi kijkami. Ciągłe chodził po polach i lasach, które rozciągały się wokół, i rysował bez przerwy wszystko, co zobaczył. Jego mama, jak każda mama, która uważa, że ma dziecko wyjątkowo utalentowane, wymyśliła sobie, żeby wysłać jego rysunki do radia... Zna pani tę historię?

Nie.
– Do radia dlatego, że nie było wówczas telewizji. A w radiu Marian Walentynowicz miał taką audycję, gdzie dzieci przysyłały rysunki, a on je oceniał. No i ja wysłałem swoje, a właściwie mama mnie zmusiła. Bałem się, że Walentynowicz w ogóle nie skomentuje tych moich dziecięcych bohomazów, ale skomentował. Powiedział wiekopomne słowa: „Ładnie rysujesz, Andrzejku, ale dziecko twoje rysunki są takie smutne?”. Przyzna pani, że jak na faceta, który bawi swoimi rysunkami licznie zgromadzoną publiczność, to oryginalna recenzja.

Pan się nad tym zastanawiał?
– Nad czym?

Nad tym właśnie elementem smutku albo rozzczarowania w pana rysunkach?
– Ja bym to nazwał raczej refleksją, a refleksja nie zawsze bywa wesoła. Dobry rysunek może być bowiem bardzo smutny i bardzo śmieszny jednocześnie. Może być także równocześnie banalny i głęboki. Ja na przykład rzadko się uśmiecham, patrząc na swoje rysunki, ale bardzo się cieszę, kiedy słyszę gwałtowne wybuchy śmiechu i miłe komentarze w mojej krakowskiej galerii.

A pan w ogóle chce rozbawić innych?
– Oczywiście. Nie wiem, czy pani zna to powiedzenie, w tej chwili ono jest trochę, jak to się mówi, niepoprawne politycznie, ale kiedyś mówiło się: „Cygan dla żartu dał się powiesić”. Teraz ktoś by od

razu zapytał, dlaczego Cygan, a nie Rom. I w ogóle o co chodzi?

A o co chodzi?
– O to chodzi, że ja też jestem takim trochę cyganem, który może dla żartu nie dalby się powiesić, ale w każdym razie uważa, że żart jest najważniejszy. Nieważne, w co uderza, kogo krytykuje, czy dotyczy lewicy, czy prawicy. Ważne, żeby był zabawny, inteligentny i błyskotliwy. Istotny jest dla mnie ten dziwny moment, kiedy wpadam na pomysł i w ogóle nie myślę, jaka jest jego wymowa. Ważne jest dla mnie to, żeby pomysł był świeży, oryginalny i nieważne, czy zgadza się z czyimiś poglądami.

Intelekt jest dla pana ważny?
– Trudno oceniać własny intelekt, ale jak pani zauważyła, ze złośliwą przyjemnością oceniam poziom intelektu u bliźnich.

Bliźni również pana oceniają i pana twórczość. Z tym samym rozmachem.
– Takie ich zbójcekie prawo. Na razie nie mam powodów, żeby się tym martwić.

Naprawdę?
– Tak, na razie, gdy patrzę na w sumie 600 tysięcy followersów na moich mediach społecznościowych, to nie mam powodów do narzekania. Chociaż, jak wiadomo, panta rhei.

Rozumiem. Pan toczy jakąś walkę...
– Nie rozumiem.

Tak czuję.
– Walkę? Z kim? Z czym? Po co? Może, nie daj Boże, ze sobą?

Są dwie metody radzenia sobie. Pierwsza to metafizyka i różne religie. Druga jest trudniejsza

Ukrywa pan, z kim i o co. Próbuje pana zrozumieć.
– Po co? Zmartwię panią, żadnego drugiego dna pani nie znajdzie. Poza tym nieważne, co artysta ma w środku, co go motywuje. Ważne są jedynie efekty jego pracy i czy muzy go lubią.

Tak? Tak pan myśli o sobie?
– Tak żartuję na swój temat.

Mam wrażenie, że pan wcale nie żartował.
– Oczywiście bardzo lubię swój fach, inaczej wróciłbym do architektury albo został na przykład to-readorem. To, co robię, to dość rzadka umiejętność. Na palcach jednej ręki można policzyć twórców, którzy z sukcesem zajmują się rysunkiem satyrycznym. Jest to nietypowy przypadek profesji, która jest, można by powiedzieć, wybrykiem natury.

Chce pan chyba coś dodać?
– Miło mieć świadomość, że jest się szczególnym przypadkiem, a do tego jestem chorobliwie pracowitym koziorożcem, który rysować musi, inaczej się udusi.

Pierwszą osobą, która uwierzyła w pana talent, była pana mama. Uwierzył jej pan na słowo?
– Nie pamiętam. Pamiętam, że miałem wspaniałą rodzinę, szczególnie gdy teraz patrzę i słyszę o ciągłych rozwodach i problemach rodzinnych, to myślę, że miałem wyjątkowe szczęście. W mojej rodzinie nie było napięć i stresów, a dzieciństwo z perspektywy czasu miałem jak w bajce.

Jaki to był dom?
– Pierwszy dom był kilka kilometrów od małego miasteczka, potem przenieśliśmy się do leśniczówki na skraju puszczy. To był dom z epoki, w której ludzie nie objawiali przesadnie swoich emocji i uczuć, ale dawał miłe poczucie bezpieczeństwa i stabilno-

ści. Ojciec, kiedy już byłem trochę znany, udawał, że go to średnio interesuje. I nawet jak znajomi czy koledzy mówili mu: „Wiesz, że twój syn...?”, odpowiadał: „A tak, tak, coś tam sobie rysuje”. Ale kiedy robiłśmy porządki po jego śmierci, to znalazłem wielki album, do którego wklejał wycięte z gazet moje rysunki i wywiady, czyli jakby doceniał, ale nie okazywał.

I co pan o tym myśli?
– Każdy lubi, żeby go poklepać po ramieniu, powiedzieć: „Stary, super”, ale jednego dopinguje surowa i sprawiedliwa dyscyplina, drugiego komplementy i cukierki na zachętę. Chociaż z drugiej strony to mazgajstwo i ten nadmierny sentymentalizm, który podobno jest bardzo młodym ludziom potrzebny, zaczyna być przesadny. Myślę, że człowiek niekoniecznie za każdym razem musi się afiszować ze swoimi słabościami. Chyba że jest się poetą.

Bo jak pokaże, to co?
– Nic się nie stanie. Wolna wola.

Próbowałam zrozumieć, kim pan jest, patrząc na to co pan rysuje.
– I co pani wyszło z tych obserwacji?

Pomyślałam, że pan ucieka przed czymś, dystansuje się od świata. Ukrywa się.
– Dystans jest bardzo piękną cechą. Tak uważam.

A co w tym pięknego?
– Na przykład, jeżeli człowiek zaangażuje się w coś lub w kogoś za bardzo i jak nic z tego nie wyjdzie, może się wygłupić, więc lepiej...

Boi się pan śmieszności?
– Każdy się trochę jej obawia. Ale powiedzmy, że ktoś ma kogoś, kogo strasznie kocha, i nagle zostaje sam. Wtedy zostaje z tymi uczuciami jak Himilsbach z angielskim.

Wolę zostać z zaangażowaniem. I z tortem Himilsbacha, bo rozumiem, że pan do tej anegdoty nawiązuje.
– No i dobrze. Masochiści też mają prawo do życia. Jak mówi klasyk: „Róbta, co chceta”. W każdym razie mam nadzieję, że moje rysunki czasem wyrażają delikatny dystans do świata.

Ja bym powiedziała, że opór. Rozumiem, że jest pan w stanie powstrzymać swoje emocje, żeby one nad panem nie przejęły kontroli?
– Bardzo ładnie powiedziane. A dlaczego musimy mówić o emocjach, kiedy akurat to jest temat, który mnie najmniej interesuje?

Ale mnie interesuje.
– Zgodziłem się na rozmowę, więc proszę pytać.

Zastanowiła mnie ta pana maska w rysunkach, nie wiem, komu pan ją zakłada, czy tylko sobie, czy też światu...
– To bardzo głębokie, chociaż nie bardzo wiem, co ma pani na myśli. Ale na pewno nie ma co zakładać światu maski, bo on i tak tego nie zauważy. A propos maski, proszę pamiętać, że chciałbym ten wywiad autoryzować, bo obawiam się, że to nie będzie wywiad, tylko psychoanaliza dla ubogich.

Pamiętam.
– Chciałbym tylko pani wytłumaczyć, że nie ma żadnego znaczenia, czy taki Caravaggio, który był genialnym malarzem, był gejem i że zamordował swojego kochanka. Czy to ma znaczenie, jeśli chodzi o wielkość jego sztuki? Czy ma znaczenie to, że genialny Picasso był trochę sadystą i kiedyś zgasił papierosa na policzku swojej narzeczonej? Czy ma znaczenie to, że Mroźek był jedną, wielką, chodzącą depresją? Czy nie jest ważniejsze, że pisał refleksyjne i niezwykle zabawne sztuki i rysował prześmieszne rysunki?
Mógłbym mnożyć te sytuacje. Często staram się bezskutecznie tłumaczyć, że twórczość niekoniecznie jest odbiciem duszy i mentalności artysty. Kiedyś często bywałem za kulisami kabaretów i widziałem smętnych facetów, którzy, paląc papierosy, rozmawiali o jakiś depresyjnych sprawach, po czym wychodzili na scenę i wspaniale bawili publiczność.

Sprzeczności są ciekawe.
– Szukanie sprzeczności to mój zawód. Przygotowałem ciasteczka. Proszę się poczęstować. To może pani zapomni o moich problemach.

Cieszę się, że się sam pan do nich przyznał. Pan uważa, że jeśli przysłał pana rozpoznać i zrozumieć, to chce pana podglądać.

– Proszę robić, co pani uważa za stosowne. Mam nadzieję, że jest pani lepszym podglądaczem i obserwatorem niż ja. Bo ja wbrew temu, co wielu myśli, jestem marnym obserwatorem i do tego kompletnie rozkojarzonym.

Rozkojarzonym? Proszę rozwinąć.

– Dam przykład, kiedyś po jakimś tam badaniu w szpitalu nie zauważyłem, że chodzę po Krakowie w takich foliowych ochraniaczach na buty, wie pani... I dziwiłem się, co mi tak szeleści. Często przychodziłem ze szkoły w cudzym płaszczu, mama mówiła: „Synu, przecież widzisz, że nie jesteś w stanie się dopiąć. Jak ty mogłeś się tak pomylić?”, a ja po prostu myślałem o niebieskich migdałach.

To gdzie są pana myśli wówczas?

– Nie mam pojęcia, chyba gdzieś błędzą, szukając jakiegoś sensu i porządku, a może wręcz przeciwnie. Z pozbieraniem myśli też mam często problem, dlatego też przestałem jeździć samochodem. Być może jestem jedynym człowiekiem na świecie, któremu rodzina odebrała prawo jazdy, bo miałem kilka bardzo poważnych wypadków. Nie policja, ale własna rodzina! Ostatnio, kiedy próbowałem prowadzić samochód, bo była taka konieczność, pierwsze, co zrobiłem, to wjechałem pod prąd w ulicę jednokierunkową. Z czego wynika, że rodzina miała rację.

Sądziłam, że pan w swoich rysunkach żartuje. A teraz kiedy rozmawiamy, uważam, że pan nie żartuje.

– I tak, i nie. Na pewno zna pani twórczość Francisco Goi. Jego seria rysunków pokazująca makabryczne zbrodnie armii Napoleona w Hiszpanii to klasyka satyry. Mimo że była to satyra, to trudno się śmiać na widok ludzi ćwiartowanych czy nabijanych na gałęzie.

Albo taki Honoré Daumier – portretował społeczeństwo francuskie z przełomu XVIII i XIX wieku. Tworzył wspaniałą satyrę obyczajową, która wcale nie była zabawna. Z jednej strony rysował bogaczy i tę całą błękitnokrwistą hałastę nierobów z tępyimi mordami, a z drugiej strony przerażającą biedę nizin społecznych. Samo narysowanie prawdy bez dodatkowych komentarzy było na tyle drastyczne, że człowiek od razu miał ochotę zburzyć Bastylię i wszystkich tych degeneratów w perukach zgilotynować.

Jeśli o Bastylii mowa, Jacques-Louis David w czasie rewolucji francuskiej podobno siedział w oknie i rysował krwawe sceny, które działy się na ulicy. Sam się nie angażował, tylko dawał świadectwo. Pięknie to pokazał Andrzej Wajda w filmie „Danton”.

O! A to powiedział pan coś o sobie prawdziwego. Bunt i złość.

– Możliwe, że mam gdzieś zakodowany genetycznie sprzeciw i brak akceptacji wszystkiego, ale nie aż taki mocny, żeby pchać się na barykady. Aby odreagować, wystarczy, że narysuję śmieszny obrazek albo skomentuję rzeczywistość za pomocą słów ogólnie uznanych za obelżywe.

Wrodzona przekora?

– To może najlepsze określenie. Może jednak mówmy o mojej twórczości, żeby się nie okazało, że się pani niepotrzebnie fatygowała się na to mile skądinąd spotkanie?

Zarzykuję.

– A ja nie lubię ryzykować.

A ja lubię. A co pan lubi?

– Lubię święty spokój. Jak ktoś mnie pyta, co jest dla mnie idealną sytuacją – święty spokój. Żeby świat zastygł w bezruchu, żeby się nic nie działo i nie zmieniało. Zgadzałem się z kimś, kto kiedyś powiedział: „Postęp kiedyś był dobry, ale trwa już za



Być może jestem jedynym człowiekiem na świecie, któremu rodzina odebrała prawo jazdy

długo”. Chyba jestem trochę konserwatyistą, bo irytuje mnie, gdy zmienia się coś, do czego się przyzwyczaiłem.

Poda pan jakiś przykład?

– Jak ktoś ze znajomych przenosi się na łono Abrahama, nie mogę się z tym pogodzić, a szczególnie jak to jest jakiś mój kumpel. Albo to, przez 20 lat, idąc codziennie z mojego mieszkania na Grodzkiej przez Rynek do mojej galerii na ulicy św. Jana w Krakowie, zawsze spotykałem pana Janka, który sprzedawał kwiaty i zawsze miał wódkę i dobre słowo dla znajomych.

Umarł?

– Tak, teraz ten spacer to już nie jest to samo. Oczywiście przyzwyczajam się po jakimś czasie, ale wolałbym, żeby nie było takiej konieczności. A największą zmianą, która mnie irytuje, chociaż zdaje sobie sprawę, że nie ma przed nią ucieczki, jest sztuczna inteligencja. Żeby sprawdzić, czy jest się czego obawiać, powiedziałem jej tak: „Kochana, wymyśl mi jakiś fajny rysunek”. Trwało to trzy sekundy, dostałem 20 pomysłów. Jeden gorszy od drugiego! Nieśmieszne, bez tego błysku i świeżości, które uwielbiam. Po raz kolejny napisałem do niej: „Moja droga...”.

Założył pan, że to kobieta?

– Nie wiem, czy to kobieta, ale przypominam, że „sztuczna inteligencja” jest rodzaju żeńskiego.

Aha. I co jej pan powiedział, proszę dokończyć, bo weszłam panu w słowo.

– „Spróbuj być trochę bardziej błyskotliwa. Spróbuj wymyślić coś oryginalnego i niebanalnego, żeby to było bardziej zabawne, a zarazem mądre” – tak jej zasugerowałem.

W sekundę przyszło kolejnych 20 kiepskich pomysłów. I wtedy sobie pomyślałem, że może ona zastąpi wiele zawodów, ale póki co, odpukać, z poczuciem humoru i błyskotliwością ma jeszcze problemy. Jest bardziej analityczna niż kreatywna.

Wszedł pan w rywalizację ze sztuczną inteligencją?

– Ale w odróżnieniu od mistrzów szachowych, którzy z reguły z nią przegrywają, myślę, że póki co bym wygrał.

Nie jest panu przykro?

– Z powodu?

Że świat się zmienia.

– Moim zdaniem świat się jeszcze nie zorientował, że to jemu powinno być przykro.

Kiedyś było panu lepiej?

– Czasy mojej młodości też mi się nie bardzo podobały, ale przynajmniej mogłem trenować boks i karate i rwać dziewczyny jak świeże wiśnie. Jedno jest pewne, że w czasach, które teraz tak wszyscy krytykują, świat był o wiele bezpieczniejszy. A do tego odnoszę dziwne wrażenie, że demokracja w obecnej formie trochę już się przeżyła. Szczególnie kiedy patrzę, jak ludzie o różnych poglądach rzucają się sobie do gardeł. Kiedyś spotkania rodzinne nie polegały na tym, że wujek Kazek rzucał się na wujka Władka z zębami z powodów politycznych, tylko obaj pili wódkę i zgodnie narzekali na komunę.

Czy chciałby pan jeszcze ponarzekać na demokrację?

– Bardzo chętnie. Jej głównym minusem jest to, co wielu uważa za plus – że głos jakiegoś kretyna ma taką samą wartość jak głos wybitnego intelektualisty. Mówią, że to zaleta – gówno prawda. To wcale nie jest fajne. Każdy oczywiście wtedy zacytuje Churchilla, który powiedział... Co powiedział Churchill na temat demokracji?

Że nikt nie wymyślił lepszej opcji.

– No właśnie. Uważam, że za pomocą prostego zabiegu można demokrację poprawić. Ktoś, kto nomen omen zdaje na prawo jazdy, o czym wcześniej mówiliśmy, musi zdawać egzamin. A jeżeli idzie wrzucić kartkę, która ma zdecydować o losach całego kraju, nie musi zdać choćby krótkiego testu, który by go kwalifikował do udziału w głosowaniu. Wystarczyłoby kilka prostych pytań i połowa wyborców odpada.

Dość radykalny pogląd. A jakie to mogłyby być pytania?

– Kto jest prezydentem Polski, a kto premierem? Odpada 20 procent. Z jakimi krajami graniczymy? Odpada kolejne 20. Ile mamy województw? Odpadają kolejne. Przez jakie „u” piszemy na przykład „równość” albo jakieś inne pytanie z ortografii – i tu z hukiem odpadam ja!

Pan chyba nie lubi przeciętności.

– Tu nie ma nic do lubienia lub nie lubienia. W demokracji decyduje większość, a większość jest, jaka jest. Drażni mnie tylko to ciągle, żalosne podlizywanie się tak zwanemu elektoratowi. Właśnie wspomniany Churchill, który raz miał rację, a raz nie miał, powiedział w trudnej sytuacji kraju: „Obiecuję wam krew, pot i łzy”. Niech teraz któryś polityk w Europie lub na świecie powie coś takiego. Znika w se-

kundę! A jeśli chodzi o przeciętność, wystarczy popatrzeć na pozbawionych charakteru przywódców europejskich. Gdzie są politycy na miarę de Gaulle’a, Adenauera, Thatcher czy Piłsudskiego? Przywódca stada musi mieć cojones.

Co się z nimi stało pana zdaniem? Dlaczego nie ma już tak wielkich osobowości w przestrzeni publicznej?

– Może dlatego, że już nie ma autorytetów. Zresztą chyba nie tylko w polityce jest ten kłopot. Przypominam sobie, pani jeszcze na świecie nie było, lata 70. Wtedy byłem już w miarę dojrzałym człowiekiem i mam nadzieję, że już obiektywnie oceniałem sytuację. Wyroczniami w tym, co jest zabawne, słuszne i na poziomie, była niewielka grupa inteligentów, która już nie istnieje. Najbardziej opiniotwórczy spotykali się w Spatifie, w Czytelniku czy małych salach kabaretowych i oni ustalali standardy. Może trochę idealizuję, ale tak to pamiętam.

Kto to był?

– Holoubek, Konwicki, Tym, Passent, Piwowski, Kofta, Slonimski, Głowacki i wielu innych pisarzy, poetów i intelektualistów. Kofta i Adam Kreczmar pierwsi mnie zauważyli i zanieśli moje rysunki do Krzysztofa Toeplitza, też giganta intelektu. Wszyscy posługiwali się tym samym kodem kulturowym. Miałem szczęście, że wielu z nich dobrze poznałem i wiele im zawdzięczam.

Tęskni pan za tymi czasami, kiedy poznał tych ludzi?

– Oczywiście. Ale teraz już nie potrzebuję drogowszkazów. Drogowskazy są potrzebne młodym. Kiedyś słuchałem, co Janusz Głowacki uważa za śmieszne, teraz mam nadzieję, że sam to wiem.

Pokuszę się o taką interpretację, niech się pan trzyma. Nie sądzi pan, że w jakimś sensie jest pan przywiązany do zdania autorytetów tak mocno z powodu ojca? Ponieważ dowiedział się pan dopiero po jego śmierci, że kolekcjonował wycinki z gazet z pana rysunkami? Może ojciec niezbyt chętny do komplementów sprawił, że autorytety są dla pana takie ważne?

– Nie powiedziałem, że ojciec mnie nie doceniał, powiedziałem, że nie gadał o tym bez potrzeby.

Co panu pomaga dać sobie radę z tym, jak pan mówi, absurdem istnienia?

– Kto powiedział, że sobie daję radę? Ale na pewno pomaga ironia i poczucie humoru.

Coś jeszcze?

– Według moich obserwacji są dwie metody radzenia sobie. Pierwsza to wszelka metafizyka i różne religie, które próbują odpowiedzieć na pytanie, po jaką cholerę jesteśmy na tym świecie i dlaczego za jakiś czas w proch się obrócimy.

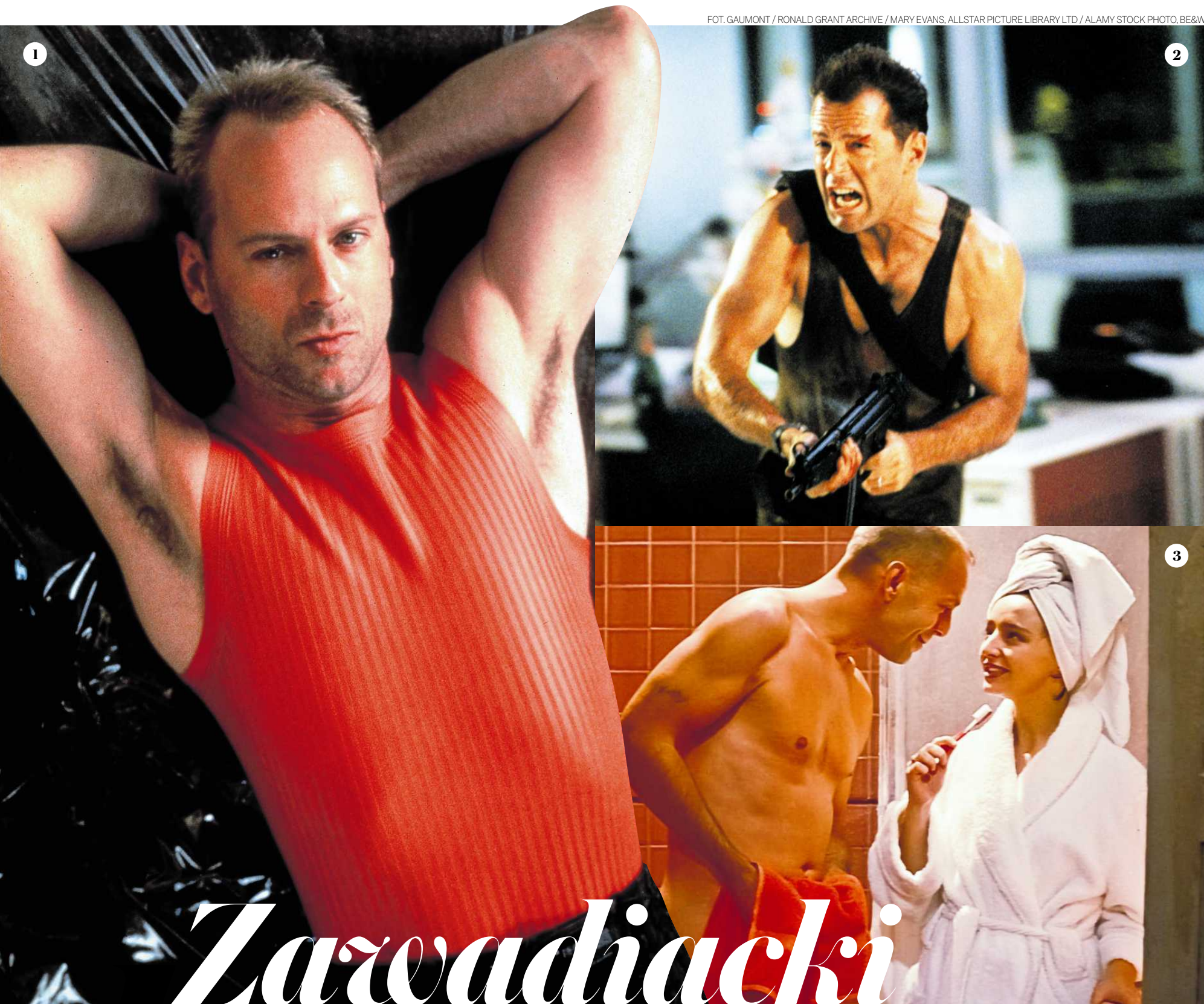
Druga metoda, trudniejsza – urodziłem się i mówi się trudno. Będę starał się przejść przez to życie z mniej lub bardziej udawanym uśmiechem, bo nie mam innego wyjścia. Przecież nie strzelę sobie w łeb. Chociaż niektórzy niestety wybierają tę opcję.

Właśnie niedawno rozmawiałem z zaprzyjaźnioną lekarką. I mówię: „Słuchaj, jaka jest najlepsza metoda, żeby odejść z tego świata?”. Byłem przekonany, że ona powie: „Nawet o tym nie myśl. Obowiązuję mnie przysięga Hipokratesa” i inne takie bla, bla, bla. A ona mówi: „Wiesz, często zwracają się do mnie z tym tematem i nie widzę w tym nic dziwnego”.

Myślał pan kiedyś o tym?

– Nigdy w życiu! Cały czas jestem ciekaw, co będzie jutro. Zresztą mam całą szufladę zanotowanych, fajnych pomysłów, które codziennie blagają mnie, abym je wreszcie narysował. ●

FOT. GAUMONT / RONALD GRANT ARCHIVE / MARY EVANS, ALLSTAR PICTURE LIBRARY LTD / ALAMY STOCK PHOTO, BE&W



Zawadiacki neros złożył broń

1 • W „Piątym elemencie”, jako taksówkarz Korben Dallas. Willis tradycyjnie obleczony w podkoszulek, tym razem w kolorze pomarańczowym

2 • „A teraz mam karabin maszynowy ho-ho-ho” - mówi jako policjant John McC-lane w „Szklanej pułapce”. Doskonały tekst. Willis wykreował kultową postać. Zagrał ją w sumie pięć razy

3 • Butch (Bruce Willis) i Fabienne (Maria de Medeiros). W „Pulp Fiction” jako bokser-przekręciarz zgrabnie tłumaczący ukochanej, kim jest Zed

W ój ulubiony Bruce Willis? Okularnik przeciętniak, który pozwala Meryl Streep w „Ze śmiercią jej do twarzy” (1992) runąć ze schodów, a potem na przemian mazgai się i cieszy. I kiedy taka znowu martwa Streep podchodzi do niego z przetrąconym karkiem, wydaje z siebie kobiecy wrzask. Ulubiony Willis ojców? Oczywiście ten w podkoszulku i na bosaka w „Szklanej pułapce” (1988). To typ, który sypie tak czerstwymi żartami, że na miejscu terrorystów okupujących wieżowiec Nakatomi Plaza też wo-

Na pytanie co przychodzi mu do głowy, kiedy przejeżdża obok filmowego wieżowca Nakatomi Plaza, odparł: – Kupa forsy!
Bruce Willis symbol nonszalanckiej męskości lat 90. obchodzi 70 urodziny.

Marta Górna

lałabym umrzeć. Ewentualnie Korben Dallas z „Piątego elementu” (1997): były komandos w świecie przyszłości, a teraz taksówkarz, który musi uratować galaktykę. Są jeszcze: wymięty szemrany bokser Butch w „Pulp Fiction” (1994), wycofany Cole z „12 małp” (1995), zagubiony psycholog z „Szóstego zmysłu” (1999) i wygadany David Addison, bawidamek o złotym sercu z serialu „Na wariackich papierach” (1985). Co łączy tych bohaterów oprócz tego, że mają zakola i uśmiech Willisa? Z każdym widz chciałby napić się piwa. Ekranowy Willis to równy gość, zwykły chłop, który świat ratuje niechętnie, ale skutecznie. Pomoże wciągnąć na 6. piętro kanapę, zawsze zrobi to, co trzeba, i nie będzie miał nic przeciwko, jeśli w jego aucie pasażerowi zrobi się niedobrze.

Takich ról Willis na koncie ma kilkadziesiąt. Całe jego aktorskie portfolio to niemal 150 występów. Jego filmy zarobiły na całym świecie ponad 3 mld dol. Ostatnie z nich budzą jednak smutek. Okazało się, że symbol nonszalanckiej męskości lat 90. nie jest niezniszczalny.

Legenda na emeryturze

W 2022 r. stwierdzono, że ma afazję. To wyjaśniło, skąd wzięły się te kręcone pospiesznie gnioty z ostatnich lat. Willis był w nich zagubiony. Zapominał swoich kwestii, powtarzał je za suflerem ze słuchawki. Na ekranie był chwilę, choć materiały promocyjne sugerowały bardziej istotną rolę.

W 2021 r. Willis za wejście na plan dostał 2 mln dol. Wystąpił wtedy w aż ośmiu nieoglądalnych bzdetach. Kapituła przyzna-

jąca Złote Maliny, anty-Oscary dla najgorszych produkcji, stworzyła kategorię: najgorszy film roku z Bruce'em Willisem. Kiedy okazało się, jaki jest stan zdrowia gwiazdora, uznano, że to jednak nie przystoi.

Na premierę czekało kolejnych 11 tytułów z Willisem. Ostatni był koszmarek „Detektyw Knight: Dzień niepodległości” (2023) o twardym niczym eternit gliniarzu, który właśnie się rozwiódł, usiłuje naprawić relacje z córką, ale na drodze staje mu młody ratownik medyczny, niespełniony policjant o ambicjach samotnego mściciela.

Trudno przez te 90 minut ogląda się Willisa: sprawia wrażenie nieobecnego, kwestie wypowiada mechanicznie, jakby rzeczywistość po kimś je powtarzał.

Fani byli wstrząśnięci: niegdyś najlepiej zarabiający aktor świata, ulubieniec publiczności i heros, z którym mogli się utożsamiać, złożył broń.

„Nie u kogoś tak młodego jak Bruce”

Dziś Willis występuje tylko w mediach społecznościowych jako bohater relacji i postów członków swojej rodziny.

W styczniu obecna żona Emma Heming Willis opublikowała nagranie, jak mąż ścisną dłoń ratowników walczących z pożarami w Los Angeles, pokazała też jak droczy się z wnuczką. Co tydzień odwiedza go była żona Demi Moore, matka jego trzech córek.

W ubiegłym roku Emma Heming Willis opowiedziała w wywiadzie, jakie były pierwsze objawy afazji. – Zmienił się sposób jego mówienia, język. Ale w dzieciństwie się jąkał, myślałam, że ma to jakiś związek. Nigdy nie pomyślałabym, że to oznaka demencji, nie u kogoś tak młodego jak Bruce.

Demi Moore i córka Tallulah o chorobie Willisa opowiedziały niedawno w programie „Today”. – Jest stabilny, co w tej sytuacji jest i dobrą i złą informacją – mówiła Tallulah. – Są dni bolesne, ale jest też wiele miłości. Ta sytuacja pokazała mi, że nie należy

nic traktować jako danego na zawsze. Trzeba żyć tu i teraz, po prostu być obecnym.

Zawadiacki dżentelmen

Tu i teraz wywołuje smutek. Lepiej skupić się na „kiedys”.

Willis miał to coś, co sprawiało, że nawet przy przeciętnym wroście był najwyższy w pokoju. Na Demi Moore zrobił wrażenie już na pierwszym przypadkowym spotkaniu. „Gość się do ciebie klei jak tani garnitur w deszczu” – powiedział jej ówczesny chłopak Emilio Estevez, w latach 80. jeden z młodych hollywoodzkich wilków.

Moore najpierw uznała, że pewny siebie Willis jest palantem. Ale najwyraźniej dostał od niej drugą szansę na zrobienie pierwszego wrażenia. Spotkali się w klubie El Coyote na afterparty i „nagle zrobił się o wiele bardziej przystępny”. „Zanim został gwiazdorem telewizji, pracował jako barman w Nowym Jorku i teraz też popisywał się za barem: podrzucał shaker i wyczytniał z nim cuda, które robiły wrażenie w 1987 roku, choć dziś wyglądałyby żenująco” – pisze Moore w swojej autobiografii.

Dodaje, że Willis cały czas się w nią wgał. Zdziwiła się, kiedy wyszło na jaw, że w tym czasie był na randce z inną. Podbił Demi swoim urokiem, tym, że odsunął dla niej krzesło, że trzęsły mu się dłonie, kiedy zapisywał jej numer telefonu, starał się zachowywać jak zawadiacki dżentelmen.

Zawadiacki dżentelmen to zresztą popisowe wcielenie Willisa.

Kiedy zalecał się do Moore, miał już status gwiazdy telewizji, dwie nominacje do Emmy i Złoty Glob. Popularność i uznanie przyniosła mu rola we wspomnianym już serialu „Na wariackich papierach”. Tam szlifował rolę, którą miał w przyszłości grać wielokrotnie: sympatycznego lobuza, który z największych tarapatów wychodzi bez szczególnego wysiłku.

Jako detektyw z podupadającej agencji, wyluzowany Filadelfijczyk, który zawsze ma asa w rękawie, rozkochał w sobie Amerykanów. Twórca serialu Glenn Gordon Caron wyluskał Willisa z tłumu 2 tys. kandydatów. Po prostu spojrzal na niego i wiedział, że „to jest ten gość”. Ale musiał o niego walczyć. Szefowie stacji ABC uznali, że nikt nie uwierzy w seksualne napięcie między łysiejącym już wtedy Willisem a jego ekranową partnerką Cybill Shepherd.

Ten duet przeszedł do historii telewizji i do dziś wyliczany jest w zestawieniach najlepszych par małego ekranu.

„Yippee-Ki-Yay, Motherf...!”

Dla Willisa mały ekran był jednak o wiele za mały.

Za pierwszą „Szklaną pułapkę” (1988) zgarnął rekordową gażę: 5 mln dol. Z dzisiejszej perspektywy, kiedy największe gwiazdy Hollywood nie wchodzą na plan filmowy za mniej niż 20 mln, ta kwota wydaje się mała. Ale w 1987 r. była precedensowa. „Chicago Tribune” porównywało umowę między Willisem a studiem 20th Century Fox do trzęsienia ziemi.

Szok był zrozumiały. Willis, owszem, miał na koncie popularną i nagradzaną rolę w serialu, ale nie wystąpił w żadnym kinowym hicie. Producceni wpadli w panikę: skoro Willis zgarnął tyle forsy, to ile trzeba będzie zapłacić Michaelowi Douglasowi za drugą część „Miłość, szmaragd i krokodyl”? Ile zaśpiewa za następny film Tom Cruise?

A co, jeśli widzowie nie pójdą do kin na Willisa? Czy 5 mln dol. wyląduje w błocie? Obawy były nieuzasadnione. „Szklana pułapka”, film sensacyjny o Johnie McClanie, niepokornym gliniarzu w Boże Narodzenie dającym wycisk terrorystom, którzy przejęli drapacz chmur, był hitem. Kosztował 30 mln, zarobił ponad 140 mln, a z Willisa zrobił gwiazdę pierwszej wielkości.

Przez kolejne dekady powstały cztery sequele, szósta część serii nie została zrealizowana tylko dlatego, że Willis podupadł na zdrowiu. W 2007 r. na pytanie, co przychodzi mu do głowy, kiedy przejeżdża obok wieżowca Fox Plaza, filmowego Nakatomi, Willis odparł: – Kupa forsy!

„Szklana pułapka” stała się jednym z filmów kultowych, gęsto powtarzane są odzwymki McClane’a, np. słynne „Yippee-Ki-Yay, Motherf...!”. Niedawno Netflix wypuścił nawiązującą do filmu „Kontrolę bezpieczeństwa” o lotniskowym ochroniarzu, który musi powstrzymać atak terrorystyczny. Scenariusz „...pułapki” cytują też bohaterowie politycznego thrillera „Paradise”.

Dla Willisa 1987 r. był przełomem w karierze. – Okazuje się, że kiedy myślisz, o tej postaci, nie jesteś w stanie wyobrazić sobie nikogo oprócz mnie – mówił. – Kiedy go zagrałem, byłem w Los Angeles zaledwie od kilku lat, występowałem w telewizji, wciąż uczyłem się, jak grać. Mój John McClane był po prostu Bruce'em Willisem z południowego Jersey, z cwaniackim nastawieniem do świata, z brakiem szacunku dla autorytetów.

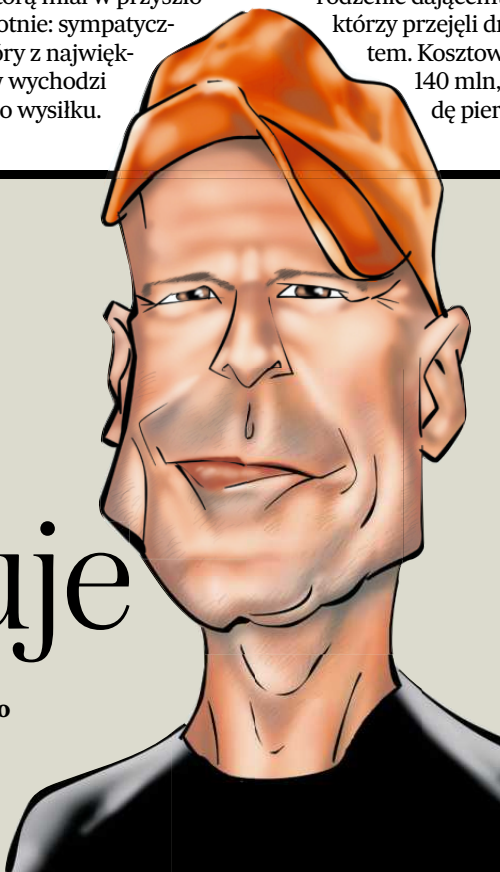
„Trudno było dostrzec skrzywdzonego dzieciaka pod zawadiacką maską”

Urodził się 19 marca 1955 r. w Niemczech Zachodnich: matka była Niemką, ojciec amerykańskim żołnierzem. Kiedy Bruce miał dwa lata, ojciec po zakończeniu służby wojskowej zabrał rodzinę do New Jersey. Tam pracował jako mechanik. W jednym z wywiadów Willis nazwał swoją rodzinę „długim szeregiem robotników”.

Moore: „Był najstarszy z czwórki dzieci [ma siostrę i dwóch braci] ciężko pracującej matki, imigrantki, niedocenianej przez męża. Rozwiedli się, a wiele lat później jego ojciec złągował, jak to bywa z mężczyznami, kiedy się starzeją. Znacnie ten model: dupek

Porucznik Ameryka już nie ratuje

Ileokroć znów widzę tamtego spoconego, umorusanego Bruce’a Willisa, który 19 marca skończy 70 lat, myślę sobie, że z największych hitów współczesnego kina zniknęli prawdziwi ludzie.



FOT.DAVI SALES / ALAMY STOCK PHOTO

Rafał Stec

Naprawdę nazywa się McClane, John McClane. Figura dla hollywoodzkich fabuł archetypiczna – gliniarz z rozbabranym życiem prywatnym kompulsywnie ładuje się w kłopoty, w pojedynkę powstrzymuje hordy typów spod ciemnej gwiazdy.

Poznajemy go, gdy w Boże Narodzenie przylatuje z Nowego Jorku do Los Angeles, by spędzić święta z robiącą tam karierę w japońskiej korporacji żoną. Mieszkają po obu stronach Ameryki, nie układa im się, separacja chyba zmierza do rozwodu. W drapiącym chmury Nakatomi Plaza – gdzie na 30. piętrze odbywa się firmowe przyjęcie – Holly i kil-

kadziesiąt innych osób zostają zakładnikami terrorystów. Potem akcja już tylko przyspiesza, napięcie wzrasta.

„Szklana pułapka” jest doskonale zainscenizowana, skonstruowana, umiejętnie dozuje poczucie zagrożenia. Z akcją wciśniętą w zamkniętą przestrzeń wieżowca, z której twórcy nie wypuszczają nas do ostatnich scen. Z bohaterem, który przez cały seans łązi na bosaka, raniąc sobie stopy – szkło jest wszędzie, bo strzelają karabiny maszynowe, przez okna wypadają bandyci (rzadkość: polski tytuł brzmi adekwatniej niż oryginał „Die Hard”). A kiedy McClane zdejmuje buty ukatrupionemu terrorysty, to okazują się nieprzydatne, bo miał stópki – cytując

bohatera – jak u małej dziewczynki.

Na nasze szczęście rolę odrzucili m.in. Arnold Schwarzenegger i Sylvester Stallone, ówczesne ikony kina akcji. W sylwetce Bruce’a Willisa, który ją przyjął i dzięki której rozbłysnął na megagwiazdę, również rozpoznajemy bywalca siłowni, ale on nie epatuje wypolerowaną na połysk, nasteroidowaną muskulaturą triumfatora Mr Universe. W dialogach i monologach okazuje słabość, boi się latać samolotem, zamiast zgrywać supermana, wygląda raczej na everymana. Faceta, któremu może się nie udać.

Bruce wszechmogący

„Nie pociąga mnie robienie ciągłych samych rzeczy” – powtarzał

Bruce Willis i choć żył się z kinem sensacyjnym, to przy wybieraniu ról mimo wszystko podążał za deklarowanym credo.

Misje jeszcze bardziej heroiczne niż w pierwszej części „Szklanej pułapki” wypełniał, gdy musiał ocalić całą ludzkość („Armageddon”, „Piąty element”, „12 małp”). Kultową postać pięściarza, który nie potrafi z premedytacją przegrać w ringu, stworzył w „Pulp Fiction”, najbardziej przełomowym – rewolucjonizującym filmową narrację – arcydziele ostatniej dekady XX wieku. Wcielał się w wyciszone postaci („Szósty zmysł”, „Kochankowie z Księżyca”), wielokrotnie popisując się talentem komediowym.

Wystąpił w ponad 100 filmach – ale jego ekranowym alter ego pozostanie John McClane, z którym zrastał się przez ćwierć wieku w serialu rozciągniętym na pięć rozdziałów. Drugi wciąż trzyma wysoki poziom, kolejne są słabsze i coraz śmielej brną w totalne nieprawdopodobieństwo zdarzeń, tracąc autentyczność oryginału. Wszystkie łączy to, że obywają się bez nadprzyrodzonych mocy, biomaszyn, obcych cywilizacji. Trzymają się ziemi – rekwizytów i postaci, które widzimy za oknem – a mimo to osiągały zawrotne finansowe sukcesy.

Dzisiaj w kasowych hitach nad hitami już się to nie zdarza. Choć nawet najstarsza, inauguracyjna „Szklana pułapka” nie wygląda dzisiaj archaicznie, to ilekroć do niej wracam, czuję się jak w podróży do antycznej epoki, kiedy ludzie jeszcze chcieli – na masową skalę – oglądać innych ludzi.

Kino zbudowane z vibranium

W miniesej, który traktuje o filmie sensacyjnym, wypada chyba zaproponować gwałtowny zwrot akcji – niech będzie międzygatunkowy, prowadzący do innego wymiaru. Przeanalizujemy aktualne zestawienie najbardziej dochodowych filmów w historii.

Lideruje mu „Avatar”, który – podobnie jak plasujący się na trzecim miejscu sequel – w całości rozgrywa się na nieistniejącej planecie Pandora, wśród błękitnoskórych przedstawicieli nieistniejącej rasy Nav’i, z zasadniczym udziałem nieistniejącego minerału, nadprzewodnika unobtainium.

Pozycję wicelidera zajmuje „Avengers: Koniec gry”, ostatni jak dotąd odcinek przegrywania świata drużyny nadludzi – wybryków natury, jednostek genetycznie zmodyfikowanych, hybryd homo sapiens z kosmitami etc. Też rozgrywa się częściowo na innej planecie, gdzie ukrywa się Thanos – intergalaktyczny wojownik, który realizuje brawurową ekologiczną ideę, unicestwiając połowę mieszkańców wszechświata (bo dla wszystkich nie wystarczy zasobów, ofiary dobiera losowo) dzięki zdobyciu arcy magicznych Kamieni Nieśmiertelności.

Powstrzymać próbują go komiksowi superbohaterowie, którzy występują także w innych filmach należących do uniwersum Marvela; Kapitan Ameryka, superżołnierz, którego niemal nieśmiertelnym czyni nieistniejące serum oraz tarcza z najbardziej wytrzymałego metalu na Ziemi,



FOT. PHIL FARONE/VIMBIS/GETTY IMAGES

• **Bruce Willis i Demi Moore byli małżeństwem 13 lat (1987-2000). Rozwód nie zmienił ich dobrych relacji. Na zdj. z córkami (od lewej) Rumer, Tallulah i Scout LaRue i matką Bruce’a Marlene. After party po jego występie w Comedy Central w Los Angeles (14.07.2018)**



FOT. JOE SEER/SHUTTERSTOCK

• **W 2009 r. Willis ożenił się z 24 lata młodszą modelką Emmą Heming. Mają dwie córki Maybel Ray (2012) i Evelyn Penn (2014). Na zdj. oboje na premierze filmu Willis’a „Surogaci” w Los Angeles (24.09.2009).**

za młodu, uroczy facet w dojrzałym wieku. Wtedy w porównaniu z nim kobieta wygląda na zgorzkniałą i nieprzyjemną, ale to on doprowadził ją do takiego stanu”.

Willis od dziecka się jąkał, przestał w liceum, kiedy odkrył kółko teatralne. Już wtedy był pewny, że chce zostać aktorem. Na uniwersytecie Montclair studiował wiedzę o teatrze. Szkołę rzucił i w 1977 r. przeprowadził się do Nowego Jorku.

Cisnął się w mieszkanku w Hell’s Kitchen, był barmanem i zaczynał w reklamach, np. grał na harmonijce w reklamie Levi’sa. Występował w off-broadwayowskich sztukach. W końcu agent wysłał go do na przesłuchanie do roli Davida w „Na wariackich papierach”. Resztę już znamy.

Willis ma emploi aktora do rany przyłóż, ale mieszkańców rodzinnego miasteczka Carneys Point zawiódł. Najpierw za milion dolarów kupił ziemię, żeby przy rzece Delaware stworzyć kompleks: port, kino, hotel i galerię handlową. Dwa lata później ziemię sprzedał. W 1997 r. „New York Times” napisał, że mieszkańcy stracili w niego wiarę.

Być może wcale nie był tam szczęśliwy? W autobiografii Moore tak pisała o dzieciństwie byłego męża: „Komuś, kto nie zna Bruce’a bliżej, trudno byłoby dopatrzeć się skrzywdzonego dziecka pod tą jego zawaśnią maską. Ale wiercie mi, ono tam jest. Od razu to zrozumiałam”.

Gwiazdor, ale nie aktor

Po sukcesie pierwszej „Szklanej pułapki” przyszedł jeszcze większy sukces. „Szklana pułapka 2” (1990) zarobiła na świecie 240 mln dol., a z Willis’a uczyniła naczelnego gwiazdora kina akcji.

Hollywoodzkie tuzy chciały, żeby grał McClane’a w różnych odsłonach, on chciał po prostu grać. Czasami się udawało: rewelacyjny był w „Ze śmiercią jej do twarzy”, fajnie, choć krótko, parodiował sam siebie w „Strzelając śmiechem”.

Ale po kilku klapach artystycznych i finansowych – m.in. „Hudson Hawk” (1991) i „Barwach nocy” (1994) – Hollywood zaczęło w Willis’a wątpić. Uratował go Quentin Tarantino, obsadzając w roli Butcha w triumfującym w Cannes, nagrodzonym Oscarem „Pulp Fiction” (1994).

Spotkali się w domu Harveya Keitel’a. Willis wyznał Tarantino, że jest fanem „Wściekłych psów”, ale nie zdradził, że czytał już scenariusz „Pulp Fiction”, który posłał mu jego agent. – Powiedział: przejdź się ze mną, przedstawię cię Demi. Dodał, że chciałby zagrać Vincenta, ale na oku miałem już Travoltę. Zapytał, czy może zagrać Julesa, ale Jules jest czarny. Zaproponowałem mu więc Butcha, którego wtedy nie miałem obsadzonego – opowiadał Tarantino. Dorzucił, że Willis próbował go przekonać, żeby z czarnego Julesa zrobić „białego hipstera”. Na szczęście do tego nie doszło.

Od „Pulp Fiction” zaczął się renesans kariery Willis’a. Lata 90. były dla niego najbardziej owocnym czasem. Grał w monumentalnych wyciskaczach łez jak „Armageddon” (1998), był świetny w „12 małpach” i nominowanym do sześciu Oscarów „Szóstym zmyśle” (1999). W „Piątym elemencie” był tą wersją siebie, którą pokochali widzowie: zawiadł, z żartem na każdą okazję i futurystyczną giwerą za pazuchą.

Potem skupił się na tym, co wychodziło mu najlepiej: przyciąganiu widzów do kin. Kolejne „Szklane pułapki”, nieco dęte filmy wojenne, w których emanował amerykańskim patriotyzmem, kino sensacyjne i komedie, w których wciąż bywał świetny.

W tym portfolio bardzo podobnych ról były wyjątki, np. doskonale czarno-białe, stylizowane na komiks „Sin City” (2005) czy „Kochankowie z Księżyca” (2012) Wesa Andersona, Ale większość filmów z ostatnich dwóch dekad zasługuje na zapomnienie lub pojedynczy seans.

Hollywood wycisnęło go jak cytrynę. ●

również nieistniejącego vibranium.

Z tego samego materiału korzystają Czarna Pantera, czyli przywódca nieistniejącego afrykańskiego królestwa Wakanda, oraz Vision, czyli zaprojektowany przez sztuczną inteligencję android.

Pólboski Thor włada piorunami. Ukąszony przed pająka Spider-Man fruwa nad miastami, przyklejając się do ścian. Nafaszerowany promieniowaniem gamma Hulk mimowolnie przepoczwarza się w dyszące agresją monstrum.

Precz z prawami fizyki

Wymieniać można długo, dziwólągów przybywa z każdym odcinkiem franczyzy – przepraszam za wulgarny biznesowy slang ze słownika amerykańskiego przemysłu filmowego – w której pojawiają się gadające szopy, krwiożerczy flerken schowany w ciele domowego kotka, krasnolud, humanoidalne drzewo. W czołowej czterdziestce tytułów, które zarobiły najwięcej w dziejach kina, aż 12 wyprodukował Marvel.

Obok nich mamy kosmiczne opery tworzące kontynuację cyklu „Gwiezdne wojny”, gadające lalki Barbie i Ken, czarodzieje i elfy wyjęte z wyobraźni Tolkiena, stado sklonowanych dinozaurów, Batman czy potrafiące się przekształcać, toczące ze sobą wojny roboty.

Jeśli odsuniemy na bok kierowane do dzieci animacje – osobna kategoria, choć też bajkowa – okaże się, że do grona 40 najbardziej dochodowych filmów wśliznęły

się zaledwie cztery rozgrywające się w normalnej rzeczywistości, ze zwykłymi ludźmi jako bohaterami. Porażające, do jakiego stopnia masy odwróciły się od realizmu. Dla zainteresowanych: anomalia to „Titanic”, „Szybcy i wściekli 7”, „Top Gun: Maverick” i „Joker”.

Zlustrowałem akurat 40 najpopularniejszych tytułów, ponieważ wszystkie poza opowieścią o katastrofie transatlantyku, powstały w bieżącym stuleciu (klasyfikacja nie uwzględnia inflacji) i odzwierciedlają upodobania współczesnej widowni.

Rozejrzyjmy się jeszcze raz po pożądanym przez publiczność krajobrazie: fantastyczne światy, fantastyczne stwory, siły przeczące prawom fizyki, odczłowieczeni ludzie oraz uczłowieczone zwierzęta i technowynalazki, których samowolny kolonizator przyszłości Elon Musk nie zdołałby sobie wyobrazić nawet w upojnym narkotycznym tripie z idolem Donaldem Trumpem. Wszecchogarniająca nierzeczywistość.

Era masowego zdziecinienia

Przebywamy w erze bezprecedensowej bynajmniej nie dlatego, że z ekranów wylewają się prymitywizm, intelektualna tandeta, kreskówkowa parada atrakcji.

Banku nigdy nie rozbijały głównie dzieła ambitne i wyrafinowane – choć, owszem, zdarzało się – ale nowością jest to, że produkcje bijące kasowe rekordy aż tak odlewały się od życia, fantasmagoryjny potwór pożarł całe mainstreamowe kino, któ-

re włada jaźnią milionów. I niekoniecznie wypada z głów pięć minut po seansie. Osobliwością był na przykład syndrom depresji poavatarowej (Post-Avatar Depression Syndrome), czyli psychiczny kac widzów „Avatara”, którzy po skonsumowaniu szlagieru Jamesa Camerona nie mogli znieść świadomości, że nie mieszkają na planecie Pandora.

Porucznik John McClane biegł po Nakatomi Plaza i czołgał się po przewodach wentylacyjnych w prostym białym podkoszulku na ramiączkach, spocony i umorusany, coraz bardziej pokiereszowany – Kapitan Ameryka dźwiga wystylizowany, ultraopancerzony kostium nie do zdraśnięcia.

Więzień „Szklanej pułapki” może zginąć tylko raz, marvelowscy odmieńcy zmartwychwstałą nawet jako śmiertelne ofiary skutecznie przeprowadzonej przez Thanosa zagłady. W ich żyłach płynie nie krew, lecz substancja podobna do tej, która napędza

■
Wśród 40 najbardziej dochodowych filmów są tylko cztery rozgrywające się w normalnej rzeczywistości, ze zwykłymi ludźmi jako bohaterami

Kapitankę Marvel – powstała po jej kontakcie z kosmiczną energią, zassana przez transfuzję, po nieudanym eksperymencie z silnikiem pozwalającym przekraczać prędkość światła.

Dla jasności, na wypadek oskarżeń o publikowanie utyskiwań dziadarsa lamentującego, że kiedyś było lepiej: wiele z tych blockbustów to porządne filmy, rozrywkowa inteligentna i dowcipna, czasami nawet skłaniająca do refleksji. Zresztą hollywoodzka fabryka snów zawsze pomagała uciec od tu i teraz, wciągała w przestrzeń bardziej kolorową niż krajobraz poza salą kinową.

Dzisiaj zalewa nas jednak eskapizm do szczęścia, prawie każdy kadr wysokobudżetowej produkcji zaprasza do oślepiającego sklepu z fajerkami i zabawkami, które się ruszają. Wszystkiego nie wyjaśnimy rozwojem technologii oferującym bezkresne możliwości. Nastąpiła era masowego zdziecinienia.

Dzieło szekspirowskie

„Szklana pułapka” się nie starzeje – albo starzeje się powolutku – właśnie dlatego, że rozgrywa się w normalnym świecie.

Jeśli napakujesz ekran futurystycznymi gadżetami, to po pewnym czasie z efektownych nieuchronnie marnieją do pociesznych rupiec (wyjątek stanowi „2001: Odyseja kosmiczna”, Ku- brickowi oddać, co cesarskie), a kiedy ludzie po prostu spotykają się z innymi ludźmi, ich interakcja zyskuje uniwersalną ponadczasowość.

Jak u Szekspira – znów proszę czytelników o wybaczenie, owszem, nie wypada mieszać kultury niskiej z wysoką, przewyższającą nawet Nakatomi Plaza.

Dlatego w trakcie oglądania najdawniejszych tarapatów, w jakie wpada McClane, o roku produkcji filmu przypominamy sobie tylko raz – gdy zaciąga się papierosem na lotnisku w Los Angeles, czekając na odbiór bagażu, a potem odpala kolejnego w limuzynie wiozącej go do zaatakowanego wieżowca. Sceny z czasów barbarzyństwa, gdy dymić można było wszędzie.

Człowiekiem z krwi i kości był McClane, z antysuperbohaterskimi słabościami zmagając się i zmagając Bruce Willis. Na początku swojej aktorskiej kariery, a także u jej schyłku, wymuszonym przez ciężką chorobę, kiedy zupełnie zniknął z publicznego życia.

Stuningowany Bruce

Jeśli kiedyś powstanie jego filmowa biografia, zapewne przyciągnie widownię o przyzwoitej liczebności. I nie większej niż przyzwoita. W pogoni za gigantyczną trzeba by stuningować rzeczywistość – przetransportować Bruce’a Willis’a do awatara, którego oglądaliśmy w bajce Jamesa Camerona, albo poprosić doktora Strange’a, byłego neurochirurga awansowanego na czarnoksiężnika, by pokazał nam go całego i zdrowego na alternatywnej linii czasu.

Zwykłych śmiertelników mamy wokół siebie dosyć, nie będziemy dla nich chodzić do kina. ●

Porozmawiajmy o umieraniu

**Mam poczucie winy: „Jak to się stało, że śmierć męża dodała mi tyle odwagi?
Co jest ze mną nie tak?”**



Z **AURÉLIE BOAS**, PSYCHOŁOŻKĄ, ŻONĄ SIMONA BOASA AUTORA „PORADNIKA UMIERANIA DLA POCZĄTKUJĄCYCH” ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Twój mąż Simon Boas we wrześniu 2023 roku po diagnozie raka gardła dowiedział się, że zostało mu kilka miesięcy życia. W lipcu zeszłego roku powiedział w programie BBC: „Jestem tak szczęśliwy jak nigdy w życiu. Kiedyś chciałem umrzeć potrącony przez autobus, ale jestem zadowolony, że udało mi się zebrać myśli i przygotować się, i zaakceptować to, co ma nadejść. Moja książka nazywa się »Poradnik umierania dla początkujących«. Próbuję w niej przekazać, jak cieszenie się życiem w pełni przygotowuje cię do śmierci”.

– Simon umarł kilka tygodni później, a w jednym z rozdziałów książki napisał: „Chętnie porozmawiam o właściwie każdym aspekcie mojego umierania, od medycznego po metafizyczny, ale najtrudniejsze pytanie, jakie można mi zadać, to: »Jak się miewa Aurélie?«”.

Jak się miewasz, Aurélie?

– Pytanie za milion dolarów. Czasami budzę się zła i myślę: „Jak mogłeś mnie tak zostawić?”. Ale jak na czterdziestokilkuletnią wdowę bez dzieci, która przez rok towarzyszyła swojemu ukochanemu w odchodzeniu, była przy nim w chwili jego śmierci, mam się nadspodziewanie dobrze. Czasami sama jestem zdziwiona, że AŻ TAK dobrze.

Miałam wielkie szczęście, że byłam żoną fantastycznego faceta, który naprawdę przygotował mnie na swoje odejście. Jego odchodzenie mogło wyglądać inaczej. Jako chorujący na terminalnego raka miał prawo mieć depresję, złe nastroje, mógł być złośliwy, nieznosny. Tymczasem chorowanie tak naprawdę poświęcił temu, żeby mnie do swojej śmierci przygotować.

Kiedyś, kiedy znajdę na to siłę, spróbuję przyjrzeć się temu procesowi, bo zastanawiam się, czy jest możliwy w przypadku innych osób, czy to może Simon był po prostu kimś wyjątkowym. Byłam jednak przygotowana na jego śmierć chyba także na bardzo nieświadomym poziomie.

Dlatego, jeżeli spytasz mnie, czy osiem miesięcy po jego śmierci jestem szczęśliwa, odpowiem ci, że tak. Oczywiście, bywają momenty, kiedy strach i smutek łapią mnie za gardło tak, że nie mogę oddychać. Wtedy płaczę i szlocham, ale potem się uspokajam i życie płynie dalej. I nawet, jeżeli ranek rozpoczyna się od takiego płaczu, dalszy ciąg dnia upływa mi dobrze.

Samotnie?

– Nie czuję się samotna. Jestem bez Simona, ale nie samotna. Mam wokół dużo ludzi, których staram się nie szokować swoim (jednak) szczęściem, spokojem i poczuciem niesamotności. Tęsknię za Simonem, ale nie chcę nikogo innego. I nie będę miała nic przeciwko temu, jeżeli tak pozostanie.

Jestem szczęściarą, że spędziliśmy razem 14 lat. Pracowaliśmy razem w Afryce, na Bliskim Wschodzie, Ukrainie. Widzieliśmy i przeżyliśmy sporo. Simon, opowia-

• **Auréli i Simon byli razem 14 lat. W życiu i w pracy na misjach humanitarnych. Na zdjęciu z psem Pippinem**
FOT. DAVID FERGUSON

dając o swojej przyszłej śmierci, nie mówił tego z perspektywy angielskiego inteligenta pijącego o siedemnmastej english tea i znającego świat wyłącznie z książek. Był facetem, który całe życie pomagał innym w misjach humanitarnych – w Strefie Gazy, Rwandzie czy w Nepalu.

Mówił o sobie: „W pewnym sensie miałem szczęście, że moje życie i moja kariera zaprowadziły mnie w wiele miejsc, w których śmierć jest bardziej częścią życia niż dla nas na Zachodzie. Spędziłem życie jako pracownik organizacji pomocowej – sporo czasu poświęcając ONZ – i mieszkalem w miejscach, w których śmierć nie istnieje tylko w tle.

Przez trzy lata prowadziłem biuro ONZ w Strefie Gazy. Spędziłem dużo czasu w Rwandzie, Sierra Leone i pracowałem na Ukrainie. Widziałem tam ludzi, dla których śmierć jest ważną częścią życia – tracą dzieci, nie wiedzą, skąd wziąć następ-

ny posiłek. To naprawdę pomaga w myśleniu o swojej śmierci. Myślę, że śmierć była większą częścią mojego życia niż dla wielu innych ludzi”.

Co musisz sobie na nowo poukładać?

– Chyba cel i sens życia, startując w punkcie, w którym odszedł Simon. Jestem psycholożką, ale właśnie niedawno zaczęłam nowe studia, chcę zostać terapeutką, prawdopodobnie osób z demencją. Jestem związana z naszym lokalnym hospicjum, w którym umarł Simon, które jest jednym z najbardziej magicznych miejsc na ziemi. Jesteśmy na Jersey szczęściarzami. Praca na rzecz hospicjum daje mi dużo siły i poczucia sensu, podobnie też jak promocja książki, która właśnie ukazuje się w Polsce, i jestem niesłychanie szczęśliwa.

Czytałam książkę Simona w pociągu, ludzie patrzyli na mnie pytająco i ze współczuciem i bezgłośnie zadawali pytanie: „Dlaczego czytasz tę książkę? Umierasz?”.

– (śmiech) Gdyby ta książka nazywała się inaczej – jej pierwotny tytuł pasował do kryminału: „Morfina i muskat” – pewnie nikt nie zwróciłby na ciebie uwagi. Ale Simon uznał i miał rację, że „morfinizm-alokoholowy” tytuł książki jest absolutnie mylący i tak powstał „Poradnik umierania dla początkujących”. Wahał się co do słowa „umieranie” na okładce. Ale wyrażenie „poradnik dla początkujących” osłabił trochę ten smutny komunikat. I tak zostało. I mnie się bardzo ten tytuł podoba.

Ale jest prowokujący.

– Zgadza się. Nikt nigdy nie będzie zaawansowany w umieraniu, każdy z nas jest i zostanie początkujący. Bo uświadomienie sobie, że śmierć jest czymś nieuniknionym i jest częścią życia, faktycznie pomaga cieszyć się życiem jeszcze bardziej i ustawiać lepiej życiowe priorytety.

Książka powstała, kiedy Simon tuż po diagnozie, która dała mu kilka miesięcy życia, napisał parę felietonów do naszej lokalnej gazety „Jersey Evening Post” – tak, jesteśmy tymi uprzywilejowanymi Angolami, choć ja jestem z Francji, którzy mieszkają na przepięknej wyspie. Te jego artykuły uruchomiły lawinę reakcji ludzi z całej Anglii. Zostaliśmy po prostu zasypani wyrazami wsparcia. Nie potrafię wytłumaczyć tak wielkiej eksplozji emocji u czytelników Simona. Jego wypowiedzi stawały się wiralami w internecie.

I to się nie kończy. Wczoraj byłam u naszego lekarza rodzinnego, żeby zrobić badania krwi, bo zaniedbałam je w ciągu ostatniego roku. Lekarz powiedział mi: „Ciągłe rozmawiam z moimi pacjentami o Simonie, o tym, jak nadał swojej śmierci głęboki sens, nie tylko w jakimś abstrakcyjnym wymiarze, ale także praktycznym. I ty, to, jak się czujesz, jak sobie radzisz, jesteś dowodem na to, że taki sposób umierania jest darem”.

Jednak, w jakimś sensie była to śmierć uprzywilejowana. We wspaniałych warunkach, z dostępem do środków kontrolujących ból. Nie każdy może sobie na nią pozwolić.

– Masz absolutną rację. Simon mógł sobie na nią pozwolić, to przywilej niedostępny wszystkim. Ale myślę, że oddał go z nawiązką świadectwem, które zostawił w książce, swojej odwagi i pogody ducha, z jaką odchodził.

Nie lubię grać w grę: „Co by było, gdyby...”, ale taka jest prawda: nie byłoby mnie w tym miejscu, w którym teraz jestem, gdyby nie przegadane z Simonem godziny, płacz, śmiech, przeczytane książki, uczenie się otwartości w rozmawianiu o śmierci – to wszystko mieliśmy dzięki opiece hospicjum.

Kiedy umierasz, kiedy czujesz, że twoje ciało i dusza odchodzą, myślisz o tych, którzy zostają, i chcesz ich na to przygotować. Dlatego Simon napisał książkę dla siebie, ale przede wszystkim dla tych, którzy zo-

Miał odwiedzić nas król Karol. Simon żartował: „Odmówiłem, bo byłem zbyt zajęty umieraniem”

stali. On – pisząc – miał wiele wątpliwości. Na przykład taką: „Czy to, że umieram, daje mi monopol na mądrość i na to, że mam rację? A może wcale nie mam?”.

Ale nieznani mu ludzie, z którymi był w kontakcie, przez ostatnie miesiące bardzo go namawiali, żeby pisał. Były momenty, w których czułam, że Simon był bardziej z książką niż ze mną. Nie skarżę się, wiem, że proces tworzenia był dla niego bardzo ważny. Po jego śmierci dostałam najpiękniejsze maile, jakie można sobie wyobrazić. Nie zdążyłam jeszcze za nie podziękować.

Król Karol także napisał...

– Z królem Karolem to była słodko-gorzka historia. Napisał do nas piękny list, bo także czytał felietony Simona. Przysłało go razem z butelką dobrego muskatu niedługo przed śmiercią Simona, prawie w przeddzień naszych przenosin do hospicjum.

Przez chwilę w planie było nasze spotkanie z królem, ale – niestety – do niego nie doszło. Simon żartował wtedy, że kiedy ktoś go zapyta: „Słyszałem, że miał cię odwiedzić król?”, odpowie: „Tak, ale odmówiłem, bo byłem zbyt zajęty umieraniem”. Bardzo brytyjskie poczucie humoru. Uwielbiałam to.

Przepraszał też, że umiera trochę za późno, bo miał nie dożyć 47. urodzin, ale jednak mu się udało. Śmiał się z tego całe ostatnie lato. Ostatni miesiąc spędziłszy, patrząc na morze w ogrodzie różanym, on siedział na wózku i palił papierosy, uśmiechał się. Widzieć kogoś tak prawdziwie szczęśliwego po 14 latach małżeństwa w przeddzień jego śmierci było czymś bardzo nierealnym.

A co z winem od króla?

– Wypiłam je z rodzicami Simona już po jego śmierci.

Rozmawialiście wtedy o śmierci?

– Nie, już o życiu.

Ale jest w nas wszystkich ogromna potrzeba mówienia o tym, czego się najbardziej obawiamy. Stąd, myślę, tak mocna i gwałtowna relacja czytelników na słowa Simona, który powiedział: „umieram”. Dlatego potrzebujemy zaufania i dobrych mocnych więzi z innymi ludźmi, żeby móc o śmierci rozmawiać.

I to normalne, że się takich rozmów boimy. Ale przegadanie tego strachu jest najlepszym lekarstwem. I wiem o tym jako osoba zajmująca się psychologią. Bycie w kontakcie z życzliwymi i rozumiejącymi

nas ludźmi jest czymś najbardziej terapeutycznym, co się nam może wydarzyć.

Co cię najbardziej urzekło w książce Simona?

– Wiesz, że przeczytałam ją tylko raz i nie mogę po nią ponownie sięgnąć? Nie używam jej, żeby pomóc sobie w czasie żałoby. Pomaga mi najbardziej to, co teraz dzieje się z książką, jaką – po śmierci Simona – ma siłę rażenia. Większość ludzi myśli, że znam ją na pamięć, ponieważ w jakimś sensie jestem depozytariuszem spuścizny Simona Boasa. To to ja mam prawa autorskie, choć zyski ze sprzedaży postanowiliśmy przeznaczyć na cele charytatywne.

Ale na pewno jest mi bliskie to, jak mówi o współczuciu i rzeczach w życiu najważniejszych. Nie zgadzaliśmy się na pewno, jeżeli chodzi o kwestie religijne. Ja jestem katoliczką, Simon był niewierzący.

Uwielbiam zajmować się sprawami związanymi z promocją tej książki, udzielam wywiadów, podpisuję umowy – także z rynkiem amerykańskim. Chociaż jestem lekko zmęczona pytaniami: „Co myślał, kiedy to pisał?”. Odpowiedź brzmi: „Nie wiem i nie mam jak spytać, bo jego już nie ma”.

Boję się trochę, że ktoś zrobi o naszej historii film lub serial i będę musiała potem prostować: „tak nie było”, „nie powiedział tego”, „ja bym się nigdy tak nie zachowała”. No, ale może do tego nie dojdzie. Chyba bym tego nie chciała. Zastanawiam się, jak to będzie z upływem czasu. Jakie miejsce zajmie ta książka w moim życiu?

Ale jako świeżo upieczona wdowa mierzę się także z wieloma tabu.

Jakie to tabu?

– Każda relacja, którą miałam do tej pory, nabiera nowego wymiaru. Jest dużo nowych zaskakujących benefitów wiążących się z wdowieństwem. Na przykład poznanie mnóstwa nowych ludzi z powodu tego, że mój mąż nie żyje. Gorzkie, ale tak się właśnie dzieje. Mam dużo czasu dla ludzi, których nigdy bym nie poznała, gdyby nie Simon i jego książka.

Czuję się też w pozycji, którą Francuzi dosadnie nazywają „avoir le cul entre deux chaises” – mieć tylek między dwoma krzesłami. Oznacza, że formalnie nie jestem już mężatką, ale nie jestem singielką. Nie, zdecydowanie, nie jestem singielką! Jestem gdzieś pomiędzy, ludzie patrzą na mnie ze współczuciem. Wiem, że nie chcę pozostawać na zawsze w tym stanie „pomiędzy”,

ale na razie nic z tym nie robię, po prostu muszę przez ten stan przejść.

Zauważyłam, że ludzie nie wiedzą, czy mogą ze mną wciąż rozmawiać o Simonie, czy nie. Może już mam dosyć?

Dzisiaj rozmawiałam z dwójką moich przyjaciół, nie mieliśmy kontaktu od pogrzebu. I ta rozmowa na tyle mnie przynębiła, że stwierdziłam: „Nie chcę już rozmawiać o Simonie”. Ale też uwielbiam o nim rozmawiać! Przywilej wdowy: być rozdartą. Następnym przywilejem jest potężne poczucie pewności siebie i wielkiej wolności w byciu ze sobą. Takie, którego nigdy do tej pory nie doświadczyłam. Oraz poczucie winy: „Jak to się stało, że jego śmierć dodała mi tyle odwagi? Co jest ze mną nie tak?”.

Duma z przetrwania żaloby?

– Tak, coś w tym rodzaju.

„Żałoba jest ceną, jaką płacimy za miłość” – powiedziała królowa Elżbieta po śmierci księcia Filipa. Ja jestem teraz w stanie limbo: nie jestem gotowa, by ruszyć dalej, ale żałoba już mnie tak nie pochłania. Kiedyś – obserwując ludzi w żałobie – zastanawiałam się: „Jak on/ona mogli to przetrwać? To ponad ludzkie siły”. A teraz wiem, że można, bo życie toczy się dalej. Myślę, że bardzo by się to Simonowi podobalo.

Z perspektywy czasu, kiedy myślisz o samym momencie śmierci Simona, był on trudniejszy, niż się spodziewałaś?

– Był łagodny, najłagodniejszy z możliwych. Może dlatego, że wiedziałam, jak się to wszystko odbędzie. Przez osiem ostatnich dni spałam koło niego w szpitalu. Oczywiście, że płakałam, ale uspokajały mnie pielęgniarki z hospicjum, mówiąc po prostu o tym, jak wygląda śmierć.

I gdybym miała poradzić coś ludziom, przed którymi jest to doświadczenie: znajdźcie w sobie odwagę, aby dowiedzieć się – w zależności od choroby, z którą się zmagają bliska wam osoba – jak będzie przebiegało umieranie. To ogromnie zmniejsza strach, kiedy już trzeba się z tym zmierzyć.

Zanim Simon umarł, dyskutowaliśmy o tym bardzo długo. Trzy-cztery razy w miesiącu byliśmy w hospicjum na wizytach u onkologa. Simon zobaczył pokój, w którym umrze. Pamiętam, że pielęgniarka także mi to zaproponowała. Byłam sparaliżowana ze strachu, właściwie siłą mnie do niego zaciągnęli.

Myślałam wtedy: „Nie chcę tu być, nie chcę, żeby się to wszystko działo”. A potem

weszliśmy do pokoju, usiedliśmy na tarasie z widokiem na morze. Poczulałam się nierealnie. Wiedziałam jednak, że mogę zapytać: „Jak on umrze?”, „Co się będzie po kolei działo?”, „Kto mnie obudzi, kiedy się znacznie umieranie?”, „Kiedy będę wiedziała, że to już koniec?”.

Bałam się tego i bardzo nie chciałam być przy jego śmierci, ale im więcej pytań zadawałam, tym byłam spokojniejsza i oswojona z tym, co się wydarzy. Jestem bardzo wdzięczna, że mogłam być przy nim i trzymać go za rękę.

„Simon zmarł spokojnie, we śnie”

– można było przeczytać następnego dnia w gazetach. Cieszę się, że ludzie tak myślą. Dla mnie jego śmierć była jednak gwałtowna. Chociaż to właściwie nie ma znaczenia.

Gdy umarł, byłam spokojna, płakałyśmy z siostrą Simona, ale nie było we mnie lęku czy niepokoju. Cieszyłam się z czasu, który był nam dany, i z napisanej przez niego książki. Chociaż uważam się za bardzo odporną psychicznie, nie wiem, czy wszystko odbyłoby się tak, gdyby nie te długie miesiące przygotowań. Jeszcze raz powtórzę: byliśmy szczęściarzami. Zmarł tak, jak chciał.

Nie czujesz się obciążona tym, że musisz przekazywać „dziedzictwo Simona” o tym, jak „dobrze umierać”?

– Zdaję sobie sprawę, że to nie jest moja książka. Chociaż została napisana dla mnie i jest częściowo o mnie. Kiedy poczuję się tym zmęczona, napiszę swoją. Będzie miała tytuł: „Poradnik życia dla początkujących”. Nie, to zbyt oczywiste. Wymyślę coś innego.

Boisz się teraz mniej swojej śmierci?

– Kiedyś się bardzo bałam, mimo że jestem katoliczką. Teraz boję się mniej. Chciałabym w chwili śmierci być otoczona przez ludzi, ale może to za duże wymaganie. Nie mam dzieci, ale wierzę, że ktoś w chwili mojej śmierci będzie u mojego boku. Niczego innego się nie boję. ●

Simon Boas, **Poradnik umierania dla początkujących**, Wydawnictwo Agora



OĞŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34364475

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Poszukiwanie przodków

PORADNIK GENEALOGICZNY

- Od czego zacząć?

Jak krok po kroku budować drzewo genealogiczne?

- Najważniejsze bazy i portale genealogiczne

- Dlaczego warto wykonać test DNA?



DODATKI SPECJALNE



• „Gra w szachy” Sofonisby Anguissoli. Figury na tej szachownicy nie układają się w sensowne ruchy, a takiej partii nie dałoby się rozegrać w rzeczywistości
FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W POZNANIU

Piękna

strategia przetrwania

Z **PIOTREM OCZKĄ***,
AUTOREM KSIĄŻKI
„SUKNIA I SZTALUGI. HISTORIE
DAWNYCH MALAREK”
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Miałem uknuty plan.
Chciałem dokończyć książkę.
Pojechać do Holandii ostani
raz. Jeszcze ostro zaszaleć.
A potem „wylogować się”
na własnych zasadach.

AGNIESZKA JUCEWICZ: Co ciebie – męż-
czynę, naukowca z Krakowa, żyjącego
w XXI wieku – łączy z malarkami euro-
pejskimi twórczymi między XVI a XVIII
wiekiem? Pytam, bo w tym, jak o nich
piszesz, jest czułość. A może i nawet – za-
rzykuję – poczucie siostrzeństwa?

PIOTR OCZKO: To banal, ale zawsze w ja-
kiś sposób piszemy o sobie. Z tego, co
dzielę z moimi bohaterkami, zdałem so-
bie sprawę dopiero wtedy, gdy książka by-
ła już w druku. Feministyczne siostrzeń-
stwo, owszem, ale na współodczuwanie
z nimi wpłynęły chyba głównie dwie in-
ne rzeczy.

Kobiety te, działając na męskim rynku
sztuki, musiały nieustannie udowadniać nie
tylko światu, ale i sobie samym, że są dobre.
Też musiałem to robić, choć z innych po-
wodów.

To ta pierwsza rzecz.

A ta druga?

– Miały odwagę być sobą i żyć tak, jak chcą.

**Opowiedz najpierw o tej konieczno-
ści udowadniania.**

– Od czwartego roku życia byłem dzieckiem
neuroróżnorodnym. Nie wiem, jak zdiag-
nozowano by mnie dzisiaj, ale wygląda-
ło to jak silny zespół Tourette’a. Z tym że To-
urette nie mija, a mnie zaczęło to stopnio-
wo przechodzić w 21. roku życia, po coming
oucie. Teraz zaś wraca szczątkowo, tylko
wtedy, gdy jestem bardzo zestresowany albo
„pod wpływem”.

Jak to się objawiało?

– Całą gamą nerwowych tików i przymusem
powtarzania pewnych wyrazów. Szedłem
ulicą, zupełnie nie panowałem nad wła-
snym ciałem i widziałem tylko, jak ludzie
wytykają mnie palcami. Przez lata wstydz-
łem się wracać do tych wspomnień nawet
sam przed sobą... Był to rodzaj niepełno-
sprawności, który spowodował, że czułem
się wyobcowany, no i oczywiście stawiałem

się łatwą ofiarą. Zwłaszcza gdy w wieku lat
12 zmieniłem szkołę. Do tego byłem dobrym
ucznem, a tacy nie mają lekko.

Dręczono cię?

– Na wszelkie sposoby. Mama próbowała
mnie chronić i oszczędzać mi silniejszych
wrażeń, ale ja koniecznie chciałem się wy-
bijać z tłumu. Na lekcjach zawsze pierw-
szy zabierałem głos, brałem udział w olim-
piadach.

W ósmej klasie, gdy przyszedł czas na wy-
branie szkoły, prowadząca mnie lekarka za-
sugerowała, że powinienem mieć jakieś
spokojne zajęcie. „Niech on idzie na zegar-
mistrza” – powiedziała.

Dziś odpowiedziałbym jej dosadnie, ale
że wtedy nie używałem brzydkich wyrazów,
to po prostu się wkurwiłem i dostałem do
jednego z najlepszych liceów w Krakowie.

Na każdym kroku starałem się udowodniać, że jestem coś wart, co z jednej strony mnie motywowało, a z drugiej ma do dziś również negatywne skutki. Na przykład takie, że nigdy nie jestem z siebie zadowolony. Zawsze uważam, że wszystko mogłem zrobić lepiej. Sukcesy mnie nie cieszą, no i z samooceną nie jest najlepiej.

To gdzie ta odwaga bycia sobą?

– Większość mojego życia upłynęła w świecie, który był homofobiczny, nawet ten akademicki. Pamiętam, jak zabolalo mnie, gdy na zajęciach z literatury usłyszałem z katedry o „pedalach u Huysmansa”, i to na dodatek od osoby, którą bardzo lubilem. Takie rzeczy natychmiast się wylapuje. Kiedy sam przed sobą dokonałem coming outu, stało się dla mnie oczywiste, że nie będę udawać kogoś innego. A to oznaczało, że musiałem obrać strategię przetrwania.

Nie chcąc być postrzegany wyłącznie poprzez orientację, musiałem być na tyle do bry, żeby stała się ona przezroczysta.

Studia zaczęłeś od anglistyki.

– Na trzecim roku zacząłem studiować równolegle polonistykę, oba kierunki skończyłem. Doktorat robiłem już z niderlandystyki, a w końcu przekwalifikowałem się na historię sztuki. Po prostu w pewnym momencie straciłem dar zachwyty do słów, a odkryłem w sobie zachwyt do obrazów.

Jak się traci dar do zachwyty słowami?

– Po latach zajmowania się zawodowo literaturą chyba za dużo już o niej wiedziałem. Kiedy brałem do ręki jakikolwiek tekst literacki, czytałem go mechanicznie. Wiedziałem dokładnie, jak działa, co robi z czytelnikiem. Zaczęło mi to odbierać przyjemność z czytania. Kiedy zacząłem pracować nad habilitacją „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii, albo historia pewnej obsesji”, okazało się, że ikonograficznych reprezentacji sprzątania – tych rozmaitych miotel i szczotek – jest tyle, że zupełnie w to wsiąknę. I wtedy zachwycilem się obrazem. To było ponad 20 lat temu.

Historykiem sztuki zostałeś z pasji.

– Od dawna zbieram stare rzeczy, więc dużo na ten temat wiedziałem. Poza tym wychowywałem się w domu, w którym były zabytkowe przedmioty i książki o sztuce. Nadrobienie pewnych rzeczy, które przerabiają na studiach przyszli historycy sztuki, nie było takie trudne.

Co kolekcjonowałeś na początku?

– Angielskie fajanse, lampy naftowe i zegary szwarcwaldzkie, których już nie zbieram. Kolekcje się zmieniają. Ludzie porzucają jedno, bo tracą do nich serce, albo rozwijają się razem z nimi. U mnie kolekcjonowanie było też zawsze jakoś powiązane z zainteresowaniami naukowymi, ponieważ prędzej czy później na temat tego, co gromadzę, pisałem artykuł naukowy albo esej. Na przykład kuchnia, w której siedzimy, stała się przedmiotem szkicu w „Biuletynie Historii Sztuki”.

Masz tu kilkaset rozmaitych sprzętów kuchennych z przełomu XIX i XX wieku z motywem wiatraka. To – jak rozumiem – świadectwo twojej miłości do Holandii?
– Raczej do etosu holenderskiego mieszczaństwa. W XIX wieku kraj ten został uznany za idealny, wręcz mityczny kraj mieszczański. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i reszta Europy zachwyciły się nim. Zaczęto malować w stylu dawnych holenderskich mistrzów, jeździć do Holandii i opisywać ją, jak robił to na przykład Baudelaire. Holenderska ceramika pojawiła się też w sztukach użytkowych, głównie w kuchni. Bo jaka powinna być idealna mieszczańska kuchnia? No właśnie, holenderska, czyli oszczędna, pedantyczna, uporządkowana, dobrze zorganizowana.

Taka jak twoja. Na półkach aż po sufit stoją pojemniki na produkty spożywcze: mąkę, cukier, kawę, ryż, kakao, tapiokę...



• W ślicznych serach, które malowała Clara Peeters, może się załęgnać takie samo robactwo, jakie żeruje w ludzkich zwłokach FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM MAURITSHUIS W HADZE

–...są wagi, a nawet wiadro na śmieci. Przyleciało z Berlina. Nie wiem, jak przekonałem stewardesę, żeby pozwoliła mi wejść z nim na pokład. Tu masz maszynę do robienia masła, tu pojemnik na naftę, tam garnki. A tu – specjalny przyrząd do oddzielania białek od żółtek i rozmaite formy do galaret i puddingów.

Zobacz jeszcze ten niemiecki wieszak na ścierki, wszystkie podpisane: do rąk, do talerzy, do noży, do szkła i ta do wycierania. Aż się prosi o refleksję, że za takim majstersztykiem segregacji pójdą potem logistyka Zagłady i krematoria w Auschwitz.

...używasz w ogóle tych sprzętów?

– To nie jest kuchnia do życia, tylko scenografia. Designerski żart.

Wracając do odwagi. Ktoś mi niedawno powiedział, że aby tak mieszkać, trzeba mieć dużo odwagi. Początkowo nie wiedziałem, o co mu chodzi. Dopiero potem uprzytomniłem sobie, że prawa do własnego ekscentryzmu musiałem się uczyć bardzo długo. To nie przyszło od razu. Podobnie jak mówienie wprost tego, co myślę, i zaakceptowanie, że nie wszyscy muszą mnie lubić. Taki był też los dawnych malarzy. Cały czas musiały się z tym mierzyć.

Do której z nich ci najbliższe?

– Do Gesiny ter Borch. Najprościej byłoby powiedzieć, że to przez zawód miłosny. Gdy piszę o ukochanym, który ją zostawił, „ale tym panem nie będziemy się już zajmować”, solidarnie przecież okazuję jej wsparcie.

Ale łączy nas też dystans do świata, ironia, mówienie żartem o sprawach trudnych. No i domowość, bo to artystka skupiona na własnym mikrokosmosie.

Urodziła się w prowincjonalnym Zwolle w połowie XVII wieku i pochodziła ze znanej rodziny malarskiej. Jej ojciec i dwaj bracia byli artystami, jeden z nich zrobił spektakularną karierę. To Gerard ter Borch od tak zwanego „Ojcowskiego napomnienia” i całej masy scen rodzajowych. Gesina też wykazywała talent plastyczny od najmłodszych lat, ale została przez ojca spisana na straty, bo była dziewczynką. Ter Borch starszy rysunki synów od samego początku oglądał, poprawiał i komentował. U niej takie uwagi pojawiły się, dopiero gdy miała 14 lat, i było ich zaledwie kilka.

Jej twórczość odkryto przypadkiem.

– Pod koniec XIX wieku Rijksmuseum w Amsterdamie zakupiło rodzinne archiwum Ter Borchów, a w nim prace Gesiny odstające od ówczesnej sztuki.

Była amatorką, ale przez to miała świeżość i autentyczność, którą w tej chwili tak cenimy. Malowała w technice akwareli – głównie portrety i sceny przedstawiające życie przyjaciół, rodziny i lokalnej społeczności. Relacjonowała na przykład epidemię zarazy czy bójkę pijaków, choć wśród jej prac były też takie o charakterze alego-

Te artystki, ponieważ śmiały wejść w środowisko męskie, automatycznie stawały się moralnie podejrzane, zwłaszcza jeśli były ładne



• Rosalba Carriera na autoportretach nie dodawała sobie urody. Śledziła postępy starości. Pokazywała też swoje stany psychiczne FOT. OSVALDO BÖHM W ZBIORACH ACCADEMIA ART GALLERIES W WENECJI



• Obraz „Zuzanna i starcy” Artemisii Gentileschi. Rozdział poświęcony tej malarce Piotr Oczko zatytułował „Ona, czyli #MeToo” FOT. Z KOLEKCJI PAŁACU WEISSENSTEIN W POMMERSFELDEN

orycznym oraz sceny biblijne. Była kronikarką swojego miasta, a jednocześnie liryczną poetką koloru. Jej akwarele można tak naprawdę docenić dopiero wtedy, gdy ogląda się je na żywo. I za każdym razem, gdy jestem w gabinecie rycin w Rijksmuseum, proszę o teczkę z jej pracami, żeby sobie po prostu na nie patrzeć.

To bardzo intymne doświadczenie. Widać, w którym miejscu Gesina docisnęła mocniej pędzelek, kiedy nabrała więcej pigmentu. Widać fakturę papieru, zupełnie inną niż dziś.

Co wtedy czujesz?

– Wzruszenie. Mam wrażenie bycia dopuszczonym bardzo blisko do jej świata.

Za każdym razem, gdy prowadzisz wykład o innej swojej bohaterce, wiele cię on kosztuje. To Artemisia Gentileschi – słynna włoska, barokowa malarka. Rozdział jej poświęcony zatytułowałeś: „Ona, czyli #MeToo”.

– W tym rozdziale poza tym, że opowiedziałem historię przemocy, która ją spotkała, wspominałem też o swoim doświadczeniu. Po prawie 30 latach nagle poczułem, że muszę.

Pomyślałem, że jeżeli je jakoś wyrażę, to być może na tym wykładzie przestanie mi się wreszcie, rok w rok, załamywać głos. To był mój sposób na ostateczne poradzenie sobie z tym, co się kiedyś stało. Tyle wystarczy, nie chcę do tego wracać.

Wiele z dawnych malarzy na różne sposoby było krzywdzonych przez mężczyzn. Była tam i przemoc fizyczna, i psychiczna. I podcinanie skrzydeł, pozbawianie marzeń, okradanie z zarobionych pieniędzy.

– Tak. Ale ja bym powiedział, że zarówno owe malarki, jak i ci mężczyźni byli pokrzywdzeni przez patriarchalny system. Oni też byli jego ofiarami na przykład w taki sposób, że zostali pozbawieni fajnych koleżanek po fachu, od których mogliby się dużo nauczyć.

O artystkach najbardziej skrzywdzonych, czyli tych, które nie zostawiły po sobie najmniejszego śladu, nie mogłem napisać, bo po prostu nic o nich nie wiemy.

Dawniej kobiety mogły realizować swoje twórcze pasje, najczęściej haftując, tkając lub robiąc koronki. Holdem dla nich są wyklejki w tej książce. Celowo zdecydowałem się dać na nich „Próbnik haftu” Angielki Jane Bostocke z 1598 roku, a nie jakiś obraz, żeby upamiętnić i podkreślić rolę tych, którym nie było dane malować.

Te, którym się to udało, musiały wykazać się wyjątkową determinacją.

– Absolutną. I dużym szczęściem. Żeby móc zostać malarzem w tamtych czasach, należało spełnić trzy warunki. Po pierwsze, trzeba było być mężczyzną. Po drugie – urodzić się w rodzinie malarza, bo fach przekazywano z ojca na syna. A po trzecie – należeć do klasy średniej, bo to z niej pochodzili artyści. Komuś z wyższej sfery nie wypadało. Malarzem amatorem był na przykład polski król Władysław IV Waza, za co powszechnie go krytykowano.

Większość malarzy, które opisuję, była córkami malarzy. Na tyle światłych i nie liczących się z opinią publiczną, że decydowali się je kształcić w swoich pracowniach razem z innymi czeladnikami. Przypadki takie jak Sofonisba Anguissola należały do wyjątków.

Anguissola urodziła się w połowie XVI wieku, w zubożałej arystokratycznej rodzinie szlacheckiej w Cremonie.

– Ojciec zauważył jej talent i zrobił jak na owe czasy rzecz niezwykłą – wysłał ją razem z siostrą na naukę do pracowni mistrza. Zrobiła potem oszałamiającą karierę. Na początku traktowano ją jako swoiste dziwko natury – kobieta i szlachcianka, która maluje!?! To zamówmy sobie u niej portret! Jeden zamówił, drugi, trzeci, aż w końcu wieści o niej trafiły na dwór króla Hiszpanii Fi-

lipa II, który akurat szukał damy dworu posługującej się pędzlem, ponieważ jego przyszła żona Elżbieta Walezjuszka była artystką amatorką i chciała rozwijać swoją pasję.

Między nimi zawiązała się przyjaźń.

– Oczywiście przyjaźń w ramach hierarchii. Po tragicznej śmierci królowej przy narodzinach dziecka Anguissola długo rozpacziała. I być może była jedyną spośród dworzan, która po niej szczerze płakała.

Jeden z słynnych obrazów Anguissoli, „Gra w szachy”, znajduje się w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Przedstawia dwie siostry malarki rozgrywające partię szachów, czemu przyglądają się najmłodsza siostra oraz czujna opiekunka.

– Ktoś kiedyś odkrył, że figury na tej szachownicy nie układają się w sensowne ruchy, a takiej partii nie dałoby się rozegrać w rzeczywistości. Ponieważ pisałem magisterium o „Szachach” Kochanowskiego i wiedziałem, że w tamtym czasie upowszechnił się nowy styl gry zwany alla rabiosa, postanowiłem sprawdzić, czy dziewczęta nie grają aby w starym stylu, sprzed reformy. Niestety, układ szachownicy nie zgadza się w żadnym stylu, jest przypadkowy. Sofonisba ewidentnie grać w szachy nie potrafiła, za to świetnie malowała.

Dzisiaj ten obraz uważany jest za gest emancypacyjny. We Włoszech co prawda w wieku XVI kobiety już grywały w szachy, ale w reszcie Europy była to wciąż rozrywka zastrzeżona dla mężczyzn. Sądzone, że kobiety są pozbawione umiejętności racjonalnego i abstrakcyjnego myślenia oraz nie mają potencjału intelektualnego, który pozwoliłby im sięgnąć do szachownicy.

Anguissola korespondowała z Michałem Aniołem. Wysyłała mu prace, on je odsyłał ze wskazówkami i swoimi szkicami, żeby mogła się z nich uczyć.

– To prawdopodobnie ojciec polecił ją Michałowi Aniołowi. Był bardzo zaangażowanym promotorem jej twórczości. Słał prace córki do znajomych arystokratów, na dwory, nawet do papieża. W dużej mierze to on ją rozślawił. Tyle że nie był to typowy ówczesny rodzic. Był nieślubnym dzieckiem, co prawda usynowionym przez ojca, jednak wciąż pozostawał bastarden, co więcej, zubożałym arystokratą prowadzącym sklep, co zapewne sprawiło, że myślał niesztampowo. Miał też szerokie zainteresowania literackie. No i mieszkał w domu, w którym poza nim i najmłodszym synem żyły same kobiety – sześć córek i żona. Wydaje mi się, że to musiało mu wybić wszelkie mizoginistyczne uprzedzenia z głowy, jeśli nawet takie wcześniej miał.

Jeszcze jedna z twoich bohaterek nie wychowała się w rodzinie malarzy – Judith Leyster, która jest jakby rewersem Anguissoli i z arystokracją, nawet zubożałą, nie ma nic wspólnego.

– To bardzo ciekawa malarka holenderska. Urodziła się w Haarlemie na początku XVII wieku jako ósme dziecko średniozamożnego tkacza, a potem browarnika. W jej rodzinie nie było żadnych tradycji artystycznych. Tyle że to była Holandia. Kobiety cieszyły się tam nieproporcjonalnie większą wolnością niż ich koleżanki z innych krajów europejskich. W XVII i XVIII wieku sporo było tam artystek, które podobnie jak Leyster nie miały ojców malarzy, a mimo to stały się profesjonalistkami. Tak było na przykład z Marią van Oosterwijk, słynną twórczynią martwych natur. Jej ojciec był drukarzem.

Mój podziw wzbudza inna XVII-wieczna malarka, a jednocześnie pierwsza entomolożka Maria Sybilla Merian.

– Aż trudno uwierzyć, że ktoś taki mógł wtedy istnieć, prawda? Merian wzięła życie we własne ręce – porzuciła niekochanego męża, samodzielnie utrzymywała córki, a przede wszystkim żyła pasją do nauki. W wieku 52 lat, czyli jak na ówczesne standardy, będąc staruszką stojącą nad grobem, porwała się na coś, na co żaden inny euro-



• **Piotr Oczko: gdzieś na marginesie tych opowieści o dawnych malarkach kreślę swój autoportrecik** FOT. MARCIN BARCZYK

pejski uczony przed Humboldtem się nie odważył – udała się w podróż badawczą na inny kontynent, do kolonii w Surinamie. Najpierw płynęła cztery miesiące statkiem, potem, znosząc niedogodności tamtejszego klimatu, wyprawiła się do dżungli, gdzie prowadziła badania nad owadami, a na koniec dołożyła wszelkich starań, żeby je opublikować w formie pięknie ilustrowanego tomu. Bo owady, o których pisała, jednocześnie rysowała albo malowała.

Zresztą Merian udowodniła masę ciekawych rzeczy. Wykazała na przykład, że gąsienice nie powstają z błota albo kału, jak poprzednio sądzono, tylko wylęgają się z jajek motyli. Stąd też wzięła się jej pasja. Kiedy miała 13 lat, dostała w prezencie pudełko z gąsienicami jedwabników. Karmiła je sałatą i obserwowała, jak rosną, linieją, potem wysnuwają z siebie nici i tkają kokony, z których wychodzą motyle. Samiczki składały jaja, a potem cały cykl zaczynał się od nowa. Ta metamorfoza wzbudziła jej zachwyt. Wtedy postanowiła, że poświęci się owadom, czyli tym najbardziej pogardzanym zwierzętom na drabinie bytu, często kojarzonym ze złem i brudem. Ona dostrzegła w nich piękno.

I pięknie je przedstawiała. Jej motyle, pająki, mrówki, ale też kwiaty i owoce są niezwykle kolorowe, soczyste, jakby trójwymiarowe.

Przedmioty nie stosują gaslightingu, nie rozrzucają skarpetek, a ostatecznie nie wybierają sobie innego chłopaka

– Jej największe dzieło „Rozprawa o pochodzeniu i metamorfozach owadów surinamskich” uchodzi za jedną z najpiękniejszych książek przyrodniczych, jakie kiedykolwiek wydano.

W Surinamie złapała żółtą febrę i wróciła do Europy schorowana.

– Wtedy też, wydaje mi się, zmieniła swój stosunek do wiary. Wcześniej powoływała się na Boga we wszelkich możliwych miejscach. Natomiast po tym, co zobaczyła w Surinamie, do Absolutu odniosła się tylko raz. W „Rozprawie o pochodzeniu owadów...” napisała, że jeśli tylko Bóg da jej zdrowie i życie, to chciałaby jeszcze opublikować kilka prac.

Co takiego zobaczyła w Surinamie?

– Bezwzględny wyzysk i cierpienie miejscowej ludności przymuszanej do nieludzkiego wysiłku, bitej, gwałconej i palonej żywcem. Charles Ralph Boxer w „Morskim imperium Holandii 1600-1800” podsumował to tak: „Nieludzki stosunek człowieka do człowieka doszedł w Surinamie niemal do granic ostatecznych”.

Najbliżej ci do Gesiny ter Borch. A czy, gdybyś mógł, chciałbyś pożyczyć życiem którejś ze swoich bohaterek?

– Nie, to nie są biografie, które chciałoby się powtarzać. Można się nimi tylko inspirować.

Wszystkie te artystki miały bardzo ciężkie życie i za swoje wybory płaciły ogromną cenę. Często stawały się przedmiotem plotek, rozmaitych obmów. Zarzucano im, że się źle prowadzą. Ponieważ śmiały wejść w środowisko męskie, automatycznie stały się moralnie podejrzane, zwłaszcza jeśli były ładne. Wówczas oskarżano je o to, że zrobiły karierę przez łóżko. Taki los spotkał na przykład szwajcarską malarkę Angelikę Kauffmann. Natomiast tym, które były

według ówczesnych odbiorców nieładne, od razu wypominano brak urody.

Tak było z wenecką malarką Rosalbą Carrierą, której poświęciłeś rozdział „Stara panna pastelista”. Dzięki temu, że uważano ją za brzydką, udało jej się uchronić przed plotkami?

– Tak, miała spokój, ale też z godnością akceptowała własne mankamenty. Na przykład na autoportretach nie dodawała sobie urody, tylko odważnie patrzyła w siebie i na siebie. Śledziła postępy starości. Pokazywała też swoje stany psychiczne. Na jej słynnym autoportrecie z 1747 roku widać depresję po śmierci siostry i przejście malarki na stronę cienia.

Ciekawe, bo innych na portretach upiększała.

– Za to jej placono. Natomiast w stosunku do siebie wykazywała się nieprawdopodobną szczerością.

W minibiografiach malarek, które stworzyłeś, tu i ówdzie zostawiasz swoje ślady, czasem pisząc o sobie bardzo szczerze.

– Eseistyczne pisanie o sztuce siłą rzeczą musi być emocjonalne i osobiste, bo traktuje o tym, jak dzieła na nas oddziałują, jak wiążą się z naszym życiem. To dlatego gdzieś na marginesie tych opowieści kreślę swój autoportrecik. Ale robię to na różnych poziomach, nie zawsze wprost. Czasem zostawiam celowo literówki, które nadają słowom inne znaczenie. Albo piszę coś w taki sposób, że kod do odczytania tego mają tylko najbliżsi. Moja szczerość bywa też złudna – równie często się w tych opowieściach ukrywam.

Na przykład za czym?

– Nie powiem ci. To zresztą pewnego rodzaju autokreacja, figura narratora. Niekoniecznie „ja” piszące jest kimś, kim jestem na co dzień.

Trochę jednak się o tobie dowiadujemy. Na przykład o tym, że bliżej ci do zmarłych niż do żywych.

– Ja bym to ujął chyba inaczej, że przeszłość bywa dla mnie często ważniejsza niż teraźniejszość.

Dlaczego?

– Być może to jakiś rodzaj ucieczki?

Rozdział „Uwikłane w śmierć” odstawia od innych. Poświęcasz go nie jednej artystce, ale wielu malarkom martwych natur.

– I dedykuję mojemu przyjacielowi zwanemu Czeszką, bo skończył między innymi bohemistykę.

To bardzo osobisty rozdział. Książkę pisałem, przechodząc przez agresywną radię i chemioterapię. A ponieważ większość martwych natur ma charakter waniatyczny, czyli mówi o śmierci i przemijaniu, był to dla mnie pretekst do zmierzania się z chorobą.

Praktycznie każdą swoją książkę pisałeś, przechodząc przez jakąś traumę.

– Miałem takiego pecha, niestety. Zresztą dzięki temu te książki chyba wychodziły lepiej. Rzadko udało mi się napisać coś, co w miarę by mi się podobało, jeżeli byłam akurat szczęśliwy.

Myślę, że niezadowolenie, jakiś rodzaj niezgody na świat i smutek powodują, że się człowiek robi bardziej twórczy. Tak przynajmniej jest ze mną. Może widzę wtedy więcej.

Jak w ogóle wyglądała praca nad książką, biorąc pod uwagę twój stan zdrowia?

– Zaczniemy od tego, że ja tej terapii nie chciałem. Nie chcę się rozwozić dlatego. W każdym razie potraktowałem diagnozę jako pewien dar od losu, bo miałem już trochę dość. Okazało się jednak, że na to nie są gotowi moi bliscy. Co było dla mnie szokiem, bo żyłem w swojej mentalnej holenderskiej bańce, w której tylko jednostka ma prawo decydować, co może zrobić ze swo-

im życiem. A tu spotkałem się ze zmasowanym szantażem emocjonalnym, któremu jednak uległem.

To cię skłoniło do podjęcia leczenia?

– To i coś jeszcze. Miałem uknuty cały plan. Chciałem dokończyć pisać tę książkę. Pojechać do Holandii, ostatni raz. Załatwić sprawy spadkowe. Sfinalizować obrony moich doktorantek. Jeszcze ostro zaszałeć. A także, jeśli się da, naprawić rzeczy, które spieprzyłem – przeprosić kogoś, napisać komuś mail. A potem „wylogować się” samemu, na własnych zasadach. Na co lekarz powiedział: „Bardzo mi przykro, ale braknie panu na to wszystko czasu. Guz będzie rósł szybko i za cztery miesiące pańskie życie stanie się nie do zniesienia”. I częściowo po to, żeby móc tę książkę skończyć, zdecydowałem się na terapię. Co nie zmieniło tego, że podchodziłem do niej wbrew sobie. A nawet z przeświadczeniem, że lecząc się, robię wszystkim łaskę.

Spytałaś, jak się pisze książkę w takiej sytuacji. Przede wszystkim pisze się ją w niepokoji, czy się zdąży. Był zresztą moment – pojawiły się komplikacje, znów trafiłem do szpitala – że napisałem przyjaciółce: „No to z malarkami muszę się już pożegnać”. Ale towarzyszyło mi tak silne poczucie obowiązku, że jak tylko z tego szpitala wyszedłem, to powiedziałem sobie, że ją skończę, bez względu na cenę. Dodam, że bardzo kiepsko pisze się na morfinie i marihuanie medycznej, bo to spowalnia i otepia.

Czy praca w jakikolwiek sposób pomagała ci się utrzymać na powierzchni?

– Mnie praca zawsze pomaga utrzymać się na powierzchni. Nadaje mi rytm, zapewnia czas. To dla mnie przyjemność – siedzieć, pisać, grzebać w rozmaitych, czasem bardzo nudnych opracowaniach, czytać jakieś historyczne statystyki. Wchodzę w tę robotę całym sobą, zapominam o świecie i ponieważ zaczynam żyć życiem innym.

Praca daje mi też poczucie celu i sensu, którego zwykle nie mam. To, że nie chciałem się podjąć terapii, wzięło się też stąd, że nie za bardzo wiedziałem, po co mam dalej żyć. W jakimś sensie czułem się spełniony. Wiedziałem, że wyżej profesora belwiderskiego już nie podskoczę. Jako kolekcjoner też nie, bo wszystkie rzeczy, które chciałem mieć, w zasadzie mam. A na wyższy etap zbierania już nie przejdę, bo nigdy nie kupię sobie na przykład obrazu Jacobusa Vrela – to inna liga. W takim razie po co? Jaki sobie postawić cel? Nie umiałem wymyślić, co by mnie mogło w życiu jeszcze kręcić. Oczywiście jest też coś, w czym się nie spełniłem, i jestem pewien, że się już nie spełnię.

Co to takiego?

– Miłość. Ale nie będziemy tego wątku rozwijać.

Jeśli pozwolisz, chciałabym jeszcze wrócić do martwych natur. Zachwycające w nich jest to, że opowiadają o czym innym niż to, co przedstawiają.

– Tak jak mówiłem, są to najczęściej poważne traktaty o śmierci i przemijaniu. A przedmioty, które się na nich znajdują, mają znaczenie symboliczne. Ówczesni widzowie do brze wiedzieli, jaka jest ich funkcja.

W ślicznych serach, które malowała na przykład Clara Peeters, które się załęgnać takie samo robactwo, jakie żeruje w ludzkich zwłokach.

Na martwych naturach zwykle przedstawiano produkty spożywcze o krótkim terminie przydatności do spożycia. Często jeden z owoców był też wyraźnie przejrzały. A jeśli mamy bukiety, to niektóre kwiaty w nich już wędgną. To analogie wzięte zresztą z Biblii do ciała człowieka, które po krótkim życiu zgnije, podobnie jak kwiaty i owoce.

Dlaczego ten gatunek uznawano za jeden z niewielu gatunków malarstwa, jakim mogły się zajmować kobiety?

– Nie sądzono bynajmniej, że martwa natura wymaga mniej talentu. Caravaggio powiedział nawet, że do namalowania owocu trze-

ba o wiele większego kunsztu niż do przedstawienia człowieka. Wiązało się to z ówczesną „drabiną bytów”, na której najwyżej stał Bóg, potem aniołowie, potem człowiek, potem zwierzęta, rośliny, a na samym dole przedmioty nieożywione. Uważano, że kobiety – ze względu na swoją niższą pozycję – są uprawnione tylko do malowania tego, co na owej drabinie stało najniżej, czyli właśnie tego, co składa się na martwe natury.

Niedostępne dla ówczesnych malarek były tak zwane storie, czyli wielopostaciowe sceny o charakterze biblijnym, religijnym, mitologicznym i historycznym. Żeby malować tego typu obrazy, trzeba było znać ludzką anatomię, a tej kobiety nie mogły się nauczyć. W pierwszych akademiach i warsztatach uczniowie malowali bowiem akty męskie, przyzwoite dziewczęta na takie rzeczy patrzeć nie mogły.

Owszem, czasami artystki próbowały, na przykład Angelika Kauffmann tworzyła historie, ale zauważ, że u niej mężczyźni są trochę zniewieściali. Widać, że malarka nie do końca wiedziała, jak męskie mięśnie grają pod ubraniem.

Niektóre się wylamywały. Gdzieś tym nagim męskim ciałom miały okazję się długo przyglądać.

– Tak. Na przykład Artemisia Gentileschi. Innym wyjątkiem była malarka, która nie weszła do książki, czego żałuję, a o której przypomniała mi dopiero Anda Rottenberg. To Giulia Lama – wenecka artystka żyjąca na przełomie XVII i XVIII wieku, caravaggonistka i utalentowana matematyczka. Świetnie sobie radziła na ówczesnym rynku sztuki, miała dużo zleceń od kościołów, przez co spotykały ją różne złośliwości ze strony kolegów malarzy. Lama jako pierwsza kobieta zaczęła malować akty męskie. Nie wiemy, gdzie się tego nauczyła. Co ciekawe, o niej też pisano, że jest brzydka, a zdolności rekompensują brak urody.

W rozdziale o martwych naturach piszesz: „Gdy dnie i noce zaczęły się ze sobą mieszać na morfinie, znalazłem sobie inną pociechę: zacząłem doprowadzać swoje i tak już wymuskane mieszkanie do poziomu designerskiej doskonałości. Montowałem przy lampach kable w dopasowanych barwnych bawelnianych oplotach, bejcowiałem i polituowałem pudełka z przegródkami, mające okiełznać nieład w szufladach, skrobałem fugi, aranżowałem, podmalowywałem, woskowałem i porządkowałem. Przy okazji robiłem przegląd dobytek i myślałem, co komu zostawić (...). Skompletowałem wreszcie alzacki serwis i kupiłem stary angielski zegar stojący, o jakim zawsze marzyłem. W końcu zacząłem się zastanawiać nad przyczynami mojego zachowania, które powoli zaczynało przeradzać się w obsesję. Dom zawsze był dla mnie ważny, dawał mi oparcie i nigdy mnie nie zdradził, nic więc dziwnego, że to w nim szukałem ucieczki. Ale było coś jeszcze (...) – nieświadomie uwikłałem się w quasi-artystyczny projekt: tworzyłem wielką martwą naturę albo raczej „still-leven”, czyli ciche, nieruchome życie”. – Nie chodziło bynajmniej o lęk przed śmiercią, ale o poczucie stałości, o zakorzenienie w rzeczywistości – to właśnie dawały mi przedmioty. Są one najbardziej materialną i codzienną stroną życia.

Kolekcjonuję przedmioty, spośród których każdy ma jakąś historię. Można więc powiedzieć, że jestem otoczony opowieściami o innych ludziach.

Zobacz, tu mam na przykład pudeleczko, które kupiłem tylko dlatego, że na odwrocie jest dedykacja: „Dla Czesi, od tatusia i mamusi, 20 lipca 1942 roku”. Nie wiem, kim była Czesia. Wiem tylko, że podczas wojny dostała ten skromny prezent. Wpatrzyłem je w antykwariacie, za 20 zł. Dla mnie to pudełko to ślad po osobie, której już zapewne nie ma, wyraz miłości i troski rodziców. Ale pokażę ci coś jeszcze lepszego: przedwojenny albumik na zdjęcia, z drewnianymi okładkami. Nietypowy, bo zwykle są na

nim górale, a tu mamy krakowiaków. A teraz spójrz na ostatnią stronę. „Jasiowi...” i cała reszta napisu jest wydrapana. Można by spytać: „Jasiu, któż cię tak skrzywdził, że usuwając imię w podpisie, prawie zrobiłeś dziurę w okładce?”. Widać, że siła włożona w wyskrobywanie była ogromna. A może zrobiła to potem zazdrosna żona Jasia?

W środku nie było zdjęć?

– Nie. Zresztą nie sądzę, żeby po takim niszczycielskim akcie zostały się zdjęcia, które mogłyby tę historię jakoś objaśnić.

Czy to, co czujesz do tych przedmiotów, można nazwać miłością?

– Tak, ale równocześnie jest to ucieczka od innych miłości... Mówi się, że osoby, które przykładają emocje do przedmiotów, boją się wiązać je z innymi ludźmi.

To jest bezpieczniejsze?

– Wiesz, chyba zbyt szybko zdałem sobie sprawę z tego, że przedmioty nie robią fochów, nie stosują gaslightingu, nie rozrzucają skarpetek, a ostatecznie nie wybierają sobie innego chłopaka.

Psychologowie próbują tłumaczyć kolekcjonerskie zacięcie na różne sposoby. Wspomina się o potrzebie kontroli i władzy, chęci podkreślenia prestiżu czy zaznaczenia swojej pozycji, natomiast mnie najbardziej przekonują tezy Wernera Muensterbergera zawarte w jego książce z 1994 roku – „Collecting. An Unruly Passion”, czyli „Kolekcjonowanie. Nieokiełznana namiętność”. Dowodził, że zbierackie żądze, pasje i obsesje, przykładanie większej wagi do kontaktu z przedmiotami niż z ludźmi, to tak naprawdę forma wycofania się z życia, przejaw wewnętrznych konfliktów, neuroz, depresji i kompensowania sobie niezaspokojonych potrzeb emocjonalnych.

Pamiętaj też, że ja akurat mogę się poświęcić zdobywaniu ładnych rzeczy, bo jako singiel nie muszę kupić butów dziecku ani gotować mężowi obiadu. Z tym że ten estetyczny luksus ma drugie dno – piękny XVIII-wieczny półmisek z Delft cię jednak nie przytuli.

Stoimy teraz przed biedrmeierowską sekretarą z 1820 roku, wielką i ciężką, która daje „oparcie i iluzję stałości”. Marzyłeś o niej od zawsze, dlatego kupiłeś ją akurat w trakcie choroby?

– W pewnym momencie stwierdziłem, że skoro czasu mogło już zostać mało, to powinienem szybko zacząć spełniać marzenia z listy. Zakochać bym się już nie zdążył, ale mogłem się szarpnąć na wyśniony mebel.

W tabernakulum za zamykanymi na kluczyk drzwiczkami ustawileś swoją martwą naturę: na czerwonej apasce od babki leży wytoczony w drewnie pojemnik na tytoń, fajka, muszle, gałązki koralowca, monety, kobaltowe naczynko i trzy stare małe książeczki.

– To czarny humor. W ten sposób pokazuję swój dystans do śmierci.

Podczas choroby spełniłem jeszcze jedno marzenie – kupiłem stojący angielski zegar z 1840 roku. Jak tylko go wypatrzyłem na OLX-ie, pomyślałem: Tylko ten! Nie wiem, czy widzisz, ale ma zaburzone proporcje. Jest takim freakiem, trochę jak ja.

Na OLX-ie można znaleźć takie skarby?

– Te rzeczy płyną do nas z Zachodu w dużych ilościach i są teraz stosunkowo tanie, bo zaczyna tam wymierać pokolenie ludzi, którzy mieli je w domach, a młodszy spadkobiercy mają inny gust. Przyjeżdża więc ekipa, często z Polski, czyści całe domostwo, rodzina zostawia sobie drobne pamiątki, a reszta jedzie do nas. Mój zegar przyjechał akurat z Danii.

W twoim pokoju wisi 141 portretów, głównie miniatur. Kogo przedstawiają?

– W większości to anonimowe osoby namalowane przez anonimowych artystów. Tylko czasem znam ich tożsamość. Tu na przykład masz portret Petrusa Johanne-

sa Bloma, pierwszego holenderskiego okulisty i jego żony. A z tyłu tej miniaturki pod szkłem widać splecione włosy. Kiedyś noszenie pukla włosów ukochanej osoby było bardzo popularne.

O, ci są fajni, zobacz! To portrety francuskiej pary małżeńskiej z okresu napoleońskiego. Kupiłem je u Jana, zaprzyjaźnionego antykwariusza w Amsterdamie. Informacje o tym, kogo przedstawiają, zostały zamazane, i to dość starannie. Po roku Jan do mnie napisał: „Słuchaj, byłem w tym samym domu w Normandii, gdzie je kupiłem, i znaleźli jeszcze jeden portrecik, chyba ich dziecka, bo podobne. Ale nie wiem, czy go chcesz, bo wygląda jak wampir”. Oczywiście, że chciałem. Gdy się przyjrzałem, uznałem, że chłopczyk miał jakąś niepełnosprawność, być może ciężką skoliozę. Bo w ten sposób się dzieci nie malowało. Został nazwany Wampirkiem i znów sobie wisi z rodzicami.

Co mówią osoby, które po raz pierwszy wchodzą do twojego mieszkania?

– Niektórzy niczego nie zauważają. Inni drwią: „Z babcią mieszkasz?”. A jeszcze inni zachwycają się i mówią, że mam tu muzeum. Ale to nie muzeum. Raczej obraz, którego nigdy nie namaluję. A być może moja najlepsza książka.

Udało mi się tutaj stworzyć spójną narrację – o sztuce i o samym sobie. Dior napisał w autobiografii, że gdy opisujemy ślimaka, musimy też uwzględnić muszlę. W tym mieszkaniu masz mnie całego, zupełnie odsłoniętego.

Jedna z twoich bohaterek – francuska malarka Vigée Le Brun – powiedziała, że malarstwo i życie to dla niej synonimy. A dla ciebie co jest synonimem życia?

– No właśnie tego pytania się bałem... Chyba tracenie.

Sądziłam, że powiesz „praca”.

– Też o tym myślałem, ale to zbyt oczywiste. Może praca i tracenie wszystkiego, w której to „sztuce nie jest trudno dojść do wprawy”, jak pisała Elizabeth Bishop. Choć zdarza mi się też coś ważnego zyskiwać, za co chciałbym ci teraz podziękować.

Mnie? Za co?

– Gdy trzy lata temu widzieliśmy się po raz pierwszy i rozmawialiśmy o mojej książce „Pocztówka z Mokum”, nie skojarzyłem, że to ty przeprowadziłaś najważniejszy wywiad, jaki czytałem w życiu.

Była to historia mężczyzny walczącego o swoją mamę alkoholicką i o siebie. Zmiażdżyła mnie... Plakałem i nie mogłem potem spać. Pozostawiła mnie też z poczuciem winy, że moje życie było łatwiejsze. Ten człowiek stał się moim bohaterem, bardzo chciałem go przytulić i powiedzieć mu, jaki jest dzielny. I wiesz co? Zrobiłem to, w końcu. Poprzez ciąg rozmaitych przypadków poznaliśmy się, a nasze opowieści się spotkały. ●

*Piotr Oczko

- (ur. 1973 r.) anglista i polonista przekwalifikowany na niderlandystę i historyka sztuki.

Doktor habilitowany, profesor zwyczajny w dyscyplinach literaturoznawstwo i nauki o sztuce, laureat licznych nagród, stypendiów itp., itd. Wszystko to traktuje z dystansem, z wyjątkiem jednego wyróżnienia: w 2024 r. za zasługi dla kultury i społeczeństwa holenderskiego otrzymał tytuł i Order Rycerza Oranje-Nassau. Wydał 25 książek, w tym „Pocztówkę z Mokum. 21 opowieści o Holandii” i „Miotłę i krzyż. Kulturę sprzątaną w dawnej Holandii, albo historię pewnej obsesji”. Jego najnowsza książka to „**Suknia i sztalugi. Historie dawnych malarek**”.



Trwająca blisko 200 milionów lat historia ssaków to historia matek

Z CAT BOHANNON
ROZMAWIA TOMASZ ULANOWSKI

Pani książka jest nie tylko wielka – polski przekład ma ponad 600 stron...

DR CAT BOHANNON, ewolucjonistka, neurobiolożka: – Tak mi wszyscy powtarzają. Ale jedna trzecia to przypisy. No i jest w niej mnóstwo żartów.

...ale cieszy się też wielką popularnością. Była na liście bestsellerów „New York Timesa”.

– Zdumiewające, prawda? Książka popularnonaukowa! Pierwsza od przeszło dekad, która wdrapała się na tę listę. Moi wydawcy byli w siódmym niebie.

Czy to nie dziwne? W XXI wieku ludzie potrzebują wykładu o tym, że kobiety różnią się od mężczyzn.

– Wszyscy mamy ciała. Więcej: jesteśmy tymi ciałami. Ale bardzo niewielu z nas wie o tych ciałach – o sobie! – tyle, ile powinno.

Mogę mówić ze swojej, kobiecej, perspektywy. O kobiecym ciele prawie się nie edukuje. W pewnym momencie przeżyłam objawienie, aż zakręciło mi się w głowie: nie tylko nikt mi nic nie powiedział o tym, jak funkcjonuje kobiece ciało, ale do niedawna w ogóle mało na ten temat wiedziano.

W szkole – zamiast edukacji o tym, czym i kim jesteśmy – zarzucano nas zbędnymi encyklopedycznymi informacjami.

– Ciało, szczególnie kobiece, otacza tabu. Częściowo związane z religią. Kiedy moja przyszła mama, wychowana w katolickiej rodzinie, dostała pierwszy okres i poszła po radę do swojej mamy, usłyszała: „Zapytaj siostrę”.

Proszę spojrzeć na większość przekleństw – to albo części ciała, albo słowa związane z czynnościami cielesnymi.

Nie najlepiej to o nas świadczy.

– Ciało nas onieśmiela, sprawia, że czujemy się niepewnie i niezręcznie. Nie jesteśmy pewni, czy wypada o nim rozmawiać. Bo to niby prywatna sprawa. Jeszcze kilka dekad temu brakowało nawet badań naukowych na temat kobiecego ciała. Gdyby wreszcie się nie zaczęły, nie miałabym o czym napisać książki!

W książce „Jak się różnimy? Gender oczami prymatologa” zmarły niedawno prof. Frans de Waal częściowo obwiniał niektóre feministki.

– Frans de Waal był gigantem prymatologii [nauki o ssakach naczelnych, w tym ludziach] i zwyczajnie dobrym człowiekiem. Rozjaśniał mroki niewiedzy.

Zgadza się, niektórym trudno przyjąć do wiadomości, że między kobietami a mężczyznami istnieją biologiczne różnice. Być może dlatego, że one były tak długo w niektórych kulturach wykorzystywane do złego traktowania kobiet. Więc w niektórych kręgach ruchu feministycznego uznano, że są wyolbrzymiane. Bo rzeczywiście były. Tak narodził się seksizm – jedno z najgorszych uprzedzeń w historii ludzkości. Z drugiej strony: różnice biologiczne pomiędzy kobietami a mężczyznami niewątpliwie istnieją.

De Waal porównał seksizm do rasizmu. I podnosił, że przecież nie walczyliśmy z rasizmem, udając, że wszyscy ludzie mają taki sam kolor skóry. Mają różne kolory skóry – i co z tego? Nie ma się czego wstydić. Podobnie nie powinniśmy się wstydić biologicznych różnic pomiędzy płciami.

– To przydatna retoryka, bo trudno się nie zgodzić – choć w moim kraju to teraz dys-



FOT. SARYMSAKOV ANDREY / SHUTTERSTOCK

kusyjne – że rasizm powinien przejść do historii.

Byłabym jednak ostrożna z tym porównaniem z jednego powodu. W przeciwieństwie do rasy, płeć biologiczna naprawdę istnieje. Choć jest bardziej skomplikowana niż prosty układ binarny. Co więcej, różnice biologiczne występują także wewnątrz płci. Pierwszy przykład z brzegu: układ odpornościowy przeciętnej 12-letniej dziewczynki zachowuje się zupełnie inaczej niż układ odpornościowy przeciętnej 30-letniej kobiety czy ciężarnej albo kobiety po menopauzie. Nasza biologia jest bardzo dynamiczna. Zależy nie tylko od wieku, ale i od narządu czy tkanki.

Co ciekawe, wątroba ma wyraźną płeć, z kolei w mózgu płeć jest mniej widoczna. Trzeba nie tylko badać przyczyny tych różnic, ale także o nich mówić. Dzięki temu ludzie będą mniej cierpieć.

Z kolei rasa to zwykły kulturowy wymysł. Realnie nie istnieje. Więcej albo mniej melaniny w skórze to marny biologiczny wyróżnik człowieka. Zresztą ta niewielka różnica pomiędzy ludźmi wyewoluowała bardzo niedawno. Za to płeć biologiczna wyewoluowała bardzo dawno temu.

Płeć kulturowa – czyli gender – to inna sprawa. Obecnie istnieje wokół niej sporo zamieszania. Pojawienie się tej idei to zupełnie nowinka w historii ludzkości.

Nawet nowsza od rasizmu.

– Ludziom się wydaje, że zawsze żyliśmy tak, jak teraz. To złudzenie wynikające z kulturowej krótkowzroczności. Do niedawna ono występowało nawet w antropologii. Naukowcy podglądali współczesne tzw. ludy pierwotne i wyciągali na tej podstawie stuprocentowo pewne wnioski na temat tego, jak ludzie żyli dawno temu. Mało kto wie, że współcześni łowcy-zbieracze często żyją na dawnych polach uprawnych, które zdziczały. Wszyscy jesteśmy do tknięci w jakiś sposób nowoczesnością.

Wie pan, że w dawnej Irlandii celtycy królowie przyjmowali hołd, dając poddanym sutki do possania?

To by się spodobało niektórym współczesnym prezydentom...

– Ludzi naprawdę kręca różne rzeczy. Ale kimże jesteśmy, żeby to oceniać? Z kolei ciała ofiar, jakie dawne społeczności składały z ludzi – ich mumie znajdujemy dziś

Brak wiedzy o kobiecym ciele zagraża nie tylko kobietom i dziewczynkom, ale także mężczyznom i chłopcom

w różnych mokradłach – często były pozbawione sutków. To był symboliczny sposób pozbawienia kogoś królewskiego majestatu albo szansy na takowy.

Nie sądzę, żebyśmy chcieli dzisiaj żyć w którejkolwiek z dawnych kultur. Warto jednak zauważyć, że one nie wpisują się we współczesne pojęcie genderu. Zalecam trochę dystansu do pojęcia płci kulturowej. Skąd mamy wiedzieć, jak wyglądała 300 tys. lat temu, kiedy rodził się nasz gatunek?

Mam wrażenie, że oprócz wojen kulturowych, które się toczą, mamy też wojny, jakie różne kultury wytoczyły biologii. Wielu osobom się wydaje, że żyją eterem. Że nie ma w nich nic oprócz umysłu i kultury. A przecież każdy z nas jest przede wszystkim biologiczną bestią. Nasza kultura to tylko naskórek człowieczeństwa. – Zabawną przywarą ludzkości – oprócz samozadowolenia – jest uporczywy podział na to, co naturalne i nienaturalne w naszych zachowaniach. Jeśli jesteśmy zwierzętami – a jesteśmy, niezależnie od religii każdy jest Homo sapiens – to wszystko, co robimy i wytwarzamy, jest z definicji naturalne. Każde ludzkie zachowanie jest naturalnym zachowaniem zwierzęcym. Oczywiście, nie oznacza to, że wszystko to, co robimy, musi być dobre. „Naturalne” nie oznacza „dobrego”. Pingwiny to nekrofile...

Kimże jesteśmy, żeby je osądzać!

– OK, choć takie zachowania nie są w moim guście.

Warto pamiętać, że kultura się zmienia. Większość z nas zareaguje oburzeniem na zabójstwo noworodka. A w kulturach pierwotnych dzieciobójstwo było normą.

Dychotomiczny podział na człowieka i przyrodę jest fałszywy. Nie dzieli nas żad-

na przepaść. Człowiek jest częścią przyrody. A kultury to wymysł ludzkiego mózgu, jednego z wielu narządów.

Fajną sprawą w byciu świadomym tego wszystkiego jest to, że mamy możliwość wyboru. Którego pawian nie posiada – przynajmniej w tak wielkim stopniu, jak my.

A rzeczywiście mamy?

– (śmiech) Jeśli zaczniemy teraz dyskutować o koncepcie wolnej woli, to nigdy nie skończymy tej rozmowy!

Ponieważ ewolucja wyposażyla nas w olbrzymią innowacyjność, to dała nam też możliwość – coś w rodzaju ekstra uzbrojenia – sprzeciwienia się zwyczajom, którymi kieruje się społeczeństwo, czy nawet sprzeciwienia się presji środowiska naturalnego. Stąd zawsze będzie istniało napięcie pomiędzy potrzebami jednostki a potrzebami grupy.

Człowiek to z natury rebeliant?

– W ten akademicki sposób chciałabym zakończyć dyskusję o wolnej woli. Uważam, że wolna wola rzeczywiście może istnieć.

I w naszej głowie walczą ze sobą różne osobowości, różne potencjalne zachowania?

– Pewnie. Nigdy nie rozdzielał pana żaden wewnętrzny konflikt?

Niestety, rozdzielał.

– No właśnie, to chyba normalny tryb funkcjonowania człowieka. Konflikt to dla nas norma.

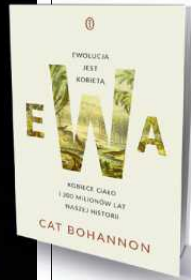
Pani książka nie tylko opowiada o różnicach dzielących płcie biologiczne, ale także podkreśla rolę płci żeńskiej w ewolucji człowieka. O której długo nie chciano wiedzieć.

– W historii ewolucji ssaków samice przedstawiano jako bohaterkę drugiego planu. Rodziła, samce może o nią walczyły, no i co z tego. Tymczasem ewolucja ssaków zaszła w ciele samicy. Potwierdzi to każdy paleontolog. Ewolucja ssaków to historia o tym, co się dzieje w żeńskim organizmie i jak wiele inwestuje on w kolejne pokolenie. Kobiece ciało zostało głęboko ukształtowane przez to, że stało się „domem” dla płodu, a nowo narodzone dziecko wymaga dalszej, długotrwałej opieki, w tym karmienia. Trwająca blisko 200 mln lat historia ssaków to historia matek.

jest kobietą



Może wysokie stężenie
testosteronu
po prostu poprawia
zdolność nawigowania
w złożonych konkurencyjnych
sytuacjach społecznych?



FOT. LARRY D. MOORE



Cat Bohannon

• naukowczyni interdyscyplinarna (zajmuje się psychologią poznawczą, neurobiologią i ewolucją), publicystka naukowa „Scientific American Mind” i „Science Magazine”. Pracuje na Uniwersytecie Columbia. Autorka książki „Ewa. Ewolucja jest kobietą. Kobiece ciało i 200 mln lat naszej historii”, której polskie wydanie w przekładzie Agnieszki Sobolewskiej właśnie ukazuje się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Wydawaloby się, że gruczoły mleczne i macica to oczywiste miejsca, do których należy zajrzeć, żeby przestudiować ewolucję żyworodnych ssaków.

– Jeszcze bardziej zapomnianym narzędziem jest łożysko. Odgrywa ogromną rolę nie tylko w przygotowaniu do ciąży i w samej ciąży, ale i w jej rozwiązaniu. Wydaje się też odpowiedzialne za to, że choroby autoimmunologiczne, których przyczyną jest atak układu odpornościowego na własny organizm, szczególnie atakują kobiety. 80 proc. chorych to one. Przy okazji: samce mają wyjątkowo marny układ odpornościowy.

To my jesteśmy tak naprawdę słabą płcią.

– Zrozumienie tego faktu pomaga nam wyjaśnić mechanizm działania układu odpornościowego. I jak powinniśmy postępować w przypadku posiadania ciała męskiego albo żeńskiego – nie tylko w chorobie, ale i w zdrowiu. To paradoks: brak wiedzy o kobiecym ciele zagraża nie tylko kobietom i dziewczynkom, ale także mężczyznom i chłopcom.

À propos łożyska i jego roli w podkreśnianiu układu odpornościowego kobiet. W książce opisuje pani ciążę jako pole bitwy pomiędzy kobiecym organizmem a organizmem płodu. Tradycyjnie ciążę postrzega się jako stan błogosławiony, a nie wojnę.

– (*śmiech*) Ktokolwiek był w ciąży, wie, że to dziewięciomiesięczna wojna podjazdowo-okopowa. Piszę o tym nie tylko dlatego, że to zabawne – i idzie w kontrze do postrzegania kobiecych ciał jako inkubatorów – ale także dlatego, że taka zmiana perspektywy jest konieczna do zrozumienia tego, czym jest ciąża i macierzyństwo.

Oto dwa organizmy – matki i jej dziecka – konkurują o zasoby. Dla kobiety macierzyństwo jest nie tylko bardzo kosztowne energetycznie, ale jest też ogromnym ryzykiem. W ciąży i w pociu naprawdę bardzo łatwo umrzeć. Weźmy stan przedrzucawkowy, zaburzenie, które pojawia się w ciąży i charakteryzuje się niebezpiecznie wysokim ciśnieniem krwi w organizmie ciężarnej. Czemu ono się podnosi? To manipulacja ze strony płodu, który wtedy dostaje więcej składników odżywczych i tlenu. Matczyny układ odpornościowy próbuje zwalczyć tę manipulację.

Ciążą to wojna podjazdowo-okopowa matki i dziecka. A stan przedrzucawkowy pokazuje, jak jedna ze stron zdobywa teren. I odwrotnie: poronienie to sygnał, że organizm matki katastrofalnie przesadził w samoobronie.

Co z tego wynika? Choćby to, że hipoteza samolubnego genu jest zbyt uproszczonym modelem tego, jak ssące organizmy naprawdę funkcjonują. Zapomina o tym, że instynkt reprodukcji gryzie się z instynktem przetrwania – co widać szczególnie w organizmie samicy.

A więc jak zawsze w życiu: potrzebujemy równowagi?

– Niewątpliwie. Ale walka o równowagę pomiędzy matką a dzieckiem może zakończyć się tragicznie. Można na nią spojrzeć jak na ewolucyjne zmagania o to, kto mniej będzie cierpiał.

Życie naprawdę nie jest usłane różami.

– W Polsce dobrze o tym wiecie.

Niektórzy nasi psychologowie utrzymują, że z przyczyn historyczno-kulturowych w Polsce każdy rodzi się z traumą. To jeden z powodów, dla których mam ograniczone zaufanie do psychologów i wolę uogólnienia biologiczne.

– Ale obie nauki się zazębiają. Tym bardziej, że choć mózg to tylko jeden z wielu narządów, to jego wpływ jest widoczny w całym organizmie.

Wiemy, że geny grają w jednym koncercie z czynnikami środowiskowymi, a traumy potrafią być dziedziczne za sprawą dziedzicznych zmian w ekspresji genów. Potomstwo kobiet, które w ciąży głodują lub są narażone na inny poważny stres, częściej choruje na zespół metaboliczny, cukrzycę typu 2 i otyłość. Większe ryzyko dotyka nawet potomstwo tego potomstwa! Te tzw. zmiany epigenetyczne to fascynujące pole nowych odkryć naukowych.

A więc traumę naprawdę można odziedziczyć. Choć zgadzam się, że słowo „trauma” jest nadużywane i straciło sporo wagi – za bardzo się nad sobą roztkliwiamy – to niewątpliwie zmiany kulturowe kształtują biologię kolejnych pokoleń.

Nasze ciała wyewoluowały, odpowiadając na presję środowiska. Ten taniec wciąż trwa. Człowiek – gatunek, który wyewoluował na afrykańskiej sawannie – daje so-

bie radę i w Arktyce, i na Saharze. Jesteśmy niezwykle plastycznym gatunkiem, łatwo dostosowującym się do presji środowiskowych – na poziomie behawioralnym i głęboko biologicznym.

Skoro już mówimy o wojnie. Co pani sądzi o trwającej obecnie wojnie płci? Nie rażą pani określenia typu „toksyczna męskość”?

– Ono w jakiś sposób pokazuje, że seksizm niszczy i kobiety, i mężczyzn. Ale jest też używane jako broń atomowa – i wtedy zamyka dyskusję. Wszystko zależy od sposobu użycia.

To jak z młotkiem – można go użyć w dobry i zły sposób. Dla mnie „toksyczna męskość” to określenie obraźliwe – i to dla niemal połowy populacji.

– Rozumiem, że można je tak odbierać. Choć wydaje mi się, że ci, którzy używają tego określenia, zazwyczaj nie mają na myśli tego, że toksyczność jest wrodzoną cechą męskości. Chcą raczej wskazać na pewien podzbiór norm kulturowych narzucającym mężczyznom negatywne zachowania i wartości. Choć jasne: dupki są wśród nas, niezależnie od płci. Niektórzy posługują się narracją feministyczną, inni – mizoginiczną. Ale jestem pewna, że większość używających określenia „toksyczna męskość” nie uważa męskości za toksyczną.

Chłopcy i mężczyźni nie są przecież agresywni z natury. A testosteron nie czyni ich przemocowymi.

Uf!

– Agresja, przemoc, toksyczność są związane z kulturą, a nie biologią. Choć testosteron ma złą prasę, to jest tylko hormonem i sam nie odpowiada za gwałty. Wiele dawnych badań pokazujących jego związek z ostrą rywalizacją, agresją i przemocą prowadzono w... więzieniach. Nowsze badania udowadniają, że testosteron ma rzeczywiście związek z takimi zachowaniami, ale tylko tam, gdzie przemoc popłaca. Kiedy jednak stworzymy środowisko, w którym to przyjaźliwość i współpraca popłacają, to okazuje się, że najlepiej funkcjonują w nich mężczyźni z wysokim poziomem testosteronu!

Jak powtarza polski biolog człowieka, prof. Bogusław Pawłowski – jedno z jego badań cytuje pani zresztą w książce

– jeśli nie chcemy, żeby ludzie zachowywali się źle, nie powinniśmy ich stawiać w złej sytuacji.

– Otóż to. Może wysokie stężenie testosteronu po prostu poprawia zdolność nawigowania w złożonych konkurencyjnych sytuacjach społecznych? Ta umiejętność może się ujawniać zarówno w sytuacjach wymagających współpracy, jak i w zachowaniach wykluczających oraz egoistycznych. Wszystko zależy od sytuacji, a także od lokalnej kultury, a nie od cech osobniczych.

Człowieczeństwo to bardziej współpraca niż rywalizacja – podkreśla pani w książce.

– Zdecydowanie. Potrzebujemy przyjaciół. Bez współpracy nasi przodkowie nie przetrwaliby w ekstremalnie trudnych warunkach środowiskowych, w jakich wielokrotnie się znajdowali. To oczywiście dla każdego, kto zajmuje się ewolucją naszego gatunku. Choć ta oczywistość nie przebija się w naszej dzisiejszej kulturze, w której podkreśla się wagę rywalizacji. Jasne, ludzie toczyli, toczą i będą toczyć wojny. Ale wojna nie jest wrodzonym stanem człowieczeństwa. Bez współpracy naszych przodków żadnego z nas nie byłoby dziś na świecie.

Podkreślam choćby ogromną rolę, jaką pełniły pierwsze niezawodowe położne. Poród to u człowieka tak skomplikowana operacja, że wymaga współpracy wielu osób. Podobnie odchowanie dzieci.

„Guardian” opublikował niedawno wyznanie pewnej Ugandyjki, której wydało się, że w Szwajcarii jej macierzyństwo będzie wspaniałym doświadczeniem. A została z nim kompletnie sama.

– Takie historie się powtarzają. Są codziennym kawałkiem chleba w społecznościach imigrantów czy uchodźców. Dla matek to podwójna izolacja. Pozostają zdane same na siebie, bez normalnej sieci społecznej: rodziny, sąsiadek, przyjaciółek.

Nasza kultura izoluje zresztą nie tylko matki, ale nawet ciężarne. Życie kobiet w nowoczesnej cywilizacji jest zaskakująco samotne. I nie trzeba nawet porównywać go do czasów łowiecko-zbierackich. Nasza kultura zmieniła się bardzo szybko. Jeszcze sto-dwieście lat temu macierzyństwo wyglądało zupełnie inaczej. ●



• **Marsz Miliona Serc zorganizowany w Warszawie przez Koalicję Obywatelską (1.10.2023). Wielka mobilizacja przez wyborami parlamentarnymi**

Basil Kerski i jego książka

BĄDŹ PATRIOTĄ, KOCHAJ EUROPE

Przewidział skutki błędnych zmian gospodarczych w Polsce, piętnował nacjonalizm PiS-u. I od dawna ostrzegał przed Putinem

Arkadiusz Gruszczyński

Nadal można marzyć o liberalnej Europie bez nacjonalizmu, z otwartymi granicami i ponadnarodowymi sojuszami. Mylą się ci, którzy próbują nam wmówić, że ideały i wartości demokracji liberalnej skończyły się wraz z ponownym dojściem do władzy Donalda Trumpa i narracją o obronie naszych granic przed uchodźcami.

Jednak stan gry na marzec 2025 r. przedstawia się raczej pesymistycznie.

Prezydent USA realizuje założenia konserwatywnej rewolucji, choć konserwatyzm i rewolucja to określenia z zupełnie różnych porządków. Donald Trump zawieszając powojenny sojusz z Europą Zachodnią. Ustami swego zastępcy oskarża Europę o łamanie wolności słowa i nieliczenie się z wynikami wyborów, nakłada cła na kraje będące od dekad sprzymierzeńcami USA, wstrzymuje pomoc humanitarną finansowaną przez rząd amerykański, grzmi o dwóch płciach, zakazuje osobom trans służby wojskowej i zatrudnia szerzącego dezinformację Elona Muska, najbogatszego człowieka świata, do szukania oszczędności tam, gdzie nie można ich znaleźć.

Prezydent i jego współpracownicy robią to wszystko w ciągu jednego miesiąca, udowadniając, w jak głębokim kryzysie znalazła się elita Partii Republikańskiej, skoro jest zmuszona przejść od radykalnej lewicy metody rządzenia opierające się na przekreślaniu reguł państwa prawa i skoku na instytucje.

Europa wydaje się zagubiona. Premier Donald Tusk przekonuje elity europejskie, że tylko ograniczenie prawa do azylu, zamknięcie granic i wypuszczenie na kontynent wyłącznie szczegółowo sprawdzonych migrantów uratuje Unię Europejską. Te propozycje wywołują sprzeciw obrońców praw człowieka, którzy słusznie podkreślają, że ład prawny ustanowiony po 1945 r. nie dopuszcza dyskryminacji uchodźców i migrantów.

Z kolei wyborcy głosujący na PiS i Konfederację w Polsce, Fidesz na Węgrzech, AfD w Niemczech, Zjednoczenie Narodowe we Francji, Wolnościową Partię Austrii, Vox w Hiszpanii, Braci Włoskich czy SMER na Słowacji wysyłają elitom politycznym jasny sygnał: boimy się skutków migracji, oczekujemy od państwa skuteczniejszej ochrony granic.

Za tymi postulatami kryje się tak naprawdę coś innego: w ostatnich latach wielu ludziom w Europie pogorszyła się jakość życia: ich zarobki stoją w miejscu, a rachunki rosną. Winnymi według narracji populistów mają być uchodźcy.

Zarazem Europa nie jest gotowa na wojnę z Rosją. Nie wierzymy, że jesteśmy w stanie bez pomocy Ameryki skutecznie odstraszać Putina. To szokujące, bo nasza część świata jest relatywnie bogatsza od Rosji, mamy doświadczoną armię, które brały udział w interwencjach w Iraku czy w Afganistanie, ciągle dokupujemy sprzęt.

Jednocześnie takie kraje jak Niemcy są pogrążone w marazmie, ich armia się nie rozwija i jak wskazują eksperci, ich głównym problemem jest rozbudowana biurokracja. Kubel zimnej wody wylał na głowy Europejczyków Trump, wzywając nas do zwiększenia nakładów na wojsko. Dlaczego nie zbroiliśmy się po atakach Rosji na Gruzję i Krym w poprzednich dekadach?

I jeszcze jedna sprawa, która dotyczy naprawy demokracji liberalnej po rządach radykalnej prawicy w Polsce. Konserwatywną rewolucję, za którą u nas odpowiadał obóz Jarosława Kaczyńskiego, można porównać do najnowszego modelu drogiego i szybkiego samochodu, który jest w stanie pokonać trasę z Warszawy do Gdańska w mniej niż dwie godziny. A rządy liberalistów, socjaldemokratów i chadeków to raczej pociąg zatrzymujący się na wszystkich stacjach, dlatego u celu jest stosunkowo późno, ku niezadowoleniu wszystkich pasażerów.

Rozliczenia rządów PiS-u przy zachowaniu wszelkich standardów muszą przebiegać powoli. To frustruje, a poza tym ceny w sklepach nie spadają,



• **Basil Kerski, syn Polki i Irakijczyka, wychowywał się w Gdańsku, potem w Iraku. Później trafił do Berlina Zachodniego. Na własne oczy oglądał upadek muru berlińskiego. Niezła biografia**

kredyty hipoteczne są drogie, rząd nie potrafi uruchomić sensownej polityki mieszkaniowej, w szpitalach nadal czeka się miesiącami na zabiegi, a młodzi ludzie się zastanawiają, czy polska gospodarka będzie kiedykolwiek innowacyjna.

To wszystko skutkuje niepokojami społecznymi, a te przekładają się na chaos, brak poczucia bezpieczeństwa i rozdręganie polityczne.

Każdy szuka więc odpowiedzi i recepty niejako na własną rękę: jedni przekazują władzę pravicowym populistom, inni nadal głęboko wierzą w liberalną demokrację, która cierpi na deficyt liderów z prawdziwego zdarzenia.

Odpowiedzi na pogłębiające się kryzysy można znaleźć w zbiorze esejów „Europejczycy z kantonu Polska” Basila Kerskiego, środkowoeuropejskiego inteligenta, szefa Europejskiego Centrum Solidarności (ECS) w Gdańsku, redaktora naczelnego polsko-niemieckiego pisma „Dialog”.

Kerski jak nikt inny przewidział skutki błędów liberalnych zmian gospodarczych w Polsce, piętnował nacjonalistyczną optykę zaproponowaną przez PiS i dostrzegł niebezpieczeństwo w putinowskiej Rosji.

Biografia Kerskiego jest niezwykła: syn Polki i Irakijczyka (rocznik 1969), przez pierwsze lata wychowywał się w Gdańsku, potem w Iraku, skąd jego rodzina nie była w stanie wyjechać w latach 70.; dekadę później trafił do Berlina Zachodniego, gdzie studiował i na własne oczy oglądał upadek muru berlińskiego.

Kerski wychował się więc w trzech kulturach, poznał na własnej skórze trudny emigracji i ucieczki do demokratycznego świata. Ponad dziesięć lat temu został dyrektorem ECS, dokończył jego budowę, współtworzył wystawę stałą i określił ramy instytucji kultury na miarę XXI wieku.

Nie tylko poglądami prezentowanymi w esejach, ale też praktyką wpisuje się w misję bliską „Kulturze” Jerzego Giedroycia, która opierała się na „zdecydowanym oporze wobec nowoczesnego nacjonalizmu, wobec endeckiej tradycji pojmowania Polski jako narodu etnicznego”. Polska to dla Kerskiego „nie tylko wspólnota pamięci i języka, ale także kultura czerpiąca z wielu źródeł Europy Środkowej i Wschodniej”. Jest patriotą, bo „jako Polak czuje się odpowiedzialny za los nie tylko swojego narodu, ale i całej Europy”.

Cytaty pochodzą z eseju, w którym Kerski opowiada o Giedroyciu i jego misji europeizacji polskiej myśli politycznej. „W wyobraźni wielu Polaków do-

minuje pojmowanie Polski jako narodu etnicznego, a nie obywatelskiego, republikańskiego. Fraze-sami nacjonalistycznymi łatwo mobilizować dużą część Polaków. Słabo rozwinięty jest krytyczny pa-triotyzm, który potrafi z perspektywy mniejszości lub sąsiadów spojrzeć na kulturę polską, na histo-rię” - pisze.

Giedroyc wierzył głęboko - te same poglądy pre-zentuje bohater tego tekstu - że nowoczesny naród polityczny można zbudować wyłącznie w odniesie-niu do horyzontalnego spojrzenia na własne dzie-je i losy najbliższych sąsiadów, a Polacy jako społe-czeństwo w pierwszej kolejności powinni się roz-wijać, bazując na silnych instytucjach publicznych, krytycznym stosunku do historii i odpowiedzial-nej edukacji.

I jeszcze: Giedroyc wraz ze współpracownikami opracował koncepcję ULB, która zakładała postrze-ganie niepodległości Ukrainy, Litwy i Białorusi jako fundamentu bezpieczeństwa suwerennej Polski.

Te rozważania są nie tylko aktualne i dzisiaj, kie-dy ważą się losy niezależnej Ukrainy, ale też klu-czowe dla zrozumienia, co wydarzyło się w Polsce od 2015 r. Dziesięć lat temu alt-prawicowy PiS prze-jął w kraju pełną władzę, dewastując potem wymiar sprawiedliwości i dobrą wcześniej opinię Polski za granicą, zawierając sojusze z antydemokratycznymi siłami politycznymi.

Jarosław Kaczyński i wskazani przez niego pre-mierzy, ministrowie, prezydent kraju, sędziowie, pre-zezi mediów publicznych skłócili nas z Ukrainą, choć odzyskali na krótko twarz po wybuchu wojny na Wschodzie, mieli za nic relacje z Niemcami, próbo-wali ograniczać działalność mediów, przejmowali in-stitucje kultury, dotowali bliskie sobie organizacje.

Kaczyński zatem jest antytezą Giedroycia, choć paradoksalnie to właśnie w ciągu ośmiu lat rządów PiS-u w Polsce powstało realne i skuteczne społe-czeństwo obywatelskie, naród polityczny, o którym marzył szef paryskiej „Kultury”.

Jednym z mechanizmów silnej polaryzacji poli-tycznej jest jaśniejsze zdefiniowanie własnych po-glądów. A więc ci, którzy przed 2015 r. nie mie-li żadnej opinii na temat wymiaru sprawiedliwości, nie wspierali niezależnych mediów i nigdy nie by-li na proteście w obronie demokracji, w trakcie rzą-dów Kaczyńskiego nabrali politycznej dojrzałości. Choć wolelibyśmy przejść inną drogę, spokojniejszą, związaną z edukacją obywatelską i rozwojem samo-rządności.

Spójrzmy, jak Kerski na wiele lat przed wybuchem pełnoskalowej wojny w Ukrainie pisał o Rosji Puti-na. Według niego rosyjski prezydent „od lat testu-je solidarność Europy. Jego polityka energetyczna dzieli Europę, jego finansowe i polityczne wsparcie dla populistów osłabia zachodnie demokracje, a je-go wojny na Ukrainie, w Gruzji i Syrii obnażają nie-konsekwentne postawy europejskich demokracji”.

Szef ECS pisał te słowa w 2021 r. Sześć lat wcze-sniej notował: „Wielu polityków i publicystów [nie-mieckich] myli politykę odprężenia z bezkrytycz-ną postawą wobec Moskwy. Znów można usłyszeć o uzasadnionych sferach wpływów na Wschodzie”. Autor „Europejczyków...” widział więc wyraźnie zagrożenie, jakie niesie za sobą imperialna polityka Putina, i krytykował naiwną postawę Niemców wobec Rosji. Już po wybuchu wojny w Ukrainie z rozgory-czeniem pisał, że „niemiecka opinia publiczna latami bardziej martwiła się skutkami rozszerzenia NATO na wschód niż rozszerzenia Gazpromu na zachód”.

Idźmy dalej: współcześni liderzy zachodniej Eu-ropy dziwią się Trumpowi, który zawiesza powo-jenny układ o wzajemnej współpracy pomiędzy USA i Europą, który przez 80 lat działał bez zarzu-tu. Jednocześnie ci sami liderzy chcą zawiesić świę-te prawo do azylu, które przecież leżało przez 80 lat u podstaw wartości europejskich. Europa wyróż-niała się do tej pory nie tylko powszechnym dobro-bytem, jakością usług publicznych, rozbudowanym państwem opiekuńczym, konkurencyjną gospodar-ką i przestrzeganiem zasad demokracji, ale też po-szanowaniem praw człowieka. Także tym do azylu.

Politycy mówią tak: zdajemy sobie sprawę z po-wagi sytuacji, wielu migrantów nielegalnie przekra-czających nasze granice nadużywa tego prawa, lu-dzie się niepokoją, głosują więc na populistów.

Jednak europejska gospodarka potrzebuje mi-grantów, zwłaszcza w kontekście ostatnich proble-mów ekonomicznych na kontynencie. Jednocześnie wielu migrantów nie chce się asymilować, mieszka w gettach, umyka służbom.

Gdzieś zatem popełniono błąd. Zlokalizowałbym go w słabych strukturach administracji publicznej,

która sukcesywnie od lat 80. XX wieku była rozmon-towywana w imię zasady „taniego państwa”, choć dzisiaj potrzebujemy państwa silnego, a nie z kar-tonu.

To tylko jedna, administracyjno-polityczna stro-na problemu z migracją. Inną jest wspólnota war-tości zachodniej Europy. Kerski przypomina w ese-jach o wielokulturowym charakterze Europy o ge-scie Angeli Merkel, która w 2015 r. przyjechała w Niem-czech setki tysięcy uchodźców z Bliskiego Wschodu. Przeciwstawia tę gościnność antymigracyjnej polity-ce prowadzonej przez rząd PiS-u.

Kerski wielokrotnie pisze o solidarności jako idei, która mogłaby odnowić polskie społeczeństwo. Skoro udało się w 1980 r., dlaczego nie miałoby

„Już po wybuchu wojny w Ukrainie Kerski z rozgoryczeniem pisał, że „niemiecka opinia publiczna latami bardziej martwiła się skutkami rozszerzenia NATO na wschód niż rozszerzenia Gazpromu na zachód”

dzisiaj? Troska o życie każdego obywatela, każ-dej, nawet najmniejszej wsi, uczniów z terenów wykluczonych przemysłowo, matek samotnie wy-chowujących dzieci, pracowników call center, za-rabiających najniższą krajową nauczycielek po-winna być wpisana na listę najważniejszych za-dań państwa.

Żeby jednak nieco bardziej skomplikować ob-raz, warto posłużyć się obrazową opowieścią o tym, że dokładnie w 1990 r. powstała sieć www, a Pol-ska otrzymała skrót „.pl”. I jak zauważa Kerski, w 1989 r. „nałożyły się dwie rewolucje, podobnie jak po 1789 r., kiedy rewolucja oświeceniowa spotkała się z procesem wczesnej industrializacji”.

36 lat niecodziennego rozwoju gospodarcze-go jest faktem. Jednocześnie „na podstawie ideałów i nadziei zbudowano po wojnie w Europie Zachod-niej społeczeństwa i gospodarki narodowe, które niestety w ostatnich 30 latach zostały osłabione nie tylko przez wyzwania globalizacji, zły stan finansów publicznych, gwałtownie postępującą racjonalizację pracy czy problemy demograficzne, ale także przez złe rozumiany liberalizm”, zauważa już w 2012 r. Kerski. A rok wcześniej zwraca uwagę na „trudną fa-zę wchodzenia w gospodarkę rynkową”.

Te same emocje doskonale odczytał Kaczyński w trakcie drugiego rządu Donalda Tuska; pewnego rodzaju niecierpliwość społeczną, a nawet poczucie niesprawiedliwości widzieli też intelektualści i ar-tyści.

Polska odsunęła alt-prawicę od władzy, wydaje się jednak, że nadal mamy zbyt mało demokratycz-nych bezpieczników, które mogłyby chronić nasz system polityczny przed niebezpiecznymi rewolu-cjonistami. Środowisko sędziowskie zaproponowa-ło mądry sposób wyboru sędziów Trybunału Stanu, który zakłada ponadpartyjne porozumienie w ła-wach sejmowych.

Przed przejściem przez jedną opcję polityczną sterów w mediach publicznych może chronić nie-naruszalna rada powiernicza, która decydowała-by o kierunkach rozwoju TVP i Polskiego Radia. Za świadomość społeczną mogą odpowiadać bibliote-ki i domy kultury we wszystkich gminach w kraju. Te jednak powinny być hojnie dotowane przez państwo. Tak samo hojne powinny być dotacje dla szpi-tali i szkół, a redystrybucja środków do najuboż-szych nadal może iść za standardami europejskie-go stylu życia.

Skomplikujemy ten obraz jeszcze bardziej. Ker-ski zauważa:

„To, co dziś generuje nastroje antydemokra-tyczne, prawicowo-populistyczne i ksenofobiczne, w mniejszym stopniu wynika z niezadowolenia z go-spodarczych i społecznych konsekwencji postkomu-nistycznej transformacji. Skrajne postawy politycz-ne wywołuje raczej chęć ochrony przed zmianami cywilizacyjnymi, które okazały się bardziej radykal-ne, niż oczekiwano.

Na Zachodzie dystans do nowych Europejczy-ków, tęsknota za starą, mniejszą Europą Zachodnią, jest paliwem dla nowego radykalizmu politycznego. Z kolei na Wschodzie jego źródłem jest kultywowa-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Żenia Berkowicz*

Dzień Walentego zbliża się do końca.
Kobiety stoją na placu milcząco.
Bajkowy widok z okna kwarantanny.
Śnieg nieforemny wolno z nieba leci.
Za parę sekund całkiem plac zamiecie.
Dzień zakochanych.

O moje serce, z bólu nie oszalej.
Tym, którzy są tam w nieprzejrzanej dali,
Po prostu nic się w tej chwili nie stanie.
Paranoiku mój i drogi łgarzu,
To nie ostatni luty w kalendarzu,
Mój ty pacanie.

To jeszcze przecież wyroku nie koniec.
W notesie jeszcze tyle pustych stronic,
Białych jak śnieg pod rozdeptanym niebem.
O moje serce, to scena filmowa,
Kobiety na dnie kładą się bez słowa
Razem ze śniegiem.

Niebo zasnute jest powłoką szarą,
Chmura się wlecze jak nabity parą –
Bajkowy widok z pustej studni ciemnej.
Rok nieforemny z nieba leci z lekka.
Dzień Walentego kończy się i czeka.
Nienadaremnie.

14.02.2025

KOLONIA KARNA PRIBIEŻNYJ

przeł. Zbigniew Dmitroca



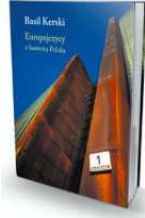
***Żenia (Jewgienija) Berkowicz** – ur. w 1985 r., rosyjska reżyserka, dramaturżka i poetka. Od pierwszego dnia aktywna przeciwniczka napaści Rosji na Ukrainę, autorka popularnych w mediach spo-tęcznościowych wierszy. W maju 2023 r. władze wytoczyły jej sprawę karną w związku z wyreży-serowanym przez nią spektaklem o kobietach, które wirtualnie wychodzą za mąż za radykalnych wyznawców islamu i emigrują do Syrii. Wraz ze Swietła-ną Pietrijczuk, autorką sztuki, została aresztowana za „usprawiedliwianie terroryzmu”. W 2024 r. obie zostały skazane na sześć lat łagru.

FOT. ANNA SHMITKO

ny przez prawicowych populistów dystans do wielo-kulturowej, kosmopolitycznej części Europy”.

Eseje Kerskiego pozytywnie zaskakują. W dobie szybkiej publicystyki, cynicznie uprawianej polity-ki, która wyrasta nie z wartości, tylko z badań opinii publicznej, telewizyjnych przepychanek słownych, dyskursu politycznego spowodowanego do krótkich wpisów w serwisach społecznościowych, 440 stron pogłębionych esejów to zupełnie inna jakość. Ta książka to zaproszenie do debaty o sprawach klu-czowych.

Politycy czytający Kerskiego muszą jednak pa-miętać o tym, co napisał Adam Zagajewski o Euro-pie jako wspólnocie literackiej: „Lubują się w sło-wach, ale gdzie pozostają czyny?”. ●



Basil Kerski,
„Europejczyki z kantonu Pol-ska”, Austeria 2024

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów nie-zamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Macio-rowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFIKY: Paweł Kapusta,
Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada,
Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski,
Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Dominik Gajda

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Porwania były nieuniknione

**Gdyby ich nie było,
Polacy nie byłoby tymi Polakami, jakimi się stali.**

ROZMOWA Z **PROF. RICHARDEM BUTTERWICKIEM-PAWLIKOWSKIM**, GŁÓWNYM HISTORYKIEM MUZEUM HISTORII POLSKI

MIROSLAW MACIOROWSKI: Co pan robi w Muzeum Historii Polski jako jego główny historyk?
PROF. RICHARD BUTTERWICK-PAWLIKOWSKI*: Najogólniej mówiąc, doradzam. Pomagam dyrektorowi prof. Marcinowi Napiórkowskiemu w opracowaniu strategii, reprezentuję Muzeum na zewnątrz, na międzynarodowych konferencjach naukowych i różnych forach.

Pomagają w tym mój angielski i kontakty w świecie nauki. Uczestniczę w wypracowaniu otwartej wizji opowieści o historii Polski, przede wszystkim pozytywnej, przeznaczonej zarówno dla Polaków, jak i cudzoziemców.

Jak to wypracowywanie wygląda?

– Dam przykład: wyobraźmy sobie historię Polski jako pole wyznaczone przez dwie osie: na jednej jest sukces i duma, a na drugiej porażka i wstyd. Polska martyrologia to pole dumy i porażki, polskie samobiczowanie to pole klęski i wstydu. Najmniejsze mamy pole sukcesu i wstydu, inaczej niż Anglicy,

którzy wiedzą, że rewolucja przemysłowa była wielkim sukcesem, ale jednocześnie ubolewają nad wyczyszczeniem podczas jej trwania.

Takiego ujęcia bardzo brakuje w dziejach Polski. Może wpisuje się w to jedynie budowa państwa Mieszka I 90 Bolesława Chrobrego, którego potęgę powstała częściowo na handlu niewolnikami.

Moim zdaniem najwięcej w opowieści o polskiej historii powinno być połączenia sukcesu i dumy. Ale – podkreślę to – w nieprzesadny sposób, bo wtedy nie będzie to wiarygodnie. Wszystkiego musi być po trochu i mam nadzieję, że uda nam się osiągnąć równowagę. Uważam, że nawet w niesprzyjających okolicznościach Polacy mieli osiągnięcia i sukcesy, które cieszyły i były źródłem inspiracji dla następnych pokoleń, także w naszych czasach.

Chyba trudno będzie taki przekaz uwiarygodnić, Rzeczpospolita Obojga Narodów nie jest przykładem sukcesu. Czym się tu inspirować?

– Nie jest!?

No nie jest, skoro upadła.

– Protestuję przeciw określeniu „upadła”. Została zniszczona, a to diametralna różnica.

Dobrze, niech będzie. Ale skoro tak się stało, to znaczy, że nie miała siły, by się obronić. A przecież to sami Polacy i Litwini doprowadzili do tego, że inni mogli unicestwić ich państwo?

– Tak, ale te oskarżenia, jeśli już je formułujemy, należy kierować do pokoleń, które żyły w Rzeczypospolitej między drugą połową XVII wieku do połowy wieku XVIII. Natomiast później, w niesłychanie już trudnych okolicznościach międzynarodowych, dokonała się autentyczna odnowa: społeczeństwa, narodowej kultury, a także państwa, generalnie można powiedzieć – wspólnoty. To była odnowa w duchu kołłątajowskim.

Co to znaczy? W swoich książkach, także ostatniej „Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733-1795)” poświęcił pan

Kołątajowi sporo miejsca, co oczywiste, bo był jedną z emblematycznych postaci tej epoki. Ale nie zawsze z pana ocen bije entuzjazm, a za postępowanie w ostatnich chwilach istnienia państwa raczej pan go nie oszczędza.

– Hugo Kołątaj to niezwykle ciekawa postać, eks-cytująca właśnie dlatego, że jest tak złożona. Miał mroczne, ale i jasne oblicze. Po ciemnej stronie był jego charakter: oportunizm, osobiste ambicje, chęć dyrygowania sprawami państwa i innymi ludźmi, a także mściwość. Próby przerzucania winy za porażkę w wojnie w obronie Konstytucji 3 Maja (1792) na nieszczęsnego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, chluby mu nie przynoszą. Także postawa w czasie insurekcji kościuszkowskiej, gdy podburzał ulicznych radykałów.

Ale Kołątaj był jednocześnie jednym z największych Polaków tamtych czasów – tęgi umysł, świetne pióro. Pełnił ważną rolę w dobie Sejmu Czteroletniego, wraz z królem i Ignacym Potockim współtworzył Konstytucję 3 Maja. Przede wszystkim był jednak, jak byśmy dziś powiedzieli, wizjonerem. Jego myśl wybiegała daleko poza czasy, w których żył. Kołątaj przewidywał, jak Rzeczpospolita może ewoluować w XIX wieku pod względem gospodarczym, społecznym i politycznym. Twierdził, że bycie pełnoprawnym obywatelem państwa nie może już w tym stuleciu zależeć wyłącznie od urodzenia, lecz od własności, talentów i wykształcenia. Jego gospodarcze poglądy z dzisiejszej perspektywy można określić jako liberalne. Uważał, że zmieniać się stosunki własnościowe, a co za tym idzie, społeczne.

W majątkach ziemskich będą obowiązywały czynsze, zniknie pańszczyzna, powstanie rzesza dobrze prosperujących, bogatych chłopów, u których zatrudnienie znajdą biedniejsi włościanie, wytworzy się klasa robotnicza. Miał też pomysł, jak łączyć w jedną wspólnotę ludzi różnej wiary, języka i obyczajów.

Kołątaj uważał, że po reformach Sejmu Wielkiego i wejściu w życie Konstytucji 3 Maja Rzeczpospolita ma szansę na dynamiczny rozwój.

W XIX wiek wejdzie jako żywe państwo, które przyciąga migrantów: z jednej strony chłopów uciekających z imperium rosyjskiego przed uciskiem i werbunkiem do wojska, a z drugiej mieszczan, którzy przybędą do Polski z horrendalnie opodatkowanych i przeregulowanych miast austriackich i pruskich.

To jest właśnie perspektywa rozwojowa w duchu kołątajowskim. Kładę na nią nacisk w mojej książce. Nowa rzeczywistość Rzeczypospolitej tworząca się pod koniec XVIII wieku jest kluczowym argumentem w dyskusji o potencjale kraju i ogromnych szansach na dobrą przyszłość, na gruntowne przeobrażenia dokonywane na drodze pokojowej, na uznanie obywatelami wszystkich mieszkańców kraju bez względu na pochodzenie społeczne, wiarę, przynależność kulturową czy etniczną.

Brzmi krzepiąco, ale jednak jeszcze raz przypomnę, że finał Rzeczypospolitej Obojga Narodów był smutny, wręcz kompromitujący dla elit, które nią rządziły.

– A ja jeszcze raz podkreślę, że oskarżenie powinniśmy formułować nie w stosunku do ostatnich pokoleń Rzeczypospolitej, tylko do tych żyjących sto czy sto kilkadziesiąt lat wcześniej.

Byt Rzeczypospolitej został brutalnie przecięty, więc jej koniec rzeczywiście był smutny. Jednak apeluję, by nie mylić ofiary ze sprawcą. Zniszczenie polskiego państwa przez kraje ościenne było właśnie reakcją na jej odnowę, na wielką szansę odbudowy i modernizacji w duchu oświeceniowej nowoczesności. Ale w tamtym momencie większa siła była nadal po stronie monarchii absolutnych – Rosji, Prus i Austrii. Natomiast wspólnota republikańska, jaką była Rzeczpospolita, dopiero zaczynała wydobywać się z kryzysu i wkraczać na drogę rozwoju.

Jeden z najwybitniejszych polskich historyków Władysław Konopczyński w wydanych w latach 30. XX wieku „Dziejach Polski nowożytnej” wyliczył przyczyny upadku Rzeczypospolitej. Umieścił tę – powiedzmy – oskarżycielską część książki na panowaniu Augusta III. Tego, co działo się później, do tych przyczyn już nie zaliczył. Zgadzam się z nim.

Warto zwrócić uwagę na niektóre liczby. Na przykład ludność Rzeczypospolitej zmniejszyła się z około 12 mln w połowie XVII wieku do najwyżej 7 mln w latach 20. XVIII wieku, w dużej mierze za sprawą wyniszczającej wojny północnej (1700-1721). Tymczasem w czasie pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku, czyli pół wieku po tej wojnie, populacja Rzeczypospolitej znów przekroczyła 12 mln. W tym czasie nastąpił więc skok demograficzny, co dowo-

◀ **Prof. Richard Butter-wick-Pawlikowski**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

dzi poprawy sytuacji gospodarczej. Oczywiście taki silny wzrost liczby ludności ma swoje konsekwencje, jak choćby ubóstwo w niektórych warstwach, ale przede wszystkim świadczy to o rozwoju.

Jesteśmy przyzwyczajeni do utyskiwania, że Polska to biedny kraj, z którego przez cały XIX i XX wiek wyłącznie się uciekało i dopiero teraz, w XXI wieku, ten trend się odwrócił. Tymczasem do końca XVIII wieku Rzeczpospolita, tak jak chciał Kołątaj, przyciągała imigrantów.

Nie obawia się pan, że Muzeum oberwie za takie nastawienie? Już widzę zarzuty o propagandę sukcesu.

– Z całą pewnością oberwiemy. Dla jednych będzie za mało tego, a za dużo tamtego, dla innych – odwrotnie. Jedni powiedzą, że to ujęcie zbyt hurrapatriotyczne, inni, że nazbyt krytyczne. Nie boję się takich zarzutów i dyskusji o ekspozycji. Toczą się one na całym świecie przy okazji otwierania muzeów mających ogólnonarodowy charakter.

Nie da się zadowolić wszystkich, a już na pewno nie ludzi o skrajnych poglądach. Będziemy więc starać się spełnić oczekiwania przede wszystkim tych ze środka. Wiemy, że nie mają oni łatwo w epoce wojen polsko-polskich, ale naszą intencją jest zrobić taką wystawę, by z satysfakcją mogła ją obejrzeć jak najszerza część polskiego społeczeństwa. Taka była zresztą od początku idea poprzedniego dyrektora Muzeum Roberta Kostry.

A nasze gorące spory dotyczące najnowszej historii: o antysemityzm, postawę wobec Żydów w czasie II wojny światowej, działalność żołnierzy wyklętych? Da się o nich opowiedzieć w sposób satysfakcjonujący wszystkich?

– Te tematy oczywiście będą na wystawie stałej, nie unikniemy drażliwych kwestii. Zwiedzający dowiedzą się o tym, co wydarzyło się w Jedwabnem i o pogromie kieleckim.

Tylko na pewno nie zdominują one narracji. Przesłanie wystawy stałej nie może być pretekstem do zbiorowego samobiczowania. Dzieje Polski miały różne momenty, lepsze i gorsze, ale tych lepszych by-

ło znacznie więcej. Dlatego moim zdaniem największy nacisk powinniśmy położyć na część poświęconą sukcesom i dumie.

Ale przypomnę, że wystawa to efekt długoletniej pracy wybitnego zespołu, w którym znaleźli się ludzie o odmiennych poglądach i wrażliwościach. Przypomnę też, że koncepcja wystawy stałej była konsultowana i akceptowana przez kolejne Rady Muzeum. A zasiadali w nich ludzie wywodzący się z różnych środowisk naukowych i politycznych. Zasiadają w niej m.in. prof. Andrzej Friszke czy prof. Marcin Zaremba, ale mieliśmy też prof. Andrzeja Nowaka czy prof. Wojciecha Roszkowskiego. Najwybitniejsi polscy historycy i muzealnicy przez kilkanaście lat dyskutowali o ekspozycji, a ich poglądy – używając pięknego staropolskiego terminu – uciierały się, by osiągnąć kompromis. Nad równowagą czuwa przewodnicząca rady prof. Jolanta Choińska-Mika.

Gdyby miał pan wybrać najważniejsze wątki wystawy stałej, to ma pan taki swój top?

– To nie jest mój top, tylko praca całego zespołu. Ludzie, którzy projektują wystawę są niezwykle fachowi i kreatywni, więc nie przypiszę sobie chwały, która słusznie im się należy.

Na wystawie stałej, która wciąż się tworzy, będą trzy motywy przewodnie: wolność, tożsamość i cywilizacja. Ten ostatni motyw dotyczy zmian cywilizacyjnych na przestrzeni wieków. Moim zdaniem najważniejszym wyzwaniem jest odpowiedź na pytanie: co buduje polską tożsamość? Kluczowy jest tu wątek wolności. Przez całą, ogromną przestrzeń wystawy przebiegać będzie właśnie oś wolności. Znajdą się na niej najważniejsze momenty w jej polskich dziejach. Na przykład wydanie przywileju: *Neminem captivabimus nisi iure victum* (łac. nikogo nie uwięzimy, chyba że prawnie zostanie zasądzony) [przywilej nietykalności osobistej szlachty wydany przez Władysława Jagiellę – red.], czyli wolność wybitnie indywidualna, wyrażająca się w zasadzie, że władza nie może bezkarnie gnębić człowieka i wsadzić go do więzienia bez sądu.

Będzie dużo na temat wolnej elekcji króla, co oczywiście budziło spore kontrowersje. Profesor Zo-



Na wystawie stałej nie unikniemy drażliwych kwestii. Zwiedzający dowiedzą się o tym, co wydarzyło się w Jedwabnem i o pogromie kieleckim. Tylko te tematy nie zdominują one narracji. Przesłanie wystawy nie może być pretekstem do zbiorowego samobiczowania

fia Zielińska z Uniwersytetu Warszawskiego uważa na przykład, że wolna elekcja to jedna z przyczyn słabości państwa, więc nie powinna być nadmiernie eksponowana. Ale to przecież ważny element ustroju Rzeczypospolitej, polska specyfika, więc mimo wszystko zapadła decyzja, że należy opowiedzieć o elekcji głowy państwa.

Uchwalenie konfederacji warszawskiej (1573). Ale chodzi tu nie tyle o kwestię tolerowania mniejszości religijnych przez większość katolicką, lecz o ugodę i pokój między obywatelami, którzy różnią się w wierze. To ważna lekcja w epoce współczesnych wojen polsko-polskich.

Kolejny kluczowy moment to zawarcie unii lubelskiej, czyli dobrowolne połączenie wspólnot: wolnych z wolnymi i równych z równymi. I w końcu Konstytucja 3 Maja, która próbowała łączyć obie koncepcje wolności – indywidualną i wspólnotową.



Muzeum Historii Polski to największa polska placówka muzealna. Ma prawie 45 tys. m kw. powierzchni, z czego na wystawy - stałą i czasową - przeznaczono prawie 9 tys. m kw. W gmachu znajduje się 800 pomieszczeń na czterech kondygnacjach FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

► **Kule armatnie – fragment wystawy czasowej z 2024 roku „Zaginiony w Potopie. Królewski pałac Villa Regia”**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Niezwykle istotna jest ta relacja między wolnością jednostki a wolnością wspólnoty. Bez wolności wspólnoty nie ma wolności jednostki. Z pewnością nie było wolności wspólnoty pod rządami caratu, więc ważnym motywem wystawy będą powstania. A potem fundamentalne wydarzenia XX wieku, w tym oczywiście Sierpień '80 i Solidarność.

Spór o sens polskich powstań trwa od pokoleń i raczej nigdy się nie skończy. W międzywojniu ich kult stanowił ważny element polityki historycznej, za czasów PRL tradycja powstańcza też była silnie obecna w podręcznikach szkolnych. Chyba dopiero współcześnie powstania zaczęły być otwarcie kontestowane, ale i także żarliwie bronić. Jedni twierdzą, że były potrzebne, bo mimo ofiar stworzyły naszą tożsamość, inni argumentują, że były zbrodnią na narodzie, bezsensowną daniną krwi. Argumentują, że inne zniewolone narody nie wywoływały powstań, a przetrwały. Jak pan patrzy na tę kwestię jako historyk naszych dziejów, ale jednak Brytyjczyk? – Gdyby nie było powstań, Polacy nie byli tymi Polakami, jakimi się stali. Można sobie oczywiście wyobrazić Polaków podobnych na przykład do Czechów, którzy oczywiście przetrwali jako naród i stworzyli bogatą kulturę bez powstań. Ale takie porównania nie mają sensu.

Powstania są tak mocno zrośnięte z polskością, że nie da się tego już rozerwać, ich tradycja jest składnikiem narodowej tożsamości. Były, bo musiały być. Nikt przecież w 1831 roku nie hamletyzował: bić się czy nie bić. Nikt nie szukał alternatywnej drogi. Powstania jawiły się ludziom po prostu potrzebne, ponieważ rzeczywistość, w jakiej żyli, uważali za nie do zniesienia. Przecież wystarczyło zaledwie kilku podchorążych, żeby wznieść powstanie listopadowe, do którego przylączyła się zarówno armia, jak i lud, a nawet zadeklarowani przeciwnicy walki. Książę Adam Jerzy Czartoryski uważał, że powstanie to szaleństwo, a mimo to zdecydował, że nie może stanąć z boku – skoro walka się zaczęła, trzeba walczyć, nawet wbrew logice.

Owszem, jedynie powstanie wielkopolskie w 1918 roku, gdy Polacy ruszyli do walki w tak sprzyjających warunkach międzynarodowych, że zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki uznaje się, za w pełni

Zwiedzanie Muzeum Historii Polski nie może być pretekstem do zbiorowego samobiczowania. Dzieje Polski miały różne momenty, lepsze i gorsze, ale tych lepszych było znacznie więcej

***Prof. Richard Butterwick-Pawlikowski**

• Ur. 1968, od 2022 roku główny historyk Muzeum Historii Polski. Zajmuje się dziejami Polski i Litwy, głównie w XVIII wieku.

Profesor na Uniwersytecie Londyńskim, studiował w Cambridge, doktoryzował się w Oksfordzie, wykładał na Queen's University Belfast i w School of Slavonic and East European Studies na University College London. W latach 2014-20 oraz od 2023 r. szef katedry Cywilizacji Europejskiej w Kolegium Europy w Natolinie.

Dziadek profesora po udziale w kampanii wrześniowej w 1939 roku przez Węgry, Jugosławię i Francję dotarł do Wielkiej Brytanii, gdzie ożenił się z Angielką i został

po wojnie. Prof. Butterwick-Pawlikowski zainteresował się polską historią w latach 80. XX wieku pod wpływem przełomowych wydarzeń – rewolucji Solidarności, a potem przełomu 1989 roku. Pierwszy raz na dłużej do Polski przyjechał w 1987 roku. Wtedy podjął decyzję, że nauczy się polskiego i będzie się specjalizował w polskiej historii.

Jego najważniejsze książki to: „Stanisław August a kultura angielska” (2000), „Polska rewolucja a Kościół katolicki 1788–1792” (2012), „Konstytucja 3 Maja. Testament Rzeczypospolitej Obojga Narodów” (2021), „Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733-1795)” (2022). ●

zwycięskie. Można dodać do tego jeszcze śląskie, które zaowocowały przyłączeniem większej części Górnego Śląska do Polski i tzw. pierwsze powstanie wielkopolskie (1806), które przyczyniło się do powstania Księstwa Warszawskiego.

Wszystkie inne zrywy zakończyły się klęskami, a konsekwencje za każdym były razem straszne. A mimo to stawały się inspiracją do kolejnych zrywów. Dlatego twierdzą, że były nieuniknione.

Oczywiście bez powstań polskość też by jakaś była, ale zupełnie inna. Nie wiem jaka, ale czy na pewno lepsza? Nie da się Polaków rozumieć bez tradycji powstańczej. Nawet kiedy się przeciwko niej buntują, krytykują ją, spierają o sens tych zrywów, to tylko pokazuje, jak silnie to w nich siedzi, jak głęboko jest zakorzenione i jak wpływa na ich tożsamość.

W sierpniu otworzymy wystawę tymczasową pod tytułem „Rzeczpospolita powstańcza. Insurekcja kościuszkowska i jej tradycje”, której jestem współkuratorem. Pokażemy te powracające niemal w każdym pokoleniu dylematy i będziemy o nich dyskutować.

Historia od lat jest nadmiernie obecna w polskiej polityce. Anglicy czy Francuzi w walce o władzę nie posługują się tak mocno sporami o przeszłość?

– Nie, ale mam wrażenie, że w Anglii – bo inaczej jest w Szkocji czy w Walii, gdzie też obowiązują narodowe narracje – króluje swego rodzaju antyhistoria. Nie wypada pokazywać tego, co dobre, tylko próbuje się na skutek różnych nacisków eksponować przede wszystkim błędy przeszłości i nieszczęścia. Okazuje się, że historyczne sukcesy kraju są bardziej powodem do wstydu niż chwały. Mam nadzieję, że Polska nie pójdzie tą drogą.

Natomiast tak wyraźną obecność historii w polskiej polityce można tłumaczyć tym, że po prostu Polska w ciągu ostatnich 200-300 lat została o wiele mocniej doświadczona przez historię niż na przykład Anglia. Trudno więc się dziwić, że Polacy spierają się o to, jak należało postąpić w tej czy innej sytuacji albo o to, kto zwinął temu czy tamtemu. Na te spory patrzyłbym jednak pozytywnie, bo rodzą one w społeczeństwie pasję do historii.

Może jednak politycy powinni dać już przeszłości spokój i skupić się na współczesności?

– Ucieczka od historii jest mirażem. Nie da się tego zrobić, najwyżej można mieć do przeszłości nieco luźniejszy stosunek. Cieszę się, że furorę zrobił serial „1670”, który z humorem pokazuje przeszłość. To krok w angielskim kierunku, aczkolwiek i w tym serialu nie brak elementu samobiczowania.

Nie można całkowicie wyzwolić się od własnej historii, ale życzyłbym Polakom odrobinę mniej emocji w myśleniu o niej. Narody, którym zdawało się, że mogą zapomnieć o przyszłości, teraz dopiero, po wybuchu wojny w Ukrainie, zrozumiały, jak historia mimo wszystko jest ważna. I jak ignorowana powraca i gryzie. ●

Rozmawiał Mirosław Maciorowski

Otwarcie wystawy stałej Muzeum Historii Polski planowane jest na 2026 rok. Ekspozycja zajmie 7,3 tys. m kw., znajdzie się na niej około 3,6 tys. muzealiów oraz około 400 kopii lub replik. Ponad 1000 lat historii Polski ma być opowiedziane przy pomocy różnych środków: eksponatów, multimedii, scenografii i instalacji artystycznych.

Wczoraj, czyli dziś

Nemesis znaczy zemsta

Rafał Lemkin zapytał:

„Dlaczego zbrodnią jest zabicie jednego człowieka, ale zabicie milionów nią nie jest?”

Maciejewska



W poranek 15 marca 1921 roku były minister spraw wewnętrznych i wielki wezyr imperium osmańskiego Talaat Pasza spacerował po Berlinie. Cekał na niego członek ormiańskiego „szwadronu śmierci”, żeby wykonać wyrok za wymordowanie połowy narodu. Proces zamachowca stał się procesem zastrzeżonego i inspiracją dla Rafała Lemkina, twórcy pojęcia „ludobójstwo”.
Masakrę Ormian w Turcji uznaje się za pierwsze ludobójstwo XX wieku. Co roku 24 kwietnia społeczność ormiańska upamiętnia ofiary Metz Yeghern (Wielkiego Zła). W 1915 roku tego dnia tureckie wojsko i policja aresztowały w Stambule na podstawie list proskrypcyjnych przedstawicieli ormiańskich elit. Większość spośród 2 tys. osób została zamordowana. Później rozpoczęły się masowe deportacje, które trwały

do lata 1916 roku. Ormianie szli w marszach śmierci ku Syrii i Irakowi, bez żywności, wody, odpoczynku.
Liczbę ofiar szacuje się na od 700 tys. do 1,5 mln. Za głównych winowajców przyjmuje się triumwirat: Talaata Paszę, naczelnego wodza armii Enwera Paszę i ministra marynarki Ahmeda Dżemala. Ale zbrodnie na Ormianach obciążały sumienie tysięcy.
Państwa ententy – Rosja, Wielka Brytania i Francja – wydały 25 maja 1915 roku deklarację potępiającą zabijanie Ormian, w której użyły po raz pierwszy pojęcia „przestępstwa przeciwko ludzkości”, ale na tym się skończyło. Neutralne wówczas USA (do wojny przystąpiły 6 kwietnia 1917) też pozostały bezczynne, choć ambasador Henry Morgenthau informował o ludobójstwie.
„Kiedy władze tureckie wydały rozkazy tych deportacji, po prostu wydały wyrok śmierci na całą rasę; dobrze to rozumiały i w rozmowach ze mną nie podejmowały żadnych szczególnych prób ukrycia tego faktu. (...) mężczyźni, którzy naprawdę wymyślili tę zbrodnię, nie kierowali się względami religijnymi. Praktycznie wszyscy byli ateistami i nie żywili większego szacunku do islamu niż do chrześcijaństwa, a ich jedynym motywem była chłódna, wyrachowana polityka państwa”.

Nawet niemiecki ambasador, hrabia Paul Wolff-Metternich, wezwał Berlin do potępienia eksterminacji Ormian, ale kanclerz był przeciwny: trwała wojna, a imperium osmańskie było sojusznikiem.
Po wojnie w Turcji odbyły się procesy liderów partii młodo-tureckiej i zapadały nawet wyroki śmierci – Talaat Pasza też dostał najwyższy wymiar kary, ale w listopadzie 1918 odpłynął ze Stambułu na pokładzie niemieckiej łodzi podwodnej. Niemcy go nie wydały.
Ormianie wzięli sprawiedliwość w swoje ręce. Dasznacy (Armeńska Federacja Rewolucyjna) przygotowali operację „Nemesis” i w latach 1920-22 zabili siedmiu tureckich i azerskich oficerów, odpowiedzialnych za ludobójstwo Ormian i masakrę w Baku.
Zastrzelenie Talaata Paszy przez 25-letniego studenta Sogomona Tehliriana było najgłośniejszą akcją. Jeden z dowódców operacji ujawnił we wspomnieniach rozkaz, jaki wydał Tehlirianowi: „Rozsadź czaszkę mordercy numer 1 i nie próbuj uciekać. Zostań tam ze swoją stopą na jego zwłokach i podaj się policji, która przyjdzie i założy ci kajdanki”.
Chodziło o to, by nagłośnić winę sprawców masakry na Ormianach. I tak się stało. Sąd zajął się winami Talaata

Paszy, na świadków wezwano niemieckich misjonarzy i wojskowych, a nawet osoby, które przetrwały marsze śmierci. Tehliriana uznano za niepoczytalnego, działającego w afekcie i wypuszczono.
Sprawa była głośna w Europie, na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza studenci prawa dyskutowali o Tehlirianie na seminariach. 21-letni Lemkin postawił wówczas swoje słynne pytanie: „Dlaczego zbrodnią jest zabicie jednego człowieka, ale zabicie milionów nią nie jest?”
I argumentował, że „suwerenność państw polega na prowadzeniu niezależnej polityki zagranicznej i wewnętrznej, budowaniu szkół, dróg, krótko mówiąc: wszystkich rodzajach działalności mającej na celu dobro ludzi”. Ale suwerenności nie można pojmować jako prawa do zabijania milionów niewinnych istot ludzkich.
Lemkin sformułował i wprowadził do prawa międzynarodowego pojęcie ludobójstwa. Napisał projekt konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Została przyjęta przez ONZ w 1948 roku i jest nazywana konwencją Lemkina. ●
Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Stare dobre czasy

Prawdziwy Polak wegetarianin

Jarstwo to część pradawnego słowiańskiego dziedzictwa.

Brzezińska



Jesteśmy wspólnotą mięsa, argumentują przeciwnicy wegetarianizmu. Sojowe mleko i burgery z soczewicy przedstawiają jako część lewicowego pakietu ideologicznego, a sprzeciw wobec warunków hodowli przemysłowej i cierpienia zwierząt – jako próbę zacierania fundamentalnej różnicy pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem i atak na religię chrześcijańską.
Samych wegetarian opisują jako aspołecznych dogmatyków, którzy większe współczucie okazują krowie oddzielanej od cielaka niż głodnym dzieciom i niszczą tradycyjne polskie wartości uosabiane przez niedzielny kotlet schabowy z mięsem i wielkanocną białą kielbasę.
Tymczasem w początkach polskiej państwowości podstawę diety stanowiły zboża: pszenica, prosto, żyto, owies i jęczmień, spożywane w formie kaszy, chleba oraz piwa. Towarzyszyły im rośliny strączkowe, szczególnie groch,

w mniejszym stopniu bób i soczewica. Zwyczajni ludzie jadali również zwierzęta hodowlane, głównie wieprzowinę, rzadziej: wołowinę, kozinę, baraninę, drób, mleko i jajka. Elity sięgały po dziczyznę i ryby, raczej słodkowodne i dwuśrodkowe niż morskie. Lecz różnice w wyżywieniu nie były wielkie, proso – choć uchodziło za zboże najbiedniejszych – pojawiało się na stołach rycerstwa, królowie jadali groch i kaszę.
Mięso w tej diecie nie dominowało, zwłaszcza że posty wymuszały rezygnację z produktów zwierzęcych przez znaczną część roku.
Rekonstrukcja ówczesnej diety jest trudna, ale można ostrożnie przyjąć, że w X-XIII wieku katalog warzyw ograniczał się do: kapusty w dwóch odmianach, pasternaka, cebuli, buraków, brukwi, czosnku, marchwi – choć jeszcze niepomarańczowej – oraz ogórków.
Z owoców znano co najmniej: wiśnie, jabłka, śliwki, gruszki i orzechy, choć nie wiemy, czy pochodziły z drzew specjalnie uprawianych, czy rosnących nieopodal. Zbierano: orzechy leszczyny, maliny, jeżyny, poziomki czy owoce tarniny, które stają się słodsze po przemarnięciu, oraz wiele roślin, które z naszej diety wypadły: komosę białą, szczawie, rdesty, pokrzywy, wykę, ale też na przykład kotewkę orzech wodny. W czasach głodu ta lista nieoczyszczonych jadalnych roślin rodzinnych jeszcze się wydłużała.

Ówcześni ludzie żyli bowiem w kulturze niedoboru. Codzienna sytość stanowiła przywilej nielicznych, głód zagrażał bardzo wielu. Stąd też historia polskich kulinariów jest pełna kulturowych zdrad oraz entuzjastycznych zaawanszeń cudzoziemskich nowinek.
Nasi wygłodniałi protoplaści pokolenie po pokoleniu rozszerzali jadłospis o nowe produkty, od gryki, selerów i porów, które zaczęliśmy uprawiać w XIV wieku, po renesansowe importy z Nowego Świata i wielką ziemniaczaną rewolucję. Jednakże pomimo tych wszystkich zmian dieta większości Polaków nadal opierała się na roślinach.
Nic więc dziwnego, że w początkach XX wieku pionierzy ruchu wegetariańskiego w Polsce prezentowali jarstwo jako część pradawnego słowiańskiego dziedzictwa, które zostało skażone przez paskudny germański obyczaj jedzenia mięsa. Nawoływali do powrotu do pradawnych prostych obyczajów. Twierdzili, że nasi słowiańscy przodkowie żyli jak w raju, kultywując pokój i wegetarianizm, póki z Zachodu – za pośrednictwem Niemiec – nie przebyło do nas obmierzłe mięsożerstwo, a wraz z nim spory, uciemiężenie i wojny.
Przedstawiali więc wegetarianizm jako element odnowy społecznej: dzięki niemu Polacy mieli się na powrót stać silni, wolni i zdrowi.
Jak pisał Konstanty Moes-Oskragiello: dopóty będzie źle w naszym kraju, dopó-

ki nie zmienimy kielbasiarni na owocarnię, a reżnictwa na ogrodnictwo.
Dla rzesz ubogich konsumentów jednak właśnie kielbasa, szynka i schabowy, a nie pacyfistyczna prasłowiańska wspólnota były spełnieniem marzeń i symbolem dobrobytu. W drugiej połowie XX wieku przemysł mięsny zdołał to marzenie spełnić w bardzo wielu częściach globu, także w Polsce. Mięso stało się istotną częścią naszej diety i niebawem bardzo wielu uznało je za tak oczywisty element codzienności, że ani chybi towarzyszy nam od zawsze.
Najciekawsze jednak, że dzisiaj wegetariański zamach na kotlet i golonkę bywa odpierany tymi samymi argumentami, które pierwsi polscy wegetarianie wysuwali przeciwko mięsożercom. Wprawdzie teraz to jarstwo jest przedstawiane jako nowa zgubna moda, sprzeczna z naszym narodowym charakterem oraz tradycjami. Zepsucie jednak, jak zwykle, przychodzi z Zachodu, choć teraz pod postacią demona wegetarianizmu, a nie wieprzowiny.
Tradycja to jednak niebezpieczny koncept, zmienny niczym Proteusz z greckiej mitologii. ●
Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka, autorka m.in. powieści „Córki Wawelu”, „Woda na sicie. Apokryf czarownicy”, „Mgły”, a także eseistycznego „Zmierzchu świata rycerzy”.

• Trumny z męczennikami z Alapajewska w krypcie cerkwi św. Serafina z Sarowa w rosyjskiej misji prawosławnej w Pekinie, gdzie umieszczono je po wywiezieniu z Rosji



FOT. PARIS ARCHIVE OF PRINCE FF. YUSUPOV

Koniec wielkich książąt

Po rewolucji bolszewickiej Romanowowie mieli zniknąć nie tylko dosłownie, ale i symbolicznie – mieli nie mieć grobów. Pogoń za ich trumnami dotarła do Chin.

Wioletta Wiernicka

W nocy z 17 na 18 lipca 1918 roku w okolicach Alapajewska na Uralu czekał przywieźli do opuszczonej kopalni rudy żelaza sześciu członków dynastii Romanowów. Zaczęli okładać ich kolbami karabinów i popychać w stronę szybu. Gdy książę Sergiusz Michajłowicz jako jedyny stawiał opór, dostał kulę w głowę i do kopalni strącono jego zwłoki. Potem zepchnięto pozostałych. Zmarli po kilku dniach z powodu odniesionych ran, z głodu i pragnienia.

Każni w Alapajewsku była częścią większego planu autorstwa Włodzimierza Lenina – zlikwidowania członków dynastii rządzącej.

Ich prześladowania rozpoczęły się już w marcu 1917 roku po abdykacji cara Mikołaja II. Walczący na froncie kuzyni i wujowie byłego cesarza byli niemiłe widziani w swoich jednostkach. Matka Mikołaja II, cesarzowa Maria Fiodorowna, jej zięć

i dwie córki usłyszeli pogroźki od walęsających się ulicami Kijowa uzbrojonych żołnierzy, więc zdecydowali się na wyjazd do swojej krymskiej posiadłości. Opuszczali miasto nocą eskortowani przez lojalnych im oficerów. Wyjazd na obrzeża imperium uratował życie i umożliwił ucieczkę za granicę Marii Fiodorownie, jej najbliższemu oraz kilkunastu innym Romanowom. Ci, którzy z jakichkolwiek powodów pozostali w Piotrogradzie i Moskwie, podpisali na siebie wyrok śmierci.

SKAZAŃCY

Cesarz Niemiec Wilhelm II Hohenzollern wiedziony poczuciem monarszej solidarności domagał się od bolszewików gwarancji bezpieczeństwa dla Romanowów. Jako że niemieckie oddziały wciąż znajdowały się na terenie Rosji, Lenin nie mógł lekceważyć żądań kajzera. Dlatego postanowił przenieść członków carskiej rodziny na Ural, by rozprawić się z nimi rękami tamtejszych towarzyszy. Plan szybko wprowadzono w życie – 26 marca 1918 roku w gazecie „Czerwona Prawda” ukazał się rozkaz Rady Komisarzy Piotrogradzkiej Komuny Robotniczej o wysłaniu pięciu wielkich książąt do miasta Wiatka, ponad

1000 km od Piotrogradu. Był to pierwszy etap ich podróży do Alapajewska.

Jednym z zesłańców był wnuk cara Mikołaja I wielki książę Sergiusz Michajłowicz, 49-letni generał artylerii. Podczas wojny przebywał w Mohylewie, skąd wrócił do Piotrogradu wiosną 1917 roku. Nie zdecydował się na wyjazd z miasta, bo zamierzał pomóc swojej dawnej kochance – polskiej baletnicy Matyldzie Krzesińskiej – w odzyskaniu majątku zagrabionego przez bolszewików. W zsyłce Sergiejowi dobrowolnie towarzyszył jego wieloletni sekretarz Fiodor Remiez.

Do Wiatki skierowano także trzech synów zmarłego w 1915 roku znanego poety Konstantego Romanowa piszącego pod pseudonimem K.R.: Ioanna (32 lata), Konstantego (28 lat) i Igora (24 lata). Byli prawnukami cara Mikołaja I. Przed pierwszą wojną światową pełnili służbę wojskową w stolicy. W sierpniu 1914 roku wyruszyli na front, gdzie za swoje czyny bojowe otrzymali najwyższe odznaczenia imperium. Wiosną 1917 roku wrócili do Piotrogradu. Nie opuścili miasta, bo ich zdaniem wyjazd byłby haniebną ucieczką.

Piąta osoba to 22-letni książę Władimir, stryjeczny brat cara Mikołaja II, do brze zapowiadający się poeta i tłumacz. Pochodził z morganatycznego związku,

dlatego z punktu widzenia prawa nie należał do dynastii i nawet nosił inne nazwisko – Palej. Dzięki temu jego matce udało się cofnąć decyzję o wyjeździe syna do Wiatki. W zamian za to chłopak miał wyrzec się rodziców. Odmówił i udał się na zesłanie.

Po kilku tygodniach książęta zostali przeniesieni do Jekaterynburga, gdzie dołączyła do nich 54-letnia starsza siostra carycy, wielka księżna Elżbieta zwana przez najbliższych Ellą. W młodości tę heską księżniczkę wychowywaną na dworze jej babki, królowej brytyjskiej Wiktorii uważano za najpiękniejszą w Europie, o jej rękę starał się przyszły cesarz Niemiec Wilhelm II. Wybrała Rosjanina, wielkiego księcia Sergiusza Aleksandrowicza, syna cara Aleksandra II. Poślubiła go w 1884 roku. Po śmierci męża, który zginął w zamachu bombowym w 1905 roku, złożyła śluby zakonne, założyła klasztor Marty i Marii w Moskwie i została jego przełożoną. Na budowę i działalność tej instytucji przeznaczyła cały swój majątek i wypłacane corocznie apanaże. Na terenie klasztoru otworzyła sierociniec, szpital dla lokalnej biedoty i bezpłatną przychodnię. Wraz z zakonnicami zapuszczała się w najmniejbezpieczne dzielnice miasta, by nieść pomoc potrzebującym.

Podczas pierwszej wojny światowej objęła opieką rannych żołnierzy. Latem 1917 roku Wilhelm II, któremu przed laty dała kosza, zaproponował jej wyjazd do Hesji. Wielka księżna nie zamierzała opuszczać podopiecznych i odmówiła. W 1918 roku zesłano ją za Ural. W tej podróży dobrowolnie towarzyszyła jej zakonnica Warwara Jakowlewa.

MORDERSTWO W KOPALNI

Do Ałapajewska zesłańcy przybyli 20 maja 1918 roku. Zamieszkali w budynku szkoły na obrzeżach miasta pilnowani przez czerwonoarmistów. Mieli do dyspozycji cztery pokoje wyposażone w podstawowe meble. Serwowano im trzy posiłki dziennie, które gotowała przychodząca kucharka. W ciągu pierwszego miesiąca więźniowie cieszyli się względną swobodą: korespondowali z rodziną i przyjaciółmi, spacerowali po okolicznych polach i bywali w lokalnej cerkwi. 20 czerwca zakazano im wychodzenia poza teren szkoły, odebrano kosztowności, większość pieniędzy i rzeczy osobistych, ograniczono do minimum racje żywnościowe. Pokoje regularnie przeszukiwano.

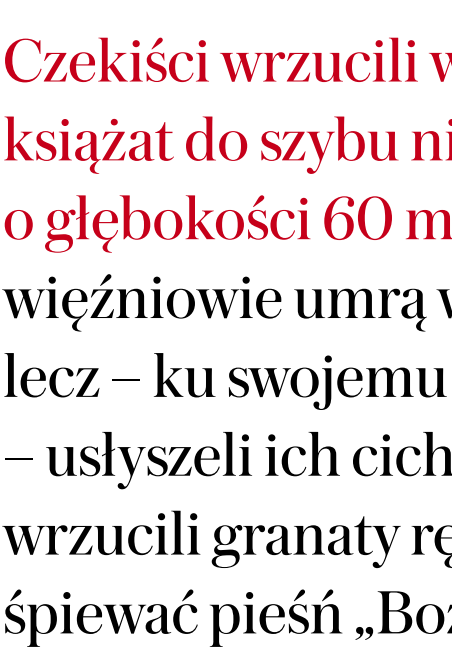
17 lipca, w dniu poprzedzającym egzekucję, w miejsce czerwonoarmistów sprowadzono oddział czekistów, którzy zabrali przetrzymywanym resztę rzeczy i pieniędzy. O godzinie pierwszej w nocy nowi „ochroniarze” obudzili więźniów i oznajmili, że z powodu ofensywy białych ich życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Dlatego zostaną przeniesieni do kryjówki poza miastem. Potem związano im ręce z tyłu i kazano wsiadać na furmanki, które ruszyły w stronę wsi Siniaczicha, gdzie znajdowały się stare kopalnie. Wraz z Romanowami zabrano sekretarza Remieza i siostrę Warwarę.

Zesłańcy zdawali sobie sprawę z nieuchronności rychłej śmierci. Sergiusz Michajłowicz próbował apelować do sumień oprawców: „Powiedzcie mi: za co? Nigdy nie zajmowałem się polityką, kochałem sport, grałem w bilard, interesowałem się numizmatyką”. Czekiści odpowiedzieli milczeniem. A po dotarciu do opuszczonej kopalni wrzucili wszystkich do szybu o głębokości 60 m. Oczekiwali, że więźniowie umrą wskutek upadku, lecz – ku swojemu zaskoczeniu – usłyszeli ich cichą rozmowę. Gdy wrzucili granaty ręczne, ofiary zaczęły śpiewać prawosławną pieśń „Boże, ocal swój lud” (Gospodi, spasi ljudi tvoja). Wówczas czekisci zablokowali wejście do szybu za pomocą płonących gałęzi i po kilku minutach zapadła cisza.

O egzekucji poinformowano bolszewicką wierchuszkę. Lenin, który wcześniej wydał rozkaz zabicia cara Mikołaja II i jego najbliższej rodziny, o Elżbiecie miał powiedzieć: „Cnota w koronie jest większym wrogiem rewolucji światowej niż stu carów tyranów”.

SFINGOWANE PORWANIE

Nowi władarze obawiali się reakcji Wilhelma II na wieść o śmierci członków rodziny cesarskiej, a w szczególności niemieckiej księżniczki. Dlatego sfingowali porwanie Romanowów – 18 lipca po godzinie trzeciej w nocy przy budynku szkoły urządzono strzelaninę, a potem sprowadzono oddział czerwonoarmistów jakoby dla zaprowadzenia porządku. Rano w całym Ałapajewsku rozklejono plakaty informujące o uprowadzeniu wielkich książąt przez grupę białych oficerów. Po kilku dniach wiadomość o zjściu pojawiła się w prasie ogólnokrajowej. We wszystkich doniesieniach zabrakło wzmianki o losach Elli i siostry Warwary. Zgodnie z rozkazem moskiewskich zwierzchników ałapajewscy bolszewicy przeprowadzili śledztwo w sprawie porwania, które – jak oznajmiono w oficjalnym komunikacie – nie wyjaśniło losów uprowadzonych. W sierpniu



- **1. Księżna Elżbieta Fiodorowna, zwana Ellą**
- **2. Warwara Jakowlewa, zakonnica towarzysząca księżnej**
- **3. Ioann, prawnuk cara Mikołaja I**
- **4. Igor, młodszy brat Ioana**
- **5. Książę Sergiusz Michajłowicz, wnuk Mikołaja I**
- **6. Konstanty, brat Ioanna i Igora**

FOT. PHOTO12/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES,
WIKIPEDIA(3), JACQUES FERRAND COLLECTION, ALAMY STOCK
PHOTO/BE&W

1918 roku mężczyzn uznano za zaginionych, a ich rzeczy sprzedano na aukcji.

Szczegóły zbrodni w Ałapajewsku odkryto dopiero pod koniec września 1918 roku, gdy do miasta wkroczyły oddziały białych. Wówczas znaleziono szczątki ofiar i wszczęto dochodzenie. Ustalono, że jedyną osobą zmarłą wskutek upadku był Fiodor Remiez. Pozostali doznali ciężkich obrażeń ciała i żyli jeszcze kilka dni. Wszyscy mieli rozległe krwaki na głowie, brzuchu, w okolicach klatki piersiowej. Ioann doznał pęknięcia podstawy czaszki. Odkryto, że będąc w stanie agonalnym, Konstanty polykał ziemię. Elżbieta obandażowała rany leżącego obok niej Ioanna paskami tkaniny ze swojego habitu. Znacznie później, w 1981 roku księżna jako męczennica została kanonizowana przez Rosyjski Kościół Prawosławny poza granicami Rosji, a w 1992 roku również przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną.

Czekiści wrzucili wszystkich książąt do szybu nieczyłnej kopalni o głębokości 60 m. Oczekiwali, że więźniowie umrą wskutek upadku, lecz – ku swojemu zaskoczeniu – usłyszeli ich cichą rozmowę. Gdy wrzucili granaty ręczne, ofiary zaczęły śpiewać pieśń „Boże, ocal swój lud”

WĘDRÓWKA PO ŚMIERCI

19 października 1918 roku trumny z ciałami Romanowów i towarzyszących im osób uroczystie złożono w krypcie lokalnej katedry św. Trójcy. Pozostawały tam do czerwca następnego roku, gdy z powodu ofensywy Armii Czerwonej pojawiło się zagrożenie okupacji miasta.

Aby zapobiec zbezczeszczeniu zwłok przez bolszewików, dowódca Wojskowych Sił Rosji na Syberii i Uralu adm. Aleksandr Kolczak zezwolił na przewiezienie trumien na wschód – do Czyty. Do tego zadania zgłosił się o. Serafin Kuzniecowa, zakonnik z klasztoru w Ałapajewsku, który od lat znał Elżbietę i podziwiał jej działalność charytatywną. 14 lipca duchowny załadował trumny do wagonu towarowego i wyruszył w podróż trwającą 47 dni. W Czycie skierował się do lokalnego klasztoru, gdzie umieścił trumny w urzędzonej do tego celu kryjówce.

I znów w lutym 1920 roku pojawiło się zagrożenie opanowania Czyty przez czerwonoarmistów. Wówczas gen. Michail Diterichs, jeden z liderów białych, doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na zachowanie szczątków będzie wywiezienie ich do Chin. 26 lutego 1920 roku o. Kuzniecowa ponownie wyruszył w drogę. Gdy po dwóch miesiącach dotarł do granicy, sowieckim pogranicznikom udało się przechwycić trumnę z ciałem Ioanna. Wówczas na pomoc duchownemu rzucili się chińscy funkcjonariusze, którzy uratowali cenny ładunek, a potem eskortowali duchownego do stolicy.

W Pekinie o szczątki Romanowów zajął się tamtejszy biskup rosyjskiej misji prawosławnej. Trumny czasowo umieszczono w starym grobowcu na cmentarzu. Potem przeniesiono je do krypty w cerkwi św. Serafina z Sarowa. Ojciec Kuzniecowa pozostał w Pekinie, aby codziennie odmawiać modlitwę za dusze zmarłych.

Z CHIN
DO JEROZOLIMY

Tymczasem mieszkająca w Londynie księżna Wiktorja Mountbatten, starsza siostra Elli, próbowała ustalić miejsce pochówku zamordowanej. Pomógł przypadek. W lipcu 1921 roku jej ciotka Beatrycze natrafiła na reportaż o pekińskim pochówku Romanowów w popularnym magazynie „The Sphere”. Niezwłocznie poinformowała o tym księżnę Mountbatten, która poprosiła o pomoc bratanka – króla Jerzego V. Na polecenie monarchy pracujący w Chinach brytyjscy dyplomaci potwierdzili prawdziwość zawartych w artykule informacji. Wówczas Wiktorja postanowiła pochować siostrę i jej lojalną towarzyszkę Warwarę w cerkwi Marii Magdaleny na Górze Oliwnej w Jerozolimie. Było to miejsce drogie sercu Elli, bo w 1888 roku uczestniczyła w konsekracji świątyni, a jej mąż współfinansował jej budowę.

Wierny o. Serafin dostarczył trumny do Jerozolimy, dokąd przyjechała księżna Wiktorja z rodziną. Po nabożeństwie żałobnym szczątki Elli i Warwary złożono w krypcie, której utrzymanie finansowali Mountbattenowie.

O miejscu pochówku pięciu książąt Wiktorja poinformowała ich rodziny. Nie wiadomo, czy bliscy pozostałych ofiar, m.in. żona i dzieci Ioanna lub siostry Władimira Paleja, kiedykolwiek odwiedzili kryptę w Pekinie, którą opiekowali się duchowni z rosyjskiej misji prawosławnej.

Szczątkom Romanowów niesądzone było zaznać spokoju. W 1947 roku, gdy nad Chinami zawisło niebezpieczeństwo przejścia władzy przez komunistów, księża ukryli trumny bliżej siedziby misji – w krypcie cerkwi pw. Wszystkich Świętych Męczenników. Na niewiele się to zdało.

W 1949 roku proklamowano Chińską Republikę Ludową, a pięć lat później radziecka ambasada w Pekinie zlikwidowała rosyjską misję prawosławną i przejęła należący do niej teren. Chińskie władze na



• **Książę Władimir Pawłowicz Palej, poeta, stryjeczny brat cara Mikołaja II**

FOT. ALAMY STOCK
PHOTO/BE&W



żądanie sowieckich dyplomatów zniszczyły cerkiew pw. Wszystkich Świętych Męczenników. Z biegiem czasu w miejscu świątyni urządzono pole golfowe.

W 2005 roku pojawiła się słaba nadzieja na odnalezienie miejsca pochówku Romanowów, gdy rosyjska ambasada zleciła naukowcom zbadanie działki, na której znajdowała się wspomniana cerkiew. Georadar wykrył fundamenty budowli. Niestety z nieznanych powodów dalszych prac zaniechano. ●

• **Właz do szybu kopalni, do którego bolszewicy wrzucili męczenników z Ałapajewska**

FOT. ARCHIWUM

Esesmani

Jeśli oglądając film szpiegowski, zżymamy się na nieprawdopodobne zwroty akcji i zbiegi okoliczności, to po przeczytaniu książki „Naziści po wojnie. Karierę ludzi Hitlera” powinniśmy inaczej oceniać, co mogło być prawdą, a co wymyślił kiepski scenarzysta.

Joanna Banaś

Jest rok 1954. W szczycie karnawałowego szaleństwa w Nadrenii do fryzjera w Bonn przychodzi dwóch mężczyzn: Alois Brunner i Georg Fischer. Proszą o pomoc w zorganizowaniu kawalu dla żon: każdy chce wyglądać, jak ten drugi. Fryzjer okazuje się prawdziwym fachowcem. Po wyjściu z salonu mężczyźni zamieniają się też paszportami. W ten sposób Brunner, nazistowski zbrodniarz i prawa ręka Adolfa Eichmanna, opuści Niemcy i na zawsze uniknie sprawiedliwości. Do śmierci w 2001 roku będzie w Syrii funkcjonował jako doktor Georg Fischer.

Autor „Nazistów po wojnie” Danny Orbach* nie wymyślił tej sceny. We wstępie do książki zastrzegł, że opisał tylko te wydarzenia, na które istnieją dowody. Wiedzę o nich czerpał z dokumentów amerykańskich, niemieckich i izraelskich agencji wywiadu – archiwa radzieckie i państw arabskich pozostają dla badaczy zamknięte, podobnie jak archiwum francuskiej agencji SDECE działającej do 1982 roku – oraz dokumentów dyplomatycznych, sądowych, policyjnych i wojskowych.

„Unikałem niepotwierdzonych, sensacyjnych opisów, nawet tych od dziesięcioleci pojawiających się w literaturze historycznej” – zapewnia autor.

Z tej wiedzy udało mu się utkać opowieść szpiegowską w wersji dla zaawansowanych. Książka jest tak gęsta od wydarzeń, nazwisk i zwrotów akcji, że przypomina scenariusz świetnego filmu sensacyjnego: wystarczy odejść od ekranu na parę minut, by po powrocie okazało się, że nasz ulubiony bohater już nie żyje, a akcja toczy się w innym kraju.

„WYJĄTKOWI”
ZBRODNIARZE

Już 10 maja 1945 roku dowództwo amerykańskiej armii rozkazało generałowi Dwightowi Eisenhowerowi, dowódcy sił alianckich w Europie Zachodniej i Północnej, aresztowanie nazistowskich zbrodniarzy wojennych z wyjątkiem tych, którzy mogli się okazać przydatni dla wywiadu lub innych celów wojskowych. Dzięki temu wyjątkowi tuż po wojnie amerykański kontrwywiad zatrudniał esesmanów i gestapowców, administracja Trumana ściągала do Stanów niemieckich naukowców zasłużonych dla Trzeciej Rzeszy, a CIA powołana

w 1947 roku zatrudniała nazistów i innych zbrodniarzy odpowiedzialnych za Holocaust jako szpiegów i agentów w strefach przygranicznych Niemiec, w ZSRR oraz w Europie Wschodniej. Także fałszerze pieniędzy na usługach wywiadu SS byli werbowani przez tajne służby aliantów.

Dla części byłych esesmanów, przyjaźnie nastawionych do świata arabskiego, a z czasem i do ZSRR, atrakcyjnymi pracodawcami okazały się powstające kraje Trzeciego Świata. Inni, antysemita do szpiku kości, postanowili szkodzić Izraelowi, który powstał w 1948 roku.

Także Republika Federalna Niemiec od swego powstania w 1949 roku mimo deklaracji zerwania z nazistowską przeszłością „była pełna funkcjonariuszy wstydliwie ukrywających w szafach nazistowskie szkielety. Dotyczyło to zwłaszcza służb wywiadu, które w dawnych nazistach widziały wyjątkowo sprawnych bojowników w walce z komunizmem i przydatnych agentów wpływu w krajach Trzeciego Świata” – pisze Orbach.

NIKT BY TEGO
NIE WYMYŚLIŁ

W swojej książce izraelski historyk barwnie opisuje zimnowojenne potyczki wywiadów, w których uczestniczyli byli naziści, często jako podwójni i potrójni agenci Stasi, KGB, BND, CIA, Mosadu i bliskowschodnich dyktatur aż do lat 60., gdy niemieccy zbiegowie i najemnicy przestali być uznawani za cennych współpracowników.

Niektóre bitwy w niekończącej się wojnie agentów przebiegały w sposób zaskakujący. W 1962 roku

Mosad chciał posłać list zawierający materiał wybuchowy niemieckiemu konstruktorowi raket pracującemu po wojnie dla Egiptu. Wiedząc, że jego sekretarka otwiera korespondencję służbową, agenci spreparowali list tak, by wyglądał na nadany przez adwokata byłej żony naukowca. Mosad zakładał, że sekretarka nie otworzy prywatnej przesyłki. Nie wiedzieli jednak, że była jego kochanką i list od prawnika ekszony bardzo ją interesował. Kiedy otworzyła kopertę, bomba wybuchła, oślepiając ją i okaleczając na całe życie. Życie dopisało tej historii swoisty happy end: naukowiec ożenił się ze swoją sekretarką.

Kolejna historia jak z filmu sensacyjnego: oto 200 skrzyń karabinów Wehrmachtu, 2 mln sztuk amunicji, 50 nowoczesnych karabinów maszynowych i 20 radzieckich wyrzutni przeciwrakietowych, wszystko warte w latach 50. około 1,6 mln dol., jechało pociągiem z Pragi jako maszyny rolnicze. Nielegalny transport zatrzymany w Jugosławii (po donosie) został zwolniony po interwencjach dyplomatycznych u samego Tito i załadowany na statek. Pośrednik skasował prowizję, transakcja została przypieczętowana pijacką imprezą. Tyle że na miejscu odbioru, w Damaszku, broń okazała się kupą złomu. Nie udało się ustalić, na jakim etapie została uszkodzona.

Orbach opisuje też próbę przemytu w stylu gangu Olsena, która do dziejów wywiadu weszła jako „wypadek z puszkami na ciastka”. Rozmontowaną broń przewożono w niechlujnie zamkniętych blaszanych puszkach. Gdy pracownik ochrony lotniska w Brukseli niechcący upuścił jedną z nich, zawartość rozsypała się i zdemaskowała handlarzy.

do wynajęcia



• **Oficer Waffen-SS Otto Skorzeny (1908-75), podczas procesu w Norymberdze. Powyżej z żoną Ilse i psem Scheppie przed swoją willą w Kildare w Irlandii w 1960 roku**

FOT. Z LEWEJ: EAST NEWS/AFP.

FOT. POWYŻEJ: CHRIS WARE/KEYSTONE FEATURES/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

OFICER WEHRMACHTU NA CZELE WYWIADU NOWYCH NIEMIEC

Pierwszą część książki Orbach poświęcił kulisom powstania służb wywiadowczych w zachodnich Niemczech. W roli głównej wystąpił wychowany we Wrocławiu Reinhard Gehlen (1902-79), generał major Wehrmachtu i ostatni szef wywiadu wojskowego Obce Armie Wschód. W kwietniu 1945 roku zakopał mikrofilmy z archiwum wywiadu wojskowego Trzeciej Rzeszy w wodoszczelnych pojemnikach wokół górskiej chaty, w której czekał na kapitulację – chciał mieć co zaoferować Amerykanom, proponując im swoje usługi. Jego plan się powiódł. Gehlen został twórcą i pierwszym szefem Organisation Gehlen, która w 1956 roku przekształciła się w Federalną Służbę Wywiadowczą (Bundesnachrichtendienst – BND). Gehlen kierował nią do 1968 roku, gdy po licznych wpadkach został zmuszony do odejścia.

DŁUGIE ŻYCIE ZBRODNIARZA

Kolejnemu bohaterowi książki Orbacha, okrutnemu zbrodniarzowi wojennemu Aloisowi Brunnerowi, życie uratowała zbieżność nazwisk i podobieństwo imion z jego podwładnym. Za „rzeźnika Żydów z Wiednia” lokalny sąd uznał bowiem Antona Brunnera, pracownika Centralnej Agencji ds. Imigracji Żydów. W maju 1946 roku wykonano na nim wyrok za wysłanie na śmierć 49 tys. Żydów.

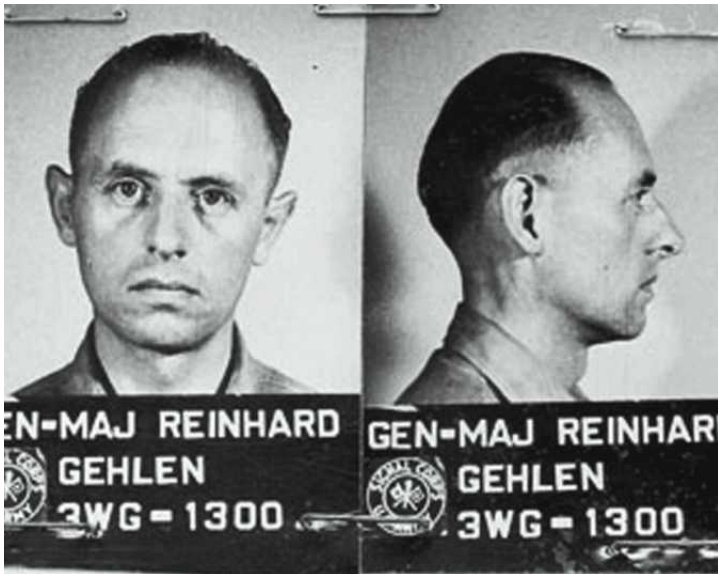
Podczas procesu Anton Brunner zapewniał, że winę ponosi w rzeczywistości Alois Brunner, prawa ręka Eichmanna, ale sędziowie mu nie uwierzyli, choć świadkowie potwierdzili istnienie jeszcze gorszego Brunnera – w gestapo mówiono o nich: Brunner I i Brunner II.

Przez lata podobieństwo imion i nazwisk Antona i Aloisa Brunnerów myliło instytucje w Austrii i innych krajach. Jeszcze w 1961 roku niektórzy analitycy CIA uważali, że Aloisa Brunnera dawno stracono, więc nikt go nie szukał.

Tymczasem Alois Brunner pozostawał na wolności, choć jako osobisty asystent Eichmanna organizował deportacje i nadzorował machinę grabieży i transportu Żydów do obozów zagłady. Chętnie uczestniczył też osobiście w torturowaniu przesłuchiwanym. Po kapitulacji Niemiec pod fałszywym nazwiskiem przebywał w różnych obozach jenieckich. Nie został aresztowany, bo nie miał esesmańskiego tatuażu. Pracował jako kelner, był też kierowcą w amerykańskiej bazie. Dopiero w 1954 roku francuski sąd skazał go zaocznie na śmierć. Ale wtedy Brunner zaczynał już nowy etap życia w Syrii, gdzie współtworzył służby bezpieczeństwa. Przed ekstradycją chronił go autokratyczny prezydent Syrii Hafiz al-Asad (1930-2000) w zamian za doradztwo reżimowi, jak najskuteczniej przesłuchiwać, czytać: torturować, choćby łamać kręgosłupy na tzw. niemieckim krześle.

Syryjski dyktator postawił jednak warunek: Brunner ma milczeć o swojej przeszłości. Ten jednak w latach 90. zaczął udzielać wywiadów. Drogo za to zapłacił: ostatnie lata spędził w piwnicznej celi więzienia w Damaszku na skąpych wojskowych racjach żywnościowych, mając każdego dnia wybór: jajko albo pomidor.

W 1961 roku Brunner cudem przeżył zamach przeprowadzony przez Mosad – życie uratował mu pręt, którym na poczcie otworzył paczkę z bombą. Stracił tylko oko i częściowo władzę w lewej ręce. Zmarł dopiero 40 lat później, w wieku 89 lat, już za rządów kolejnego syryjskiego dyktatora, Baszara al-Asada, syna Hafiza.



◀ **Gen. Reinhard Gehlen (1902-79) w niewoli amerykańskiej. W czasie II wojny światowej był szefem niemieckiego wywiadu wschodniego**

FOT. NATIONAL SECURITY ARCHIVE



Zbrodniarzowi wojennemu Aloisowi Brunnerowi, życie uratowała zbieżność nazwisk i podobieństwo imion z jego podwładnym, Antonem Brunnerem

KAŻDY MA SWÓJ SŁABY PUNKT

Ulubieniec Hitlera, słynny komandos Otto Skorzeny (1908-75), 20 lat po brawurowej akcji odbicia Mussoliniego (1943) pomógł Mosadowi wyjść z poważnego kryzysu. Egipt szykował wtedy program rakietowy skierowany przeciw Izraelowi. Pracowali nad nim niemieccy naukowcy, a o jego bezpieczeństwo dbał były esesman Hermann Vallentin, w czasie wojny podwładny Skorzenego. Izraelczycy postanowili to wykorzystać.

Po wojnie Skorzeny w Hiszpanii handlował bronią pod ochroną dyktatora Franco. Jego młoda żona prowadziła interesy w branży turystycznej na Bahamach. Tam zbliżył się do niej agent Mosadu. Intensywnie ją emablował, razem zaśmiewali się z kawałów opowiadanych w jidysz (kolejna filmowa scena w książce Orbacha). Wreszcie zaproponował współpracę Skorzenemu. Ten się zgodził, bo nie chciał być ścigany przez Mosad za to, co robił w czasie

▲ **Powyżej gen. Reinhard Gehlen w 1972 roku w Monachium, podczas pogrzebu gen. płk. Franza Haldera, szefa sztabu Wehrmachtu**

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

wojny. Nie żądał pieniędzy, ale poprosił o promowanie jego autobiografii wydanej po hebrajsku – ostatecznie agenci przekonali go, że pomoc Mosadu mogłaby tylko zaszkodzić. Skorzeny poprosił o informację Vallentina. Zakompleksiony i niezbyt lotny sierżant marzył o stopniu oficerskim. Zgodził się na współpracę z Brytyjczykami za dokument, w którym Skorzeny zaświadczył, że wystąpił dla niego o awans, więc gdyby nie koniec wojny, Vallentin byłby porucznikiem.

W ten sposób Skorzeny pomógł Izraelczykom ustalić, że Egipt nie dysponuje rakietami mogącymi im zagrozić.

Na marginesie: tego, że „Brytyjczykami” byli agenci Mosadu, były esesman w ogóle się nie domyślił. ●

***Danny Orbach**

• (ur. w 1981 roku) – były funkcjonariusz izraelskiego wywiadu, obecnie profesor historii na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i komentator polityczny. Oprócz wydanych właśnie po polsku „Nazistów...” z 2022 roku wydał także książkę poświęconą spiskom przeciw Hitlerowi (2017).



Naziści po wojnie. Kariery ludzi Hitlera

Danny Orbach, przełożyła Monika Swadowska

Wydawnictwo Znak Litera Nova

